

ATENEUM.

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XXVI.

ROK VII.

TOM II. — ZESZYT I.

Kwiecień.

WARSZAWA.

DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO,

ulica Królewska, Nr. 23.

—

1882.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 30 Marca 1882 r.

DEMOKRACYA SOCYALNA

W CESARSTWIE NIEMIECKIEM.

I.

PIERWIASTKI RUCHU.

Franz Mehring. Die Deutsche socialdemokratie. Ihre Geschichte und Ihre Lehre. Bremen, 1878. — Emile de Laveleye. Le socyalisme contemporain. Paris, 1881.

Wśród obecnego rozbicia na frakcye stronnictw politycznych w Niemczech żadne z nich nie może zgrupować około swego sztandaru większości sejmowéj, ani dobić się wpływu na rząd państwa. Z tego położenia rzeczy wynikają ciągłe utarczki w parlamencie, wśród których, kanclerz cesarstwa sam jeden czuje się silnym i pomimo najwyraźniejszéj opozycyi reprezentantów kraju, przedstawia im na nowo projekta do praw, które oni już raz odrzucili, a modyfikując je zlekka spodziewa się, że nie dziś to jutro projekta będą przez jaką taką większość przyjęte i będą mogły stać się prawem obowiązującém. Podobne postępowanie jątrzy stosunki parlamentu z rządem i daje powód do ustawicznych wyrzekań, do skarg aż nadto głośno z obu stron powtarzanych i do wzajemnie sobie robionych zarzutów, że nikomu tu nie chodzi o dobro publiczne, lecz tylko o zjednanie stronników, o zasługiwanie się wyborcom i osiągnięcie większości na przyszłych wyborach. Publicyści liberalnego stronnictwa naprzykład, złośliwie trochę zaznaczają: że projekt do prawa o ubezpieczeniu robotników od wypadków nieszczęśliwych i zapewnieniu im wypłat emerytalnych na starość, wniesiony był do sejmu w roku minionym d. 1 kwietnia, że w ten dzień właśnie przypada rocznica urodzin ks. kanclerza, że almanach gotajski zaznaczył dobitnie tę datę, chociaż ona ważną być nie może, bo projekt odrzuconym został; a co dziwniejsza, że tenże kalendarz zaznaczył datę

mowy deputowanego Liebknechta, którym zwykle nie interesował się dotychczas, a zaznaczył dlatego, iż przywódca demokracyi socyalnéj w Niemczech, d. 31 maja przy dyskusyi nad projektem wypowiedział te słowa: „obecnie ideje socyalne są podstawą polityki rządu.“ Kiedy zaś nowo wybrany sejm cesarstwa zebrał się na pierwszą sesyą w listopadzie z. r., deputowany Eugenijusz Richter natychmiast wystąpił z ostrą krytyką orędzia cesarskiego przesłanego sejmowi zamiast mowy od tronu, kontrasygnowanego przez ks. Bismarka, w którym zapowiedziane było powtórne wniesienie projektów do praw, w czasie ostatniéj sesyi odrzuconych. W krytyce swojéj wystawiał, że kanclerz wyraźnie przechyla się na stronę socyalizmu i dawał do zrozumienia, że na tę drogę popchnęła go walka polityczna ze stronnictwem liberalném, że pragnie on przez to pozyskać głosy wyborców, osłabiając w narodzie zaufanie ku nienawistnemu sobie liberalizmowi, a na poparcie swych dążeń używa nieprawnie, niesłusznie i niepolitycznie powagi imienia samego cesarza.

Nikt dzisiaj osądzić nie potrafi, ile jest w tych zarzutach słuszności i czy ks. Bismark przy planach swoich długo i wytrwale stać będzie; ale jest rzeczą widoczną, że socyalizm, potępiany dotychczas jako doktryna przez uczonych, prześladowany jako sekta przez wszystkie rządy, już od połowy dziewiętnastego wieku zaczyna powoli przekształcać się i przywdziewać suknie urzędowe. Napoleonowi-III nieraz stawiano zarzuty, że pod płaszczem cezaryzmu wprowadza w obyczaj rządowy kierunki socyalne; dzisiaj ks. Bismark wyraźnie i głośno mówi, że zwyciężyć hydry socyalizmu, okiełznać jéj nie można inaczéj jak biorąc w ręce sprawę opieki nad najuboższą klasą ludności; a jak wiemy z pogłosek powtarzanych po dziennikach, podobno w ministeryum spraw wewnętrznych w Petersburgu opracowują obecnie projekt do prawa ubezpieczenia wyrobników fabrycznych od nieszczęść i bezrobocia; we Francyi p. Gambetta, w czasie chwilowych rządów swoich, polecił już był pono ludziom najbieglejszym w fachu ubezpieczeń ułożyć podobny projekt, ministeryum włoskie w styczniu r. b. zapowiedziało w izbie, że się tém zajmuje; nawet najzaciętsi przeciwnicy socyalizmu, ludzie których dogmatem fundamentalnym był i jest wolny przemysł, wolna praca i samopomoc—połączone frakcye liberalnych stronnictw w Niemczech, złożyły od siebie sejmowi projekt do prawa takiegoż ubezpieczenia przymusowego. Pierwéj nim ministrowie i parlamenta okazały ochotę zajmowania się losem wyrobników na drodze administracyi i prawodawstwa, inne siły zachowawcze, w Niemczech szczególnie, śmiało podejmowały już znamię socyalizmu; jeszcze przed wojną francusko-niemiecką biskup Moguncki Ketteler stanął na czele towa-

rzystwa szerzącego zasady socyalizmu chrześciańskiego, a jak wtedy opowiadano, uczynił to za zgodą i zezwoleniem samego papieża. Od roku 1872 liczna grupa profesorów w uniwersytetach niemieckich, podejmując z dumą rzucone sobie ironicznie przezwisko, przyjęła nazwę „socyalistów z katedry" i poszukuje, na drodze naukowych badań, sposobów rozwiązania owych strasznych zagadnień, jakie im stawi nędza ludu; dostojnicy kościoła luterańskiego w Berlinie zawiązali stowarzyszenie socyalno-religijne i usiłują zarówno pomiędzy klasami wykształconemi jak i pomiędzy ludem szczepić zasady nauki socyalnéj, opartéj na prawach chrześciaństwa.

Tak więc państwo, kościół, nauka w Niemczech zdają się iść o lepsze w tym wyścigu ku ulżeniu cierpieniom ludzkim, ale wszystkie te trzy potęgi zachowawcze, dotychczas przynajmniéj, nie znalazły sposobów skutecznych oddziaływania, przeciw szerzącéj się wśród wyrobników fabrycznych nadewszystko, nauce komunizmu, w imię której to nauki sformowało się i powiększa się ciągle partya demokracyi socyalnéj. Partya ta, jakkolwiek liczna, silną nazwać się, nie może, bo nie ma jeszcze bezpośredniego wpływu na prawodawczą robotę w parlamencie. Zbudziła się ona i żyć zaczęła z inicyatywy dwóch znakomitych uczonych, w dwóch różnych kierunkach; ale jeden z tych ludzi nieżyje już dawno, drugi mieszka w Anglii, bada stosunki społeczeństwa angielskiego, zajęty krytyką jedynie, wykazuje wszystkie wady dzisiejszych społeczeństw, rzadko bardzo w chwilach stanowczych tylko wypowiada, że *państwo przyszłości* zleje na robotników swoje dobrodziejstwa, ale czém ma być to państwo tego nie wyjaśnił dotychczas. Środki działania partyi są ograniczone, finanse jéj bowiem redukują się do składek robotników; przywódcy czynni działający na ziemi niemieckiéj nieodznaczają się ani talentami ani nauką, a nawet, oprócz kilku wyjątków, nie dają dowodów prawdziwego poświęcenia dla sprawy; kłótnie i zwady w łonie stronnictwa nie ustają nigdy, a pomimo to wszystko, liczba stronników wzrasta ciągle. W r. 1877 stanęło w sejmie od demokracyi socyalnéj deputowanych dwunastu, w r. 1878 po zamachach na życie cesarza Wilhelma wydano prawo przeciw socyalistom, zaprowadzono stan oblężenia w głównych siedliskach ruchu socyalnego: w Berlinie, Hamburgu i Lipsku, a jednak wybory ostatnie w październiku r. z. wysłały do sejmu trzynastu deputowanych stronnictwa uciśnionego i prześladowanego.

Obserwatorowie bezstronni, cudzoziemcy, a nawet i niektórzy z Niemców, twierdzą, że w całéj téj agitacyi główną rolę gra kwestya polityczna, współzawodnictwo o władzę; że pomiędzy apostołami dzisiejszego komunizmu mało kto wierzy w dogmata nowéj nauki,

które stoją w sprzeczności ze wszystkiém co dotychczas stanowiło podstawy cywilizacyi, rozwijania się narodów europejskich, ich potęgi ekonomicznéj i siły moralnéj; jednym się zdaje, że skoro dostaną się do władzy, potrafią rządzić ku większemu pożytkowi ludu, inni znowu z prostych pobudek miłości własnéj dobijają się wpływu i znaczenia, ogólne zaś niezadowolnienie z trudnych warunków życia w nowém cesarstwie niemieckiém, jedna wśród ludu najwięcéj stronników tym właśnie, którzy występują z najhałaśliwszą opozycyą, obiecują najlepiéj wszystko urządzić i zapewnić każdemu spokój i dobrobyt.

Byłoby zbyt śmiałém i zupełnie przedwczesném wydawać sądy stanowcze o znaczeniu i przyszłéj roli ruchu, który się rozpoczyna dopiero, ale bardzo ciekawém i korzystném zarazem zdało się nam rozpatrzyć w tym ruchu sąsiadującego z nami narodu, rozpoznać kierunki tego prądu, który obejmuje już dzisiaj wszystkie kraje Europy i budzi wśród prostaczków żywe nadzieje, a niemniéj silną trwogę szerzy wśród grup społecznych przewodniczących obecnie życiu publicznemu; trwogi i nadzieje pobudzają namiętności do wysokiego stopnia i stanowią bodaj prolog dramatu dziejowego, który rozegrywać się będzie w niedalekiéj przyszłości.

Do niedawna jeszcze twierdzono stanowczo, że u nas nauka socyalizmu zaszczepić się nie może i że dlatego kwestya społeczna dla nas nie istnieje. Nam się zdaje, że kwestye społeczne istnieją zawsze i dla każdego narodu, jeżeli zaś forma, którą ta kwestya dzisiaj mianowicie na niemieckiéj ziemi przybrała, wielu ludziom zdawała się do przesadzenia na nasz grunt niemożebną, musiało to pochodzić z tego chyba powodu, że się nie przypatrzyli w imię czego, i wśród kogo i w jaki sposób sprawa ta agitowaną była. Demokratyzowanie się społeczeństw europejskich, które na zachodzie idzie krokiem przyśpieszonym, u nas wyraża się dzisiaj jeszcze bardzo słabo przez obniżanie się powagi szlachty w życiu publiczném narodu, a coraz to większy wpływ żywiołu miejskiego na kierunek interesów. Przy zupełnym braku spraw politycznych, któreby życie publiczne podsycać mogły, ruch ten nie może być szybkim, ani jaskrawo bić w oczy każdego, a jednak czuć to doskonale, że w pojęciach ogółu mieszczaństwo przeciwstawi się właścicielom ziemskim. Żywioły składające mieszczaństwo nasze niezłożyły się jeszcze w żywy organizm, dlatego nie można wśród niego rozróżnić pierwiastków składowych, pierwiastki te żyją obok siebie spokojnie, bo bezczynnie, dlatego zdają się być w zgodzie i przyjaźnie pracować na polu ekonomiczném; teorye ekonomiczne o harmonii interesów przeważnie dotąd u nas panują i nikt nie ma powodu podejrzewać, że zgodę taką

cokolwiek bądź zamącić może na czas dłuższy. A jednak kwestye społeczne dojrzewają co prawda długo, stają się zaś potém zupełnie niespodzianie, a stają odrazu ostro i hałaśliwie, bo dopiero zajścia pomiędzy liczniejszemi grupami ludzi rzucają pytanie: jak złemu zaradzić?—i wtedy nagle budzą się umysły ze spokoju, który zdawał się być niczém nie zagrożony. Zajścia tego rodzaju wywoływane bywają ścieraniem się interesów i nie trzeba na to żadnych szczególnych warunków ani okoliczności, ażeby ludzie w sprawach ekonomicznych doszli do nieporozumień, dosyć na to aby jednéj ze stron interesowanych ktokolwiek wmówił, że jéj się krzywda dzieje, takich zaś ochotników do nauczania, do opiekowania się dolą ludu dzisiaj nie braknie nigdzie i robią to w najlepszéj wierze z mocnym przekonaniem, że przez to bronią słabych przeciwko silnym.

Podczas kiedy u nas przewaga mieszczaństwa w życiu narodu dla jednych jest dopiero upragnionym celem, dla drugich zaś faktem trochę przerażającym od któregoby się chcieli obronić, na zachodzie Europy rzeczy zaszły znacznie daléj. Tam mieszczaństwo albo zagarnęło zupełnie w swe ręce kierunek spraw publicznych, albo dzieli się niém narówni ze szlachtą; ale zaledwo dobiło się ono tego znaczenia i zasiadłszy w parlamentach zaczęło się rozporządzać groszem publicznym, a panowanie swoje nazywać tryumfem demokracyi, zaraz zaczynały się wydzielać odrębne grupy ludności przyznające sobie jedynie prawo mianowania się demokracyą. Nie miały one udziału w rządach, podejmowały więc opozycyą przeciwko nim; niedość na tém, wśród samejże klasy rządzącéj znajdowały się zwykle osobistości chętnie podejmujące się roli przywódców tego ruchu, najdowcipniejszémi środkami agitacyi starali się oni powiększyć liczebnie grupy malkontentów, ażeby zmusić rządy do baczniejszego rozpatrywania się w ich interesach i dopuszczenia ich do udziału w prawodawstwie. Tak, obok mieszczaństwa stanął lud zszeregowany, z pośród niego zaczęły się podejmować kwestye społeczne i narzucać się do rozwiązania. Wszystkich tych, którzy brali na siebie zadanie wyjaśniać interesa ludu, wskazywać jak im należy zadość uczynić, występowali z domaganiem, nieraz hałaśliwem, ażeby prawodawstwo urządziło stałą opiekę nad dolą ludzi nieposiadających niczego oprócz rąk do roboty, wszystkich tych nazywano socyalistami. A że przytém nie obchodziło się nigdy bez silnego rozdrażnienia namiętności, że wymagania zazwyczaj znacznie przewyższały możność ich zadowolnienia, że socyaliści często szli na przebój i szerzyli niepokój społeczny, nie dziw więc, że wszystkie żywioły zachowawcze oburzały się na nich, i nie rozpatrując się bliżéj w różnicach jakie pomiędzy nimi zachodzić mogły, potępiały ich wszystkich razem, a nazwa so-

cyolisty stała się znamieniem potępienia. Dzisiaj jednakże kiedy te sprawy stają na porządku dziennym robót rządowych i prawodawczych, należy się im przypatrzyć z bliska i rozróżnić rozmaite gatunki, tego, do niedawna za ogólnie szkodliwy uważanego rodzaju.

W ostatnich dwóch dziesiątkach lat socyalizm rozrósł się i wybujał ze szczególną siłą na ziemi niemieckiéj, że zaś Niemcy są rozmiłowani w systematyzowaniu, specyalizowaniu, rozróżnianiu wszystkiego do najdelikatniejszych odcieni, spotykamy więc u publicystów niemieckich dziwnie brzmiące nazwy: socyalizmu zachowawczego obok rewolucyjnego, socyalizmu katolickiego i protestanckiego obok ateistycznego, socyalizmu naukowego obok agitatorskiego, i tam w Niemczech zarówno ks. kanclerza jak i Karola Marxa, twórcę międzynarodówki, można nazywać socyalistą. Mniejsza jeszcze byłoby o nazwy, ale socyalizm i jego doktryny tyle zajmują miejsca w życiu publicznèm Niemców, tak panują nad ich umysłami, że dzisiaj na wszystkich stopniach stanowisk społecznych, bogactwa, nauki i wykształcenia, w parlamentach i na ulicach, w klubach i w szynkowniach, na kazalnicach i w Uniwersytetach można spotykać socyalistów. Wszystko to dzieje się w Berlinie i we Wrocławiu, o kilkanaście godzin drogi od Warszawy, procesa agitatorom socyalistom wytaczają się w Poznaniu i w Krakowie, pismo socyalistyczne dla ludu od lat kilku wychodzi we Lwowie, w Paryżu zawiązuje się kółko socyalistów specyalnie polskich, odezwy ich zapewne potrafią się przedrzeć do Warszawy i do Wilna; dla czegóż więc, wśród podobnych okoliczności, mielibyśmy twierdzić że nauka socyalizmu u nas zaszczepić się nie może? Owszem, powinnoby to nas zachęcić do bliższego rozpatrzenia się jakiemi środkami wśród sąsiadów naszych rozrosła się owa siła, którą tam mianują demokracyą socyalną.

I.

Socyalizm jako pewien kierunek polityczno-społeczny spotykamy już w historyi starożytnéj, ale dzisiejsze jego formy biorą swój początek w ruchu umysłowym rozbudzonym we Francyi, w pierwszéj ćwierci bieżącego stulecia, pismami Saint-Simona. Ten potomek towarzyszy Karola Wielkiego, wychowanek d'Alamberta, kapitan gwardyi Ludwika XVI, ochotnik wojujący w Ameryce, przedsiębiorca interesów finansowych z epoki wielkiéj rewolucyi, zwiedził całą Europę, znał wszystkich znakomitych ludzi swojego czasu, od każdego z nich czegoś się uczył i w tym celu, obyczajem dawniejszych wielkich panów, wszystkich ściągał do swego domu, karmił ich, poił, sam

życia używał - i dożywszy lat sześćdziesięciu pięciu umarł w nędzy, zarabiając na swe utrzymanie przepisywaniem papierów. W dziewiętnastym roku życia już był nakreślił plan przekopania międzymorza panamskiego, a ciągle szukał po świecie jakichś idei ogólnych, któreby mu podały sposób usunięcia nędzy i cierpień ze społeczeństw ludzkich. Owoce swych badań i rozmyślań spisał w wielkiéj ilości broszur, artykułów po pismach peryodycznych i w obszerniejszych dziełach, a myśli jego ostatecznie tak się złożyły. Obecne stosunki społeczne wykształciły się historycznie, pierwszym ich zawiązkiem u początku wieków średnich, był stosunek zdobywców do zwyciężonych i oparte na nim prawo własności ziemi, a chociaż w systemacie feudalnym ułożył się on w pewien ład i porządek, nosił jednak i nosi na sobie piętno swego pochodzenia, źródłem jego nie było prawo ale przemoc. Co ludzie zrobili w ciągu wieków to mogą i powinni przerobić. Pojęcie sprawiedliwości wymaga aby ludzie najlepsi i najużyteczniejsi zajmowali najpierwsze miejsce w społeczeństwie, zatém rządy narodów należéć powinny do tych, którzy najlepiéj pracują umysłowo i przemysłowo. Oni to powinni usuwać wszelkie przeszkody, jakie na drodze życia ludzie spotykają do kształcenia się i rozwoju, powinni mądrze kierować pracą ludzką, skupiać w stowarzyszeniach siły produkcyjne, dając im przez to znacznie większą wydajność i sprawiedliwie w duchu miłości rozdzielać bogactwa wyrobione. Streszczało się to w znanéj powszechnie formule którą St. Simon pozostawił jako hasło swym uczniom: „każdemu dać stanowisko odpowiednie jego zdolnościom, każdą zdolność wynagrodzić stosowie do jej zasługi“. (A chacun selon sa capacité, a chaque capacité selon ses oeuvres).

Uczniowie St. Simona, byli wszyscy prawie ludźmi znakomitych zdolności, hołdując jednak ówczesnemu ogólnemu prądowi reformowania świata za pośrednictwem nowych religij, myśli mistrza zaczęli formułować w dogmata i organizować kult nowy, ze swoją biblią, katechizmem i obrzędami, na téj drodze zużyli się prędko, i rozproszyli się po świecie. Bazard, jeden z pomiędzy nich, spodziewał się dobić jakiegoś praktycznego celu proponując ograniczenie prawa dziedzictwa do blizkich stopni pokrewieństwa, ażeby dać przezto rządowi środki wynagradzania ludzi zasłużonych. Myśl ta przebrzmiała bez echa w sferach prawodawczych, ale odtąd wszyscy socyaliści w teoryi przenoszą na istniejące władze państwowe obowiązki, które St. Simon wkładał na obmyślany przez się rząd idealny, a co zatém idzie, domagają się od władzy prawodawczéj i wykonawczéj ażeby doprowadzały do wymarzonéj przez nich harmonii stosunki społeczne.

Hasło St. Simona odezwało się echem w tysiącach głów, zaczęły mnożyć się projekta i całe systemata uszczęśliwienia narodów i ludzkości w ogóle, znalazło się nie mało ludzi niezadawalniających się budowaniem teoryj, lecz usiłujących maksymy stosować do życia, wszystkie lata panowania Ludwika Filipa we Francyi pełne były niepokojów i agitacyj zarówno politycznych jak i społecznych, które z nową siłą odżyły wśród rewolucyi r. 1848. Spółcześnie z nowemi teoryami, na zachodzie Europy rozwijał się olbrzymio ruch przemysłowy, a praktyka życia wywołała wśród tego ruchu dwa zjawiska, które mogły korzystnie wpływać na polepszenie stanowiska robotników w rzemiosłach i fabrykach, a które dopatrzywszy socyaliści, chcieli rozwijać na wielką skalę i używać ich za narzędzie propagandy, potém zaś wskazywali jako jedyne środki zbawcze przeciwko ubóstwu proletaryatu. Były to: najprzód *stowarzyszenia spółdzielcze* (associations coopératives productives), które próbowano stosować do przedsiębierstw, tak iżby stowarzyszeni robotnicy byli sami właścicielami kapitału zakładowego i obrotowego, a wartość całego wyrobu tj. nietylko zarobek ale zysk i procent od kapitału mogli dzielić pomiędzy sobą, stosunkowo do ilości dostarczonego funduszu i wykonanéj roboty. Już w r. 1840 istniało kilka podobnych stowarzyszeń w Paryżu a jedno z nich: przedsiębiorstwo malowania mieszkań, istniejące dotychczas, cieszyło już wtedy wielkiém powodzeniem. Późniéj powstało tego rodzaju przedsiębiorstwo w Anglii, głośne po całéj Europie pod firmą „Pionierów Rochdalskich" które dorobiło się nawet znacznych kapitałów. Warunkiem jednak takiego stowarzyszenia było posiadanie przez robotników jakiegoś kapitału, któryby mógł dać środki rozpoczęcia przedsiębiorstwa, więc kombinacya tego rodzaju nie dawała się stosować powszechnie do całéj klasy roboczéj. Drugim zjawiskiem były *stowarzyszenia* pewnéj ilości robotników *jednego fachu* (trades-unions), którzy porozumiewali się bliżéj pomiędzy sobą co do interesów im wspólnych, opłacali składki, pomagali sobie wzajemnie, i w tém połączeniu nabierali pewnéj siły opierania się wymaganiom przedsiębiorców, czyli jak ich dziś nazywają pracodawców, a przez to mogli na nich wymódz korzystniejsze dla siebie warunki.

Jeszcze przed rewolucyą r. 1848 Ludwik Blanc posunął o krok naprzód doktrynę socyalizmu spisując swój projekt „Organizacyi pracy."

Ekonomiści szkoły Szmitha i Rikardo twierdzili, że praca jedynie wytwarza wartość, dla nadania zaś jéj jak największéj energii i siły natężenia widzieli konieczność dopuszczenia pomiędzy pracującymi nieograniczonego, zupełnie swobodnego spółzawodnictwa;

rządy europejskie skłaniały się ku tym teoryom i wiele prawodawstw uznało wolną konkurencyą w handlu i przemyśle. Blanc dowodził, że spółzawodnictwo zupełnie swobodne musi koniecznie dać przewagę silniejszemu tj. bogatszemu, że zatém słabszych, uboższych tj. wyrobników spycha ono w coraz gorszą nędzę i rodzi coraz liczniejszy proletaryat. Tymczasem robotnikowi, który wytwarza wartość i mnoży bogactwo narodowe, należy się w społeczeństwie stanowisko lepsze aniżeli to, jakie mu obecnie zapewnia jego zarobek. Rząd jest najbogatszym właścicielem w kraju, rozporządza milionowym budżetem, jeżeliby więc zeszedł w szranki spółzawodnictwa handlowego i przemysłowego, niezawodnie odniósłby tam zwycięstwo nad wszystkimi prywatnymi kapitalistami. Niech więc rząd udzieli współce robotników kapitału potrzebnego na urządzenie fabryki, zakupienie narzędzi i materyałów, oni w takim razie, opłacając niewielki procent na umorzenie kapitału, resztą zysków mogliby dzielić się pomiędzy sobą, a oparci na finansowéj potędze rządu zwyciężą kapitał prywatny i w ten sposób konkurencya, główne źródło nędzy i cierpień ludzkich, zniknie ze świata. W téj epoce nowéj ogólnéj harmonii, zapewne jedne niebezpieczeństwo mogłoby jeszcze grozić ludziom oswobodzonym od obawy aby ich kto nie prześcignął w pracowitości i przemyślności, bo pozbawieni tego najsilniejszego bodźca do pracy i wysiłku, który nazywamy interesem osobistym, możeby nie bardzo chcieli pracować i trudzić się całe życie. Niebezpieczeństwo to L. Blanc widział, ale wskazywał na nie środek, wedle niego niezawodny; oto ażeby rząd kierując wychowaniem nowych pokoleń wpoił w nie miłość dobra publicznego, wtedy dobro publiczne stanie się dla każdego naturalnym celem życia, przedmiotem zabiegów, usiłowań i dążności ludzkich, a takie zasady wszczepione w naturę ludzką przez wychowanie będą niewątpliwie silniejszym bodźcem do pracy aniżeli pobudki interesu i egoizmu.

Projekt ułożony w ten sposób przez L. Blanc'a, jest dotąd ostatnim słowem socyalizmu organicznego. Nauka i agitacya socyalna przeniosłszy się na ziemię niemiecką, rozrosły się do niewidzianych przedtém rozmiarów, rozwinęły bez porównania silniejszą, ostrzejszą i głębszą krytykę obecnych stosunków społecznych, wyrzekły się niby marzeń ideologów francuskich i trzymają się jakoby metody pozytywnéj; ale w projektach organizacyi nie postawiły dotąd ani jednego kroku naprzód. Cała agitacya Lassala była osnuta na myśli zapożyczonéj od L. Blanc'a, a cała krytyka Marxa doprowadza do obietnicy że: z natury rzeczy, z historycznego, logicznego i organicznego rozwoju społeczeństw ludzkich wypada: iż prawo własności pry-

watnéj musi się rozpłynąć i przejść w formę własności ogólnéj państwa przyszłości.

Ponieważ samą podstawą socyalizmu jest akcya rządowa na polu ekonomiczném, więc sprawy socyalizmu mięszać się ciągle muszą z politycznemi, i mimowoli będziemy musieli co chwila dotykać kierunków politycznych. Teorye uczonych zarówno jak usiłowania agitatorów muszą tu przybierać barwę polityczną, szczególnie w krajach, w których społeczeństwo ma mniéj znaczny udział w administracyi i prawodawstwie. Radykaliści socyalizmu, np. uczniowie i zwolennicy Marxa, przypisują wprawdzie opisywanemu przez siebie procesowi ewolucyi ekonomicznéj, znaczenie i siłę prawa natury, działającego ślepo, jako siła elementarna, pomimo woli i wiedzy ludzi; dodają jednak, że zadaniem ludzi prawdziwie mądrych jest, dopomagać temu działaniu natury, obmyślać środki ulżenia trudnemu porodowi przekształceń społecznych. Nadaje to ich słowom w oczach gminu jakby namaszczenie jakieś religijne; opowiadając prostaczkom o tajemnicach swojéj historyozofii, budzą w nich dla swych dogmatów wiarę fanatyczną, i ruchowi mas nadają charakter jakiegoś namiętnego, jakby na religijnych motywach opartego działania; kto bowiem podejmuje się dopomagać koniecznym prawom rozwoju ludzkości, chce współdziałać z prawami natury, może wierzyć, że działa zgodnie z wolą istoty najwyższéj.

Tezy takiego rodzaju jak—zniesienie prawa własności, rozwiązanie związku rodziny, a chociażby usunięcie prawa dziedziczenia lub dostarczenie wyrobnikom darmo narzędzi do pracy i materyałów do obrabiania,—mogą być zapewne bronione w dobréj wierze przez ludzi zatopionych w abstrakcyach, widzących w analizie najwyższy szczebel mądrości, dla których sofizmat za prawdę uchodzić będzie skoro da się uzasadnić wedle prawideł logiki formalnéj, a przypada gładko do dyalektycznéj metody filozofowania. Na seryo mogą się téż obalamucić nimi ludzie na wpół wykształceni, którym można wmówić że zrozumieli jaką zasadę, a wtedy trzymają się jéj ślepo i bezwarunkowo, bo ją uważają za swój skarb duchowy. Ale trudno przypuścić aby ludzie prości, rządzący się zdrowym rozsądkiem, ażeby ludność wiejska, a nawet proletaryat fabryczny uwierzył, że ziemia może nie należéć do nikogo, fabryka nie być czyjąś własnością, że machina nie należy do fabrykanta, albo żeby materyał obrabiany nie musiał być od kogoś wzięty i opłacony. Wszyscy zaś oni mogą łatwo chciéć, a nawet gorąco żądać, ażeby te wszystkie rzeczy były *im* oddane i stanowiły *ich* własność, skoro się im do tego wskazują drogi niby możebne, i zapewnia się ich, że biorąc to w swe używanie dopomagają tylko koniecznym prawom natury. Dogmata zasadnicze

socyalizmu nie są zwykle objaśniane ani tłómaczone, ale poprostu jako artykuły wiary narzucane. Żeby zaś ludzi pogrążonych w ciężkiéj pracy wyrwać z otaczającéj ich atmosfery realnéj i przenieść w sam środek mgławicy wysnutéj z fantazyi mistrzów, przesuwają im przed oczami obrazy lepszéj przyszłości, poprawy ich bytu materyalnego i warunków życia, przyrzekają ziszczenie tego wszystkiego, skoro zasady nowéj wiary uznane zostaną za prawo obowiązujące. Dla osiągnienia tyle pożądanego rezultatu trzeba usiłować i pracować nad tém ażeby oni, co znaczy ich przywódcy, dostali się do władzy, brali czynny udział w rządzie, a nawet sami wyłącznie rządy państwa sprawowali. Dokazać tego mogą jedynie organizując się w grupy najściślejszą solidarnością z sobą związane i utrzymywane w należytéj karności. Otóż i pole otwarte do agitacyi politycznéj.

Tocqueville powiada że lud francuski w końcu ośmnastego wieku coraz żywiéj odczuwał ciężar swéj pozycyi w miarę jak się ona poprawiała; w historyi, dodaje on, widzimy dużo podobnych przykładów, nieraz naród, który zdawał się nie czuć zgoła ucisku praw niesprawiedliwych, znosił je cierpliwie i bez skargi, odrzuca je ruchem gwałtownym skoro ciężar ich zmniejszać się zaczyna. Zło wszelakie. znoszone cierpliwie póki zdaje się być nieuniknioném, staje się nieznośném jak tylko dostrzeżemy możność uwolnienia się od niego, cierpienie się zmniejsza ale zarazém potęguje się czułość. Gorzéj jeszcze wrażliwym zrobi się człowiek, który doznał w swym losie ulgi chwilowéj, zasmakował w lepszym bycie, i nanowo musi wracać do niedostatku. A wszakże zmienne losy wielkiego przemysłu stawią nieraz ludność wyrobniczą w téj smutnéj pozycyi i to właśnie stanowi całe niebezpieczeństwo dla spokoju społecznego dzisiejszéj kwestyi robotniczéj. Jeden z najsympatyczniejszych filozofów spółczesnych F. A. Lange dopatruje powodów tego usposobienia w samych popędach serca ludzkiego, w nieodmiennych prawach naturalnego rozwoju ludzi i społeczeństwa. Pozwolimy sobie powtórzyć kilka myśli jego, gdyż one malują jasno powody niepokoju jaki dzisiaj zdaje się ogarniać cały świat cywilizowany.

„W naturze organicznéj, powiada Lange (1), bezpośrednim wyrazem walki o byt jest ubieganie się o miejsce korzystniejsze. Rośliny i zwierzęta jednakże walczą tylko o przyswojenie sobie miejsca cieplejszego, wilgotniejszego lub lepiéj ochronionego; człowiek zaś wy-

---

(1) Die Arbeiterfrage. Ihre Bedeutung für Gegenwart und Zukunft. Winterthur 1875 str. 46—48.

tworzył w życiu społeczném tak ogromną ilość stopniowań, tak wielką liczbę stanowisk korzystniejszych, że musimy w tém uznać działanie szczególnych, jemu tylko właściwych popędów. Nikt nie zaprzeczy, że w téj tak bogato rozwiniętéj organizacyi życia społecznego przejawia się wyższa natura człowieka, jednakże w niezmiernem stopniowaniu dobrobytu, wiążącym się z tą organizacyą, leży też i zło, a leżéć będzie dopóty, dopóki wielka masa ludzi musi dźwigać na sobie cały ciężar zabiegów około utrzymania życia fizycznego, a uprzywilejowana mniejszość jedynie dochodzi do pełnego rozwoju duchowego. Przyczyną i pierwotną zasadą walki o byt w naturze organicznéj jest wytwarzanie się ciągłe, i to w niezmiernie wielkich ilościach, zarodków życia, z pomiędzy których znaczna większość koniecznie ulegać musi zniszczeniu. Łatwo dopatrzyć w życiu społecznem działanie odpowiedniego prawa, rządzi ono przymiotami służącémi osobnikom do zdobycia sobie i zachowania stanowiska korzystniejszego; zarodki uzdolnienia i zarodki żądzy do zajmowania stanowisk wyższych, przewodnich, rozsiane są w masach ludzi; a ogromną ich większość już sama natura skazuje na zanikanie i zniszczenie. Natura niedba oto iż to zanikanie człowiek *czuje*, że nosi on w sercu świadomość bolesną rozwijania się w sobie *jedynie tylko* uzdolnień niższego rzędu, kiedy wyższe przymioty mogłyby go powołać do działalności znacznie szerszéj, która przed nim pozostaje zamkniętą na zawsze. Tym siłom wybijającym się ustawicznie na wierzch, ciężar powszedniéj walki o byt stawi opór stały. Gdyby nie troska o byt materyalny, w każdym człowieku mogłyby się rozwijać w swéj pełni przymioty najszlachetniejsze, odpowiednio do zasobu siły jaką w sobie nosi. Szlachetniejsze popędy ludzkie dążą zwykle do rozwijania się harmonijnego dopomagając w tém sobie wzajemnie, tylko konieczność roboty pospolitéj utrzymuje je wszystkie pod ciągłém ciśnieniem, i to tém silniejszém, im bardziéj całość sił musi się zużywać na samo utrzymanie bytu materyalnego. Ciśnieniu temu ustawicznie przeciwdziała pewien odpór, niech w skutek jakichbądź okoliczności ciśnienie się zmniejszy, natychmiast strzelają w górę w niewidzianéj obfitości postacie nowe, prześcigające częstokroć w zasługach tych, którzy im przewodniczyli... Niechże nacisk się zwiększy, a najwspanialsze talenta karłowacieją i to z pełną świadomością swego upadku..."

Uwagi te głębokiego myśliciela, wskazujące genezę niepokojów społecznych, w saméj naturze człowieka pragnącego *zawsze* dla *siebie* czegoś lepszego, nie tłómaczą jeszcze dla czego za dni naszych niezadowolnienie to żywszem jest bodaj, a przynajmniéj daleko ruchliwszém i wyraźniejszém niż kiedykolwiek, na to musimy jeszcze poszu-

kać objaśnienia w wypadkach historycznych; działających na ludzi bezpośrednio w epoce dzisiejszéj.

Wszyscy powtarzaliśmy nieraz że żyjemy w epoce przejścia, bo rzeczywiście stare porządki zdają się wszędzie rozpadać, przechodzimy więc do nowych, które się jeszcze nie dość wyraźnie w umysłach ludzkich zarysowują. Główne cechy czasów naszych stanowią: częstsze niż dawniéj zmiany w stanowiskach społecznych ludzi, coraz szybsze rozwijanie się nauk, a w skutek tego coraz nowe zmiany w pojęciach, co wszystko oznaczać musi, że się w koło nas zmienia porządek społeczny i że żyć musimy w niepewności i wątpliwościach póki się sprawy ludzkie wedle nowych pojęć nie ułożą w ład trwalszy, w szyk prawidłowszy. A jak dawniéj wielkie odkrycia naukowe kompasu, prochu strzelniczego, druku poprzedziły epokę renesansu i reformacyi i rozpoczęły przekształcenie systematu feudalnego, dając możność panującym obchodzić się bez potężnych a niebezpiecznych swych wasalów, tak samo czasy nasze poprzedza wynalazek machiny parowéj, przychodzą mu w pomoc udoskonalenia w matematyce, dające możność urządzenia niezliczonéj ilości przyrządów mechanicznych, potęgujących wydajność pracy ludzkiéj i ruchliwość człowieka. Pod wpływem tych faktów przekształca się przemysł i odkrywa nowe drogi, nowe sposoby zaspokajania potrzeb ludzkich. Jednocześnie z machiną parową powstaje nauka Ekonomii politycznéj czyli gospodarstwa społecznego, podaje ona zasady nowe i w imię zwiększenia bogactwa narodów, w celu dostarczania ludziom większéj ilości środków do opędzania potrzeb, domaga się swobodnego spółzawodnictwa w przemyśle i handlu, zniesienia wszelkich przywilejów, mogących wpływać na stosunki gospodarskie i oddziaływać na podział wytworzonych wartości pomiędzy czynnikami produkcyi; domaga się zarazem ażeby władze państwowe nie mięszały się zgoła do spraw przemysłu i pozostawiały je wyłącznemu kierunkowi osobistego interesu każdego człowieka. Filozofowie wieku 18-go przeprowadzają przewrót radykalny w pojęciach ludzkich, uczą że ludzie na mocy prawa naturalnego są równi pomiędzy sobą i muszą być wolni, głoszona przez nich doktryna, podbudzająca wszystkie najszlachetniejsze uczucia i popędy człowieka, łatwo znalazła wiarę wśród mas ludowych, w przewrotach zaś rewolucyi francuskiéj stała się ona podstawą prawa publicznego i zbiegiem czasu, jako zasada równości przed prawem, przeszła w prawo obowiązujące prawie u wszystkich narodów Europy, tak że dzisiaj wpływ jéj odbija się w każdym akcie prawodawczym.

Tak więc w ciągu ostatnich lat stu w Europie powołane zostały do życia nowe siły fizyczne i moralne, działają one bez przerwy

na stosunki ludzkie i wywołują wielką obfitość komplikacyj nieznanych dawniéj. Wszystkie zabytki porządku feudalnego, które przechowywały się tak długo pod skrzydłem państw nowożytnych, idą obecnie na zupełne zatracenie: poddaństwo ludu pracującego na roli nigdzie już w Europie nie istnieje, swoboda przesiedlania się uznana niedawno temu w Niemczech i we Włoszech, w Anglii i we Francyi istnieje oddawna, udoskonalone środki komunikacyi ułatwiają korzystanie z téj swobody, praca rzemieślnicza i fabryczna wyzwolona z pęt, które ją w dawniejszych cechach zaciskały, miasta i wsie porównane w prawach i obowiązkach, sądy wszystkim jednostajnie obowiązane są wymierzać sprawiedliwość. Wśród tych zmian zaginęły całkowicie przyczyny dawniejszéj przewagi społecznéj i politycznéj wielkich właścicieli ziemskich, ogromne majątki duchowieństwa prawie wszędzie przeszły na własność skarbu, co odjęło duchowieństwu znaczenie klasy społecznéj opierającéj się na środkach materyalnych. Wzbogacone wspaniałym rozwojem wielkiego przemysłu—mieszczaństwo, stanęło do spółzawodnictwa o wpływ społeczny i władzę polityczną z potomkami dawnych rycerzy i następcami biskupów i opatów; we Francyi odniosło ono zwycięstwo zupełne, w Anglii siły ich równoważą się, w Niemczech od roku 1866 i 1870 dopiéro rozpoczęła się na seryo walka na arenie życia publicznego. Po wsiach, pracowity lud rolniczy, w większéj części Europy, ma sobie zapewnioną własność gruntów na których pracuje. Prawo własności, wśród tych wszystkich przewrotów pozbyło się rozmaitych ścieśnień i ograniczeń, jakim dawniéj ulegało, stało się bodaj więcéj jeszcze absolutném, nazywa się dzisiaj świętém i nienaruszalném, uważane jest za zasadniczą podstawę porządku społecznego, na któréj oparte stosunki swobodnie już kształtować się mają.

Tymczasem przemysł wielki, wspierany siłą pary i ciągle doskonalonémi narzędziami, wyrabia coraz łatwiéj coraz większe ilości rzeczy potrzebnych ludziom; dla dokazania tego skupiać on musi większą liczbę ludzi koło swych fabryk, które grupują się w miejscach dla fabrykacyi dogodniejszych. Ludzie ci, robotnicy, we wszystkich gałęziach przemysłu, pod względem ekonomicznym znajdują się w położeniu zupełnie jednostajném; za robotę swoję pobierają oni pewną, umówioną z góry opłatę, zwaną *zarobkiem* (salaire, Lohn; wages), który jest ich jedynym dochodem, jedynym dla nich środkiem wyżywienia siebie i swych rodzin. Zarobek w fabrykach musi być naturalnie większy aniżeli opłata robót polowych wiejskich, bo inaczéj wieś, ten rozsadnik ludności zdrowéj i silnéj, nie wysyłałaby synów swoich do miast dusznych i do zakopconych warsztatów fabrycznych; przemysłowcy więc dając ludziom możność zara-

biania więcéj, mają prawo uważać siebie za czynnik w społeczeństwie arcy pożyteczny.

Przemysł wielki, który tak obficie mnoży wyroby, otoczony jest mnóstwem niebezpieczeństw. Rzemieślnik dawniejszy pracujący z kilku czeladnikami przy małym warsztacie, czekał zwykle zamówienia wyrobu, którego zbyt był dlań przeto zawsze zabezpieczony. Fabryka, z kosztownemi machinami, ze znacznym kapitałem stale uwięzionym w samém urządzeniu, nie może czekać zamówień, musi pracować ciągle, i wyrabiać swój produkt na zapas, właściciel jéj zmuszony jest brać na siebie szanse odbytu a zatém zysku lub strat. Powodzenie zależéć tu będzie głównie od bystrości spostrzegawczéj i talentów kupieckich fabrykanta; do umieszczenia swego produktu ma on otwarty przed sobą niemal świat cały, ale téż odpowiednio do tego ogromu powikłanych stosunków handlowych, musi umiéć obejmować myślą mnóstwo najróżnorodniejszych kombinacyj. Przy wielkim rozszerzeniu rynku zachodzić koniecznie muszą okoliczności nieprzewidziane, a to tém pewniéj, że wskutek saméj łatwości zmiany miejsca, znaczna liczba ludzi jest w ustawicznym ruchu; nowe potrzeby, nowe pragnienia bardzo naturalnie rodzić się między nimi będą, o nawyknieniach wczorajszych na które liczył fabrykant mogą zapomniéć jutro, w takim razie wyroby bez nabywców nie będą miały ceny, stracą wartość w jego składach. Każdy téż przedsiębiorca, wstępujący na nowo w szranki współzawodnictwa przemysłowego, pobudzony gorącą żądzą zysku, ufny w swoje siły, spodziewa się, że potrafi lepiéj od innych zrobić jakiś wyrób, potrafi sprzedać go korzystniéj, gdy zaś konkurować musi nietylko z sąsiednią fabryką, ale i z odległémi krajami, łatwo zdarzać się może, że pewnego wyrobu znajdzie się zbyt dużo i że znaczna jego ilość nie będzie na razie sprzedaną. Owóż podobne zawody często spotykają fabrykantów, i pomimo zbyt rozsławionéj świetności ich powodzeń finansowych, wielu z pomiędzy nich nie rzadko spotykają się ze stratami. Szanse zysków i strat stanowią ryzyko przedsiębiorców, do którego dzisiaj przywiązywać muszą ogromne znaczenie i na pokrycie którego zwykle odliczają znaczne części swoich zysków. Płacąc robotnikom pewną stałą cenę za robotę, uwalniają ich od tego ryzyka i biorą je w całości na swój rachunek, mogą więc uważać ten stosunek za bardzo wygodny dla robotników, ponieważ, jak twierdzą, uwalniają ich całkowicie od niekorzystnych szans niepowodzenia przedsiębiorstwa.

Twierdzenie to ekonomiczne, tak słuszne w teoretyczném swém uzasadnieniu, nie zawsze jednak zgodne jest z rzeczywistością. Skoro bowiem wskutek nagromadzenia się towaru, braku nabywców lub braku gotówki na targu, nastają przesilenia przemysłowe, handlowe

czy finansowe prowadzące za sobą straty znaczniejsze, fabrykant musi wyrabiać mniéj; a więc albo odprawić pewną ilość robotników, albo od każdego z nich brać mniejszą ilość roboty dziennie, dla robotnika wyraża się to zmniejszeniem zarobku, albo i zupełném jego ustaniem. Zatém wyrobnik, chociaż nie na równi z przedsiębiorcą, ulega jednak szansom obrotów przemysłowo-handlowych, a jeżeli się one przeciw niemu obrócą, nastaje ów dzień straszny, w którym przy rozrachunku nie odbiera kwoty pieniędzy potrzebnéj na utrzymanie rodziny, albo co gorzéj dowiaduje się że nadal robota jego niepotrzebna, pozostaje więc bez chleba, a wyrzucony z najmowanego a nie opłaconego mieszkania i bez dachu, nazywa się to bezrobociem, a jest—głodem. Zapewne, że nie należy w obrazach fantastycznych przesadzać tych klęsk boleśnych, ani ich składać wyłącznie na winę przemysłu; wszakże nieurodzaj, pożar, powódź mogą pomiędzy robotnikami wiejskiémi sprowadzić nieszczęścia podobne, różnica okaże się w tém głównie że ludność wiejska, rozsiedlona po kraju szerzéj na większych przestrzeniach, miejscami tylko i w niewielkiéj liczbie na raz może ulegać klęskom elementarnym, podczas gdy ludność fabryczna, skupiona w gęsto zasiedlonych ogniskach ruchu przemysłowego, może w znacznéj masie jednocześnie znaleść się w położeniu bardzo ciężkiém. Nawyknienie do niedostatku, cierpliwość, rezygnacya rozwinięte są w znaczniejszym stopniu wśród ludności wiejskiéj; ludzie zebrani w liczną gromadę łatwiéj ulegają popędom gwałtownym, wśród mas namiętności wybuchają silniéj; zresztą na wsi bieda wynika z przyczyn widomych, z działania siły większéj, z woli bożéj—jak powiadają,—tutaj zaś nieszczęście zwykle spada zupełnie niespodzianie, fabrykant nie daje roboty, odmawia zarobku, jest na kogo złożyć winę swego cierpienia. Nie zapominajmy obok tego, że ludność fabryczna bliżéj się styka z wyższą cywilizacyą, z dostatkiem, ze zbytkiem,—słyszała nie raz i sama rozprawiać umie o wolności, o równości, o prawach swoich; ci zaś zpomiędzy wyrobników, którzy są rzeczywiście więcéj oświeceni tém żywiéj, tém dotkliwiéj mogą uczuć bolesny cios losu, który ich spotyka bez żadnéj winy z ich strony.

Wszystko to wyjaśnia dostatecznie, dla czego ludność wyrobnicza tak łatwo daje posłuch apostołom nauki socyalizmu, dla czego kwestya robotnicza w Europie zachodniéj i środkowéj nabiera coraz to przeważniejszego znaczenia, budzi niepokój i trwogę we wszystkich warstwach, grupach i partyach składających narody. A chociaż nad wyjaśnieniem i uproszczeniem jéj pracują statyści i filozofowie, prawodawcy i filantropi, pomimo to zagłusza ich mowy a często udaremnia prace, głos od nich silniejszy, wołanie donośne rozmai-

tych reformatorów społecznych, którzy obiecują kwestyą rozwiązać, załatwić za pomocą formuł komunizmu i urządzeń socyalnych. Doktryny te bez trudności opanowują umysły i zapalają serca całych mas ludzi nagromadzonych w miejscowościach fabrycznych, bo obiecują im pewność stałego i znacznie wyższego niż dzisiaj zarobku, a zarazem krótszą i lżejszą robotę, dodając do tego widoki: wpływu przeważnego na sprawy publiczne i władzy stanowienia o losach całego narodu, wszystko pod jednym warunkiem—aby apostoła uznali za swego naczelnego wodza, zobowiązali się być mu posłusznymi, i nigdy w żadnym wypadku go nie opuścili.

II.

Pan L. Bamberger, krytykując urządzenia stowarzyszeń rzemieślniczych, dowcipną robi uwagę, że kwestye społeczne w Europie zwykle rozwijają się tak: Anglik, przedewszystkiém myślący o sobie, przeprowadza jakiekolwiek urządzenie dogodne dla pewnéj grupy ludzi, organizuje takowe praktycznie i okazuje się ono korzystném; Francuz czuje się powołanym do pracowania dla dobra ludzkości, dostrzegłszy więc urządzenie angielskie opisuje je szczegółowo, idealizuje jego znaczenie i przypisuje mu własności nadmierne uszczęśliwiania ludzi; Niemiec wówczas dopatrzy w tém zasadę, rozmiłuje się w niéj, obrabia ją analitycznie, krytycznie i metodycznie, rozczłonkuje i rozgatunkuje, z umysłu jego wychodzi już ona jako prawo historycznego rozwoju, albo nawet jako prawo natury, działające na świat cały pomimo woli ludzkiéj. P. Bamberger zapewne nie uważa siebie za filozofa, zanadto się oddaje interesom praktycznym, ażeby poglądy jego w psychologii narodów miały być przyjmowane za prawdy absolutne; do pojęć i zasad komunizmu nie dadzą się one zastosować, bo komunizm na ziemi angielskiéj dotąd przynajmniéj najmniéj zdaje się plenić; ale obserwacya ta powierzchowna, w wielu wypadkach oddzielnych może się okazać prawdziwą. Jakkolwiek zresztą rzecz stoi ze zdolnością ducha niemieckiego do wynalazków, zaprzeczyć nie można, że przy każdym zwrocie myśli ludzkich, narodowi niemieckiemu nigdy nie zabrakło gwiazd pierwszorzędnéj wielkości, które przed nim nowe drogi rozświecały a nawet usuwając przeszkody torowały ścieżki do osiągnięcia praktycznych korzyści, w dobrym czy w złym kierunku doprowadzały zawsze do wielkich rezultatów. Fryderyk II podjął się udoskonalenia systematu równowagi europejskiéj i zrobił z Prus przeciwwagę Austryi,—Goethe i Szyller zaszczepili w serca niemieckie miłość poezyi, Kant i Hegel z metafizyki zrobili narodową niemal naukę, a dzisiaj

kiedy kierunek realistyczny zdaje się brać górę, Niemcy mają ks. Bismarka z jego polityką ultra realną, mają téż Karola Marxa niewyczerpanego w zarzutach przeciw obecnemu porządkowi społecznemu, wynalazcę metody konspiracyi otwartéj i głośnéj, uczącego jak należy na korzyść jéj obracać wszystkie udoskonalone środki, któremi nas obdarzyła cywilizacya; usiłującego przekształcić samę konspiracyą, z rzemiosła o kilkunastu czeladnikach, na wielką fabrykę produkującą towar rewolucyjny na zapas, korzystającą zarówno z wynalazków nauki, jak i ze wszelkich konjunktur wszechświatowego obrotu interesów przemysłowych, handlowych i politycznych.

Podczas gdy we Francyi za rządów Ludwika Filipa socyalizm rozkwitał bujnie, krzewiąc się w coraz nowe utopije wedle przepisów Fouriera, Cabeta, Piotra Leroux lub Proudhona, na ziemi niemieckiéj było zupełnie cicho. Tam pod patronatem ks. Metternicha w życiu politycznem panowała reakcya przeciw liberalizmowi przedzierającemu się z Francyi, a w sferze naukowéj wszystkie umysły były zajęte rozwijaniem i przekształcaniem metafizyki Hegla. W mniejszych tylko państwach niemieckich, w południowo zachodnich stronach i w niektórych uniwersytetach zaczynały się odzywać głosy swobodniejsze, przemawiające za udziałem ludu w rządach państwa, nie wychodziły one z granic bardzo skromnego liberalizmu i zamykały się w grubych księgach uczonych, nosząc charakter więcéj filozoficzny aniżeli polityczny. W Paryżu za to około r. 1836 słychać już o jakimś stowarzyszeniu komunistycznem, pomiędzy zamieszkałymi tam robotnikami niemieckimi, którym w r. 1839 wskutek emety i nieporządków ulicznych kazano opuścić Francyą; przenieśli się oni do Londynu i stamtąd starali się zawiązywać stosunki z wyrobnikami w Niemczech i w całéj Europie. W tymże czasie w Szwajcaryi było kilku rzemieślników niemieckich usiłujących prowadzić propagandę komunizmu. Pomiędzy uczonymi niemieckimi, którzy, na wychodztwie, wyznawali głośno najskrajniejsze teorye polityczne, wtedy jeszcze wcale nie było sympatyi dla komunizmu francuzkiego, lękali się oni — jak powiadał Ruge — ażeby zapał do kwestyi socyalnéj nie oziębił umysłów dla spraw politycznych, o które im przedewszystkiem chodziło. W r. 1840 wstąpił na tron pruski Fryderyk Wilhelm IV, lubił on towarzystwo ludzi uczonych, miał z nimi stosunki stałe, wysłuchiwał ich opinij w kwestyach często bardzo drażliwych. Wzrosły pod wpływem romantyzmu, lubował się w stosunkach średniowiecznych, w patryarchalnych formach państwowych; a chociaż był przeciwnikiem wszelkiego parlamentaryzmu i liberalizmu nowoczesnego, jednakże pod jego kierownictwem znacznie osłabło naprężenie akcyi urzędowéj militarno-biurokratycz-

néj; inteligencya całych Niemiec, wzdychająca do swobodniejszych warunków życia publicznego, zwróciła oczy na Prusy, gdzie od tronu zdawał się powiewać jakiś wietrzyk orzeźwiający.

W Kolonii nad Renem zgromadziło się kółko młodo-hegelianów, stanowiące jakby partyą ruchu pomiędzy filozofami i rozpoczęło tam wydawnictwo gazety *Rheinische Zeitung*. Wśród tego kółka odznaczył się prędko Karol Marx, dwadzieścia parę lat wówczas liczący syn ochrzczonego żyda, wysokiego urzędnika z Trewiru; studyował on prawo i filozofiją w Berlinie i w Bonn, przejął się cały ideami Hegla i zajął stanowisko wśród najskrajniejszéj lewicy szkoły heglowskiéj, w któréj Feuerbach idealizm i panteizm mistrza przekształcił był na materyalizm ateistyczny; odrzucając pojęcie absolutu, zaprzeczając istnieniu rozumu transcendentalnego i twierdząc, że na świecie istnieje jedynie człowiek konkretny, z ciała i kości, taki jakiego codziennie wszędzie widzimy, ten człowiek czuje i myśli, dlatego więc wszystko co na świecie istnieje – istnieje dla niego, a co się dzieje— dzieje się przez niego. Marx pisywał w Rheinische Zeitung i zaraz wykazał tak wielki talent pisarski i takie uzdolnienie do analizy i krytyki, że w r. 1842 poruczono mu naczelne redaktorstwo gazety. Pomimo stosunków w wysokich sferach urzędowych, bo ożenił się z panną Westphalen, siostrą późniejszego ministra pruskiego, stanął odrazu w opozycyi z rządem, a umiał ją prowadzić tak mądrze, iż po paru miesiącach musiano przysłać z Berlina osobnego cenzora do kontrolowania jego gazety, niewiele to jednak pomogło i z końcem pierwszego kwartału r. 1843 zabroniono mu ją wydawać.

Krytyka czynności *landtagu* reńskiego zwróciła uwagę Marxa na kwestye gospodarskie, któremi przedtem wcale się nie zajmował, wyjechał więc do Paryża i tam oddał się studyom ekonomicznym, a zarazem badał ciekawie wielki ruch rewolucyjny francuski z końca przeszłego wieku. Studya ówczesne doprowadziły go do przekonania: że Hegel mylnie widział w państwie, jako związku politycznym, najwyższy szczebel rozwoju ludzkości, że ludzkość żywi się i cywilizuje pracą gospodarską, że zatém społeczność cywilna jest najważniejszym związkiem ludzkim, i że jéj kształtowanie się coraz doskonalsze jedynie może doprowadzić ludzi do stanu odpowiadającego ich przeznaczeniu. Probował wydawać w Paryżu Rocznik niemiecko-francuski, potém założył gazetę *Vorwärts*, w niéj to, a zarówno w innych dostępnych sobie pismach prowadził daléj wojnę z rządem pruskim, tak gwałtowną, że w r. 1845 na żądanie ambasady pruskiéj został wydalony z Francyi. Osiedlił się wtedy w Brukselli i starał się zawiązywać stosunki z wyrobnikami, a w r. 1847 wydał w języku francuskim poważne dzieło krytyki ekonomicznéj „Misère

de la philosophie" — jako odpowiedź na tak głośne wówczas dzieło Proudhona „Philosophie de la Misère." W książce téj powstaje on przeciwko prudonowskiéj mięszaninie komunizmu francuskiego z ekonomią angielską i filozofią niemiecką, uważanéj wtedy pomiędzy socyalistami za największą mądrość i dowodzi: że sprawę swą mogą oprzéć jedynie na badaniu naukowém gospodarskiéj budowy społeczeństwa, że rezultata tych badań należy wykładać popularnie, bynajmniéj nie w celu budowania systematów fantastycznych, ale dla rozbudzenia pomiędzy wyrobnikami, a zarazem i wśród innych klas, świadomości tego udziału jaki oni biorą w historycznym procesie przekształcenia się społeczeństwa, odbywającym się ustawicznie i bez przerwy w obec całéj ludzkości.

Nowe to dzieło zwróciło na Marxa uwagę wszystkich ówczesnych socyalistów, owi zaś osiedli w Londynie od r. 1839 komuniści niemieccy, którzy już mieli szeroko rozgałęzione stosunki po całéj Europie, zażądali od niego aby się zajął ich sprawami i organizacyą. Zaraz więc, razem z drugim emigrantem niemieckim, najwierniejszym swym przyjacielem Engelsem, ułożyli manifest partyi komunistycznéj, który przed samą rewolucyą lutową paryską wydrukowany był w językach: angielskim, niemieckim, francuskim, włoskim, flamandzkim i duńskim i w ogromnéj ilości egzemplarzy rozesłany do wszystkich krajów. Pierwszy to program dzisiejszéj demokracyi socyalnéj wypowiedziany kategorycznie wobec świata; potępia on przewagę mieszczaństwa, jaskrawemi farbami maluje zależność i nędzę wyrobników, twierdzi, że przy dzisiejszym porządku społecznym los ich nigdy poprawić się nie da, że dążyć muszą ku obaleniu tego porządku, a ponieważ we wszystkich krajach położenie ich jest takie same, koniecznem więc jest dla nich solidarnie łączyć się z sobą i działać wspólnemi siłami, kończy się manifest taką brawadą: „Komuniści gardzą działaniem tajemném, niechcą ukrywać swych zasad ani zamiarów, wypowiadają więc głośno, że celu swego inaczéj dopiąć nie mogą jak siłą i gwałtem burząc dzisiejszy porządek społeczny. Niech drżą klasy panujące na myśl o rewolucyi komunistycznéj, proletaryusz może w niéj stracić tylko swe kajdany, świat zaś cały ma do zyskania. Proletaryusze wszystkich krajów jednoczcie się!"

Ruch r. 1848 rozproszył tę organizacyą. Marx z Bruksielli wyjechał do Paryża, z tamtąd w ślad za rewolucyą przybył do Niemiec, od 1 czerwca zaczął wydawać w Kolonii „Neue Rheinische Zeitung," która była organem i duszą nadreńskiego ruchu rewolucyjnego, prowadził ją w tonie niezwykle ostrym, pomimo dwukrotnie wytoczonego sobie procesu, potrafił utrzymać ją aż do końca ruchów w Saksonii, Palatynacie i Badeńskiém, ostatni numer wyszedł 19 czerwca 1849 r. zapowiadając, że się ukaże na nowo skoro okoliczności się

zmienią. Marks wyjechał do Paryża, a ztamtąd przejechał do Londynu gdzie się ostatecznie osiedlił, czas jakiś jeszcze probował kierować propagandą komunizmu, ale przekonawszy się ostatecznie, że społeczeństwa historyczne nie straciły jeszcze siły żywotnéj, że mogą się bronić lepiéj aniżeli przypuszczał, że stronnictwo jego za słabe ażeby mogło podjąć walkę skuteczną, w r. 1852 rozwiązał ligę komunistów i oddał się wyłącznie badaniom nad procesem przemysłu nowoczesnego, w klasycznéj jego ziemi w Anglii, rzucał kiedy niekiedy w świat broszury treści politycznéj; w r. 1859 wydał w Berlinie poważne dzieło „Zur Kritik der politischen Ekonomie,“ ale o czynnościach jego agitacyjnych odtąd nie było słychać aż do r. 1864.

Ruchy rewolucyjne niemieckie z lat 1848 i 1849 wykazały, że demokracya niemiecka, któréj sztab składali ludzie o świetnych talentach, nie miała jednak armii do wykonywania planów sztabu; lud niedał się rozruszać, zgromadzenia reprezentantów w Berlinie i Frankfurcie nie mogły zaimponować rządom państw niemieckich, król Fryd. Wilhelm IV nie przyjął ofiarowanéj sobie przez rewolucyą korony cesarskiéj, wszystko więc wracało do dawnego porządku. Jeszcze w r. 1850 ze dworu berlińskiego wychodzą nowe plany reformy politycznéj związku niemieckiego, rozbijają się jednak o niechęć Austryi i pod koniec tego roku niema już śladu całéj téj zawieruchy. Wodzowie demokracyi usposobienia republikańskiego, a tembardziéj propagatorowie przekształceń społecznych, nietylko ustąpili z pola działania, ale zawiedzeni w swych nadziejach, a nie czując się bezpiecznymi w kraju, opuszczali go pośpiesznie i rozproszyli się po całéj Europie. Pojmowali oni rewolucyą nie—jako wybuch namiętności, nie—jako protest przeciwko nędzy lub bezprawiu, ale jako płód myśli filozofów wcielonéj w zastępy proletaryatu; smutne doświadczenie nauczyło ich że się myśl ta nie miała jeszcze w co wcielać, że proletaryatu usposobionego do przyjmowania ich natchnień nie mają na swe zawołanie; zasiedli więc, jak powiada jeden z krytyków angielskich, nad wodami Tamizy i Lemanu rozwodząc swe żale i wyczekując niecierpliwie narodzenia się téj nowéj siły; doskonalili przytém swe plany i przemyśliwali nad sposobami uprzystępnienia ich dla pojęć ludu.

Jednocześnie wewnątrz kraju ze zmianą okoliczności rozpoczęło się przekształcanie się wyobrażeń; ideały polityczne zbyt trudne do osiągnięcia zaczęły stopniowo usuwać się na plan drugi, naprzód wystąpiły interesa ekonomiczne, które w oczach publicystów codziennie zdawały się nabierać większego znaczenia; liberalizm polityczny zmuszony do milczenia, przedzierżgnął się w liberalizm ekonomiczny, teorye angielskie wolnego handlu zyskiwały coraz więcéj zwolenników, a wydatniejsi w narodzie ludzie zwracali swe usiłowa-

nia ku wywoływaniu i podsycaniu ruchu przemysłowego. W Prusach u steru rządu stanęło ministeryum Manteufla i przeprowadzało nowe urządzenie państwa, na zasadach konstytucyi, którą król jeszcze w grudniu 1848 r. nadał swym ludom. Izba reprezentantów narodu, wybieranych jakoś zawsze z pomiędzy urzędników koronnych, czynnie pomagała w tém ministrom; nie trudno było zasady w konstytucyi zapisane modyfikować wedle potrzeby, i z ośmioletniéj pracy wyszła dzisiejsza organizacya państwa pruskiego, koncentrująca zarząd kraju w ręku ministrów przez króla mianowanych i przed nim jedynie odpowiedzialnych; zwołują oni sejmy, które obradują nad przedłożonémi sobie projektami do praw, mogą takowe poprawiać, a nawet odrzucać, ale ministrowie znowu mogą wybierać podatki i ściągać do wojska popisowych chociażby sejm odmówił zatwierdzenia budżetu, byleby mu potém złożyli rachunki. Sejm obraduje w dwóch izbach, nie służy mu jednak prawo inicyatywy prawodawczéj, powiadano więc o nim, że służy do tego aby rządowi przeszkadzać a nie dopomagać, bo może projekt odrzucić, ale na jego miejsce drugiego od siebie postawić mu nie wolno. Swobody o których tak szeroko w r. 1848 rozprawiano, są w konstytucyi w pewnéj części zapisane, a nawet do pewnego stopnia są w całym kraju praktykowane, ale ministrowie mają możność ograniczania ich wedle swego rozumienia. Tak się rzeczy ciągnęły do roku 1858, kiedy wskutek choroby króla regencya została złożoną w ręce następcy tronu obecnie panującego Cesarza Wilhelma I.

Nowy regent nie sympatyzował z ministrami, więcéj jeszcze niemiłym mu był wypływający z natchnień pp. Stahla i Gerlacha i reprezentowany naczelnie przez „Gazetę Krzyżową“ cały ówczesny kierunek reakcyjny, którego podrzędne organa nieraz pozwalały sobie występować przeciwko osobie księcia następcy tronu podejrzewanego o liberalizm. Ministrowie Manteufel i Westphalen zostali uwolnieni od obowiązków, a do rządu powołany jeden z ludzi roku 1848 hr. Shwerin z całym zastępem staro-liberalnego stronnictwa. Na nowo więc po całych niemczech przeciągnął powiew swobodniejszy, oczy wszystkich zwróciły się ku Prusom; teraz jednak po ośmiu latach medytacyi, w narodzie zdawała się brać górę żądza zjednoczenia kraju w jednę całość, nadzieje zarówno świata uczonego jak i politycznego obecnie już z Berlina wyglądały hasła do wielkiego czynu, licząc na to że zjednoczenie nastać może tylko na drodze rozszerzenia swobód konstytucyjnych do wszystkich państw i państewek.

Sejm pruski przestaje być izbą landratów, większość jego składają staro-liberalni a obok nich gromadzą się siły nowe, w tych czasach występują na scenę polityczną: Simson, Twesten, Lasker, Virchow, Löwe i wielu innych, wszyscy zaś razem przybierają nazwę

partyi postępu i stawią sobie za zadanie, akcyą powolną ale wytrwałą, przekształcić organizacyą rządu królestwa pruskiego na wzór parlamentarnéj monarchii angielskiéj. Ministrowie wprawdzie nie dopomagają im w tém czynnie, ale sympatyzują z nimi, na drodze administracyjnych rozporządzeń starają się łagodzić niektóre przynajmniéj przepisy prawa, prasa doznaje ulg znacznych, i prawo stowarzyszenia się, bez którego Niemcy nigdy się nie obchodzili, tłómaczone i stosowane bywa najliberalniéj. Opozycya przeciwko partyi postępu występuje w Izbie Panów, trzymającéj się ściśle natchnień gazety krzyżowéj; członkowie jéj mianowani za rządów Manteufla, nie chcą wierzyć w żadne liberalne innowacye, narażające wedle nich porządek społeczny i samę monarchią na niebezpieczeństwo; stary obyczaj i dawniejszy porządek, to dla nich jedyne rękojmie spokoju i potęgi państwa, usiłują więc przeszkadzać Izbie niższéj w dążeniach jéj do inicyatywy prawodawczéj, do corocznego wotowania budżetu, któryby bez ich przyzwolenia nie mógł być obowiązującym dla ludności.

Ścieranie się postępu z reakcyą łagodzi się znacznie stanowiskiem pośredniém zajmowaném przez ministrów, a bardziéj jeszcze może panującą już wszędzie myślą zjednoczenia Niemiec pod hegemonią Prus. Pod tym hasłem w r. 1859 powstaje z natchnienia br. v. Benigsen *National-Verein*, postępowcy zajmują w nim stanowiska wodzów, szerzą propagandę żywym słowem i na całéj przestrzeni Niemiec wywołują zawiązywanie najrozmaitszych *vereinów:* śpiewaków, strzelców, gimnastów i t. p. Opiekują się specyalniéj robotnikami fabrycznymi i rzemieślniczymi, którzy ze swéj strony pod patronatem Szulce-Delitzscha liczniéj niż dotąd organizują różnego rodzają stowarzyszenia ekonomiczne, jak: kasy oszczędności, pożyczkowe, wkładowo-zaliczkowe, spożywcze i inne; jednocześnie pomiędzy robotnikami powstaje wielka ilość stowarzyszeń w celu dalszego kształcenia się umysłowego, w których postępowcy urządzają odczyty objaśniające najrozmaitsze kwestye naukowe i polityczne. W ciągu lat kilku ożywiły się całe Niemcy, życie publiczne zaczynało bić silnym tętnem, propaganda zaś ówczesna była czysto polityczna, rozbudzony patryotyzm wielko-niemiecki, rozdmuchiwane sympatye dla Prus, dawały postępowcom nadzieję, że mając za sobą lud cały, potrafią uzyskać ustępstwa, które realną władzę polityczną przeniosą w ręce parlamentu.

Wśród utarczek łagodnych, wśród nieporozumień przyjacielskich pomiędzy parlamentem a rządem upłynęło lat parę, w r. 1861 umarł król Fryderyk Wilhelm IV, książę Wilhelm z regenta został królem i koronował się w Królewcu. Postępowcy ośmielili się i w lutym r. 1862 izba deputowanych uchwaliła prawo o *specyalizowaniu budżetu.* Ministrowie nie mieli wcale ochoty przyjmować na siebie

obowiązku ścieśniania się w rozporządzaniu sumami budżetowémi, konstytucya nie nakazywała im wcale stosować się do uchwały izby, chociaż przyjaźnie dla niéj usposobieni, uważali jednak, że ona zadaleko posuwa swe pretensye, oświadczyli więc królowi, że już się nie czują na siłach powstrzymywać dłużéj napór ciągle wzrastającéj opozycyi i prosili o uwolnienie od obowiązków.

Król przyjął ich prośbę i w marcu r. 1862 powołał na prezesa gabinetu hr. Bismarka v. Schönhausen, jednego z najenergiczniejszych bojowników konserwatyzmu, który dotychczas występował przeciwko wszelkim zachciankom liberalizmu i głośno wypowiadał poszanowanie dla istniejącego w Niemczech porządku politycznego; nominacya więc jego na prezesa ministrów była wypowiedzeniem wojny postępowcom i ich dążeniom. W parlamencie dyskusye prędko bardzo zaostrzyły się w coraz to zaciętsze spory, ani ministrowie ani izba nie ustępowali sobie na krok jeden; królowi szło głównie o reorganizacyą wojska, na którą izba nie chciała przystać; za każdą odmową rozwiązywano izbę, nakazywano nowe wybory, a popularni w kraju ludzie znowu wracali do nowéj izby, nastał konflikt władz państwowych, który się przeciągnął aż do roku 1866 i roztrzygnął go dopiéro na korzyść hr. Bismark tryumf pod Sadową.

Póki trwał spór, postępowcy coraz energiczniéj pracowali około szerzenia i ugruntowania wpływów swoich pomiędzy wyrobnikami, ażeby popularnością imponować ministrom, w tym celu zachęcali do zawiązywania coraz nowych stowarzyszeń. Ulubiona przed paru laty myśl zjednoczenia Niemiec pod wodzą Prus, po za granicami królestwa pruskiego stawała się mniéj popularną, energiczne środki jakich używał prezes ministrów ilustrowane wymową jego do zbytku realną, zdawały się osłabiać pokładane dawniéj na Prusach nadzieje, i w samym łonie National-fereinu zaczynał się przejawiać kierunek nazywany dzisiaj Wielko-niemieckim partykularystycznym, a który chciał połączone Niemcy usunąć z pod wpływu militaryzmu i biurokracyi stanowiących tradycyą monarchii pruskiéj.

Na tym tle tak bardzo ożywionéj agitacyi, któréj celem była przedewszystkiém emancypacya polityczna mieszczaństwa, dostarczającego głównie sił umysłowych i moralnych partyi postępu, rozwija się po raz piérwszy na ziemi niemieckiéj otwarcie i głośno propaganda socyalizmu. Podjął ją zaś na drodze agitacyi legalnéj, niepospolicie utalentowany młody izraelita Ferdynand Lassale, syn bogatego kupca z Wrocławia, prawnik i filozof, którego postępowcy odstręczyli od siebie, niedopuszczając go do swych szeregów i nie dając mu żadnego udziału w pracy swojéj około spraw publicznych.

A. Oskierka.

ZYGMUNT ŁAWICZ

I JEGO KOLEDZY.

III.

W południowéj porze, sale Izby cywilno-kryminalnéj roiły się ludźmi. W przedpokoju przed długiémi jak świat wieszadłami, pełnemi futer i płaszczów stał lub przechadzał się barczysty, wąsaty, z ciemną twarzą i mocno zaczerwienionym nosem stróż Izby, Paweł Rębko. Z kroju i błyszczących guzików jego ubrania poznać można było, że był on dymisyonowanym żołnierzem a powaga jego kroków i wyniosłość spojrzeń, zdradzały pewną dumę jak téż i głębokie z zajmowanego stanowiska zadowolenie. Oczy miał dość pojętne i bystre a wchodzącym do przedpokoju Izby, przypatrywał się bacznie i ciekawie, ku jednym poskakując śpiesznie w celu zdjęcia z nich płaszczów a nawet i kaloszy, na innych spoglądając zdaleka, z powagą i sztywnie. Ci inni, byli to włościanie w żółtych kożuchach, żydzi w długich chałatach, zagrodowi szlachcice w szarych kapotach, grubością rąk i nieśmiałością ruchów okazujący małe oswojenie się z miastem i jego wielkościami. Ku tym wszystkim ludziom, Rębko nie myślał wcale poskakiwać ani nawet jakkolwiek zbliżać się ale oni sami, często zbliżali się do niego, zapytując o różne szczegóły miejsca i czasu, prosząc o różne objaśnienia. Na pytania te, Rębko nie tylko odpowiadał lecz i sam także z kolei rozpytywać się zaczynał: zkąd? dlaczego? po co? za jakiémi interesami? Gdy zaś otrzymał stosowne odpowiedzi udzielał rad, przestróg i rekomendacyi. Najczęściéj, rekomendował samego siebie, jako wielkiego znawcę prawa i bliską znajomością z różnymi dygnitarzami związanego, o czém słysząc, ludzie w kożuchach, siermięgach albo kapotach, z radością widoczną wygłaszać przed nim zaczynali sprawy i troski, z któremi do miasta i sądowego miejsca przybyli. Wtedy, z miną monarchy, ma-

jącego niesłychaną łaskę poddanym swym udzielić, Rębko przyrzekał im pomoc swoję i swoich znajomych, mówił im, gdzie mieszka i wskazywał godziny dnia, w których w domu bywa. Widocznie, był to w swoim rodzaju mąż prawa, werbujący tu klientów dla siebie przedewszystkiém a następnie dla tych z pomiędzy adwokatów miasta X, którzy wciśniętą mu w rękę monetą, zapisywali się w jego pamięci.

Kiedy Kaplicki i Ławicz weszli do przedpokoju Izby, Rębko nader uprzejmie posunął się ku młodemu człowiekowi, którego świeża cera twarzy i dostatnie ubranie, zdradzały zamożnego mieszkańca wsi. Na Ławicza spójrzał ciekawie zrazu, potém lekceważąco.

— Pomóż panu zdjąć paltot.—wskazując na towarzysza rozkazał mu Kaplicki.

Ławicz miał już dnia tego paltot, dość ciepły choć nie wytworny. Po zdjęciu jego, ukazał się téż cały i czysty surdut. Metamorfoza ta w ubraniu zaszła w skutek stanowczéj woli Kaplickiego, który utrzymywał, że jak cię widzą tak cię piszą i że bez porządnego mniéj więcéj ubrania, nic z ich wyprawy dzisiejszéj być nie może.

Weszli obaj do sali audyencyonalnéj, na któréj długie, wysokie i nagie ściany, dzień zimowy zarzucał przez dwa ogromne okna, monotonną płachtę białego światła. Pod oknami stały dwa stoliki, przy których, na brudném zielonem suknie, dwie szczupłe, przygarbione figury w wytartych surdutach pilnie i szybko zapisywały sine arkusze papieru; pod ścianami siedziało na ławach osób mnóstwo, mężczyzn w surdutach, siermięgach i chałatach, kobiét w kapeluszach lub chustkach na głowach. Większość osób tych, trzymała w rękach zwoje papierów; ilość pewna obecnych przechadzała się po sali, pełnéj tłoku wchodzących, wychodzących, rozmijających się, gwaru toczonych półgłosem rozmów, wzbijających się nad gwarem piskliwych głosików niewieścich, tłumionych szlochań, powściąganych wykrzyków gniewu lub rubasznego śmiechu. Zgromadzenie to odznaczało się tą jeszcze osobliwością, że przy każdém poruszeniu drzwi znajdujących się w głębi, wszystko, co istniało w sali, zwracało ku drzwiom tym twarze a wszystko, co siedziało, zrywało się na równe nogi, przy drzwiach tych wysokich, białych i szczelnie zamkniętych stał także stróż, mniej jednak dumny i poważny od Pawła Rębki, dla tego może, iż zamiast ex-wojskowego miał na sobie cywilny, zielonym tylko kołnierzem ozdobiony mundur. Strzegł on tu wejścia do komnaty, w któréj zasiadał sąd a z któréj co chwilę wypadali i do któréj wpadali, śpiesznie przebiegający salę naczelnicy wydziałów, sekretarze i woźni. Wszyscy ci ludzie, w mundurach mniéj więcéj błyszczących od złotych oszyć i guzików, szli albo i biegli w schylonych od pośpie-

chu postawach, z zakłopotanemi twarzami, niecierpliwie torując sobie drogę przez tłum, który za zjawieniem się każdego z nich w znacznéj części doznawał emocyi wielkiéj. Raz jednak, powolniéj i ciszéj niż zazwyczaj otworzyły się drzwi zwracające na siebie uwagę powszechną, i ukazał się w nich młody mężczyzna ani zgarbiony, ani zakłopotany, ani śpieszący się. On także miał na sobie urzędowy strój, połyskujący złotemi ozdobami a wysoki był, kształtnie i dość silnie zbudowany, z piękną bladawą twarzą otoczoną krótkim, ciemnym zarostem. Na widok jego, w tłumie zaszeptano.

— Sędzia! Sędzia! Nie, kandydat na sędziego! Może przyjmie... może wyłucha...

I znaczna ilość osób, wyciągając ręce z papierami i wymawiając zaledwie zrozumiałe od zmięszania wyrazy posunęła się ku niemu. On chłodnym wzrokiem powiódł do koła i ze spokojnym lecz stanowczym gestem, urzędowym językiem wymówił. Nie pora i nie miejsce:

Głos to był dźwięczny, młody, ale tak suchy i nakazujący, że tłum w mgnieniu oka rosproszył się, kobiety nawet ze spuszczonemi głowami pod ściany odeszły a przed urzędnikiem zostali tylko dwaj młodzi ludzie, którzy téż na powitanie, jakby, wyciągnęli ku niemu ręce.

— Michał Kaplicki, wymówił jeden z nich.

— Ławicz, szepnął drugi.

Urzędnik, uczynił ruch nieprzyjemnego zdziwienia i zdawało się, że powtórzy słowa przed chwilą do tłumu wymówione. Nie pora i nie miejsce!

Lecz Kaplicki trzymał już jego rękę w swojéj silnéj, ogorzałéj trochę dłoni a drugą wskazywał na Ławicza.

— Czy poznajesz nas pan, panie Dębski? koledzy szkolni... choć młodsi ale zawsze koledzy, a Ławicz uczniem także był pańskim...

Dębski, bardzo chłodno dotknął ręki obu młodych ludzi i w urzędowym języku odpowiedziawszy: Witam! witam! chciał odejść ale Kaplicki, trzymał go za rękaw mundura.

— Prosimy o chwilę rozmowy...

Urzędnik grzecznie ale bardzo sztywnie odpowiedział·

— Chętnie służyć będę ale w inném miejscu i innéj porze.

Znowu odchodzić chciał. Kaplicki zarumienił się od gniewu.

— Panie! rzekł zachodząc mu drogę, my dalibóg czekać nie możemy aż nas pan w mieszkaniu swém przyjąć raczysz. Tuśmy pana zobaczyli, tu prosić będziemy...

— Służę więc, służę... Z niecierpliwem drgnięciem brwi odrzekł Dębski i skierował się ku oknu w najdalsze od tłumu miejsce sali. Kaplicki pociągnął sam Ławicza, i półgłosem ale żarliwie opowiadać zaczął Dębskiemu sprawę, z którą do niego przybyli.

Piękny mężczyzna, w ubraniu ze złotemi haftami, stał i słuchał, w zupełnéj nieruchomości postawy i twarzy. Była to ta sama twarz co przed kilku laty, myśląca, chłodna, dumna, tylko okrywająca ją cera więcéj nieco pobladła, siwe źrenice nabrały zimnéj, kryształowéj głębi, a zarys pąsowych ust surowszym jeszcze stał się i skrytszym. Ktokolwiek w téj chwili patrzałby na niego, wnieśćby mógł na pewno, że gorącéj mowy stojącego przed nim młodego człowieka, wysłuchiwał on nietylko obojętnie ale nawet z uczuciem przymusu i niecierpliwości, które dlatego tylko nie wybuchało na zewnątrz, że wybuchanie wszelkie było mu całkiem niepodobne. Raz tylko, w ciągu mowy Kaplickiego wzrok jego opuścił niewiadomy jakiś punkt przestrzeni, w którym tkwił ciągle, spoczął przez chwilę na twarzy Ławicza, zmącił się i ukrył pod spuszczającemi się powiekami.

— Widzisz pan, kończył Kaplicki, Ławicz nieśmiały jest i prawdę mówiąc, niepraktyczny. Na szczęście spotkałem go wczora i poradziłem, aby się udał do pana. My wieśniacy oswojeni teraz jesteśmy z sądowemi miejscami i języka w gębie, dla byle czego, nie zapominamy. Ot i mnie tu teraz ojciec przysłał, abym za interesami chodził. Dwa procesy, proszę pana, jeden z chłopami o pastwiska drugi z żydem o...

Tu przerwał Dębski.

— Nie wiem czy będę mógł cokolwiek dla pana Ławicza uczynić. Jeżeli będę mógł, zobaczę...

Lekkiem skinieniem głowy i chłodnym uśmiechem pożegnał ich i odszedł. Odchodząc rzucił z pod brwi baczne i bystre do koła spojrzenie, jakby chciał przekonać się, czy widziano go rozmawiającego z dwoma młodymi ludźmi, z których w jednym, każdy poznałby wiejskiego obywatela, w drugim wykolejonego, bez żadnéj określonéj pozycyi człowieka.

Na dziedzińcu Izby znalazłszy się Kaplicki zaklął.

— A to panie z tego Dębskiego bożek olimpijski! Wątpię, aby cokolwiek dla ciebie zrobił...

— I ja wątpię, potwierdził Ławicz. Jednak, dodał zaraz, oddał mi już parę razy ważne usługi...

— E! to było dawniéj! przez kilka lat zrobił się większym jeszcze egoistą i pyszałkiem. Nic z tego nie będzie. Ręczę, że w téj chwili już tak zapominał o naszéj prośbie, jakby nas na świecie nie było...

Jednak, o szaréj godzinie, do hotelowego pokoju, w którym Kaplicki i Ławicz przy samowarze i przyrządach do herbaty siedzieli, wszedł barczysty, wąsaty człowiek w eks-wojskowym ubraniu i gospodarzowi mieszkania wręczył wizytową kartkę, na któréj urzędowym alfabetem, wylitografowane było imię i nazwisko Maryana Dębskiego, na odwrotnéj stronie urzędowym téż językiem nakreślone, znajdowały się wyrazy.

„Zygmunt Bolesławowicz Ławicz, przyjść może jutro w południe do Izby, gdzie otrzyma stałe zajęcie z pensyą 25-ciu rubli miesięcznie.“

Kaplicki, ogniście przyjaciela w oba policzki wycałował.

— Winszuję! winszuję! a ku posłańcowi zwrócił się.—Proszę kłaniać się od nas p. Dębskiemu i pięknie podziękować...

Zamiast odejść, posłaniec na środek pokoju postąpił, wyprostował się jak struna i ręce jak struny wzdłuż boków wyciągając, zaczął.

— Mam honor rekomendować się. Jestem Paweł Rębko, *także* urzędnik przy *pałacie*. Może wielmożny pan interesy jakie ma, mógłbym adwokata zarekomendować—albo może, mniejsze *dzieła*, (1) i sam załatwić.

Zwracając się zaś do Ławicza, ze znacznie swobodniejszą postawą mówił.

— Pan teraz potrzebować może będziesz mieszkania w bliskości *pałaty*. Mogę rekomendować salkę na strychu, na tym samym dziedzińcu gdzie ja mieszkam. Trzy ruble na miesiąc, czysta, widna, żona moja gospodarskie potrzeby *uskuteczniać* będzie a ja pana czasem nauczę jak i co w *pałacie* robić. Bo ja *pałatę* znam jak swoje kieszenie i prezydenta *pałaty* znam. Mikołaj Hilaryonowicz! dobry człowiek, tylko czasem bardzo *zapalczywy* i trzeba z nim ostrożnie, bo jak zagniewa się, to tak za byle co, weźmie i wypędzi, cha! cha cha! cha!

IV.

Otrzymał więc stałe zajęcie, przy jednym właśnie z dwu tych stolików, które stały u dwu ogromnych okien sali audyencyonalnéj. Wchodził do sali codziennie o godzinie 9-téj zrana siadał przy stoliku i nie wstawał do 3-ciéj lub 4-téj chyba zawołany przez którego ze zwierzchników, co się jednak zdarzało rzadko. Dokoła niego, wrzał najczęściéj ruch i gwar, całkiem mu obojętny. Pogrążony w robocie

(1) Sprawy.

swéj na nikogo nie patrzał i nic nie słyszał. Czasem tylko, gdy sala bywała wyjątkowo pustą i cichą, podnosił głowę z nad papierów i przez chwilę wsłuchiwał się w ciszę, tém rozkoszniejszą tutaj im rzadszą a którą przerywało tylko poważne stąpanie przechadzającego się po przedpokoju Rębki i dochodzące z sali posiedzeń, głośne, monotonne czytanie. W chwilach tych, kędyś w dal rwące się oczy jego, zatrzymywały się na wielkich szybach okna, po których w jesieni ciekły grube strugi deszczu albo na wiosnę wiły się ukośne promienie słońca. Czasem też, przez krótką chwilę ale z połączeniem zdziwienia i uśmiechu przypatrywał się najbliższemu towarzyszowi swemu, pracującemu przy drugim oknie sali. Był to człeczyna nie stary jeszcze, bo zapewne 40-stu lat spełna nie mający, ale chudy, przygarbiony, z głową całkiem prawie włosów pozbawioną. Z powodu téj połyskującéj nagości czaszki, wystających kości policzkowych, długiego nosa, spiczastéj brody i okrywającéj to wszystko suchéj, żółtawéj skóry, wyglądał on na figurkę wyrzeźbioną z kości a w wytarty i niezgrabny surdut przybraną. Twarz ta, z ptasim profilem, była tak kościaną i martwą, do ust jéj szerokich, wklęsłych, tak zdawał się przyrośniętym uśmiech przymilający się i pokorny, małe siwe oczy tak trwożliwie biegały gdy wchodził do sali a z taką osłupiałością wpatrywały się w siną bibułę, gdy raz pisać już zaczął, że Ławicz przypatrywał się mu zrazu ze zdziwieniem, potém z uśmiechem, potém z obawą. Być może, iż przez głowę przemknęło mu pytanie:

— Może i ja... kiedyś...

Lecz wnet potém, prawie głośno zaśmiał się i błyszczące oczy jego wzniosły się ku najwyższéj szybie okna, w któréj słońce rozpalało ognisko iskier i promieni.—O, nie! O, nie! Świat pięknym jest skoro powstają na nim wielcy ludzie i wielkie idee a dusza ludzka która je zna, skonać nie może!

Myślał nieraz, że w najbliższym jego towarzyszu biurowym dusza skonała. Pracowali obok siebie od dość już dawna i prawie nie znali się. Czy kościana figurka, ubrana w wytarty, obwisły surdut, umiała mówić? po kilku miesiącach codziennego widywania ją, Ławicz nie mógłby jeszcze powiedziéć na pewno. Widział w zamian, że na głos wołającego ją zwierzchnika, umiała ona nerwowo zadrżéć, zrywać się i biedz tak śpiesznie a trwożliwie, jak biegnie pies myśliwski, na świśnięcie pana swego. Ale, była to jedyna u niéj oznaka życia, poczém znowu na czole połyskującém a nagością czaszki powiększonem osiadała grobowa cisza, szerokie, wklęsłe usta uśmiechały się pokornie i martwo a długa, sucha, żółta ręka posuwała się po papierze ruchem powolnym ale tak monotonnym i nieprzerwa-

nym, jak gdyby była kończyną maszyny jakiejś, z niezmierną regularnością nakręcanéj, i funkcyonującéj. Raz jednak,—a był to słotny dzień jesienny,—Ławicz spostrzegł, że kościana figurka, o któréj wiedział, że nazywała się Piotrem Kwirą, dawać zaczyna pewne znaki życia. Naprzód, wchodząc do sali, Piotr Kwira, nie rzucał już dokoła trwożliwych spojrzeń ale patrzał wprost przed siebie, z wyrazem trochę do zamyślenia podobnym; następnie gdy usiadł przed stołem swoim nie zaraz wziął się do pisania, lecz wpatrzony w siną bibułę, minut parę trząsł nad nią głową tak, jakby niemym gestem tym, powierzał téj codziennéj swéj towarzyszce troskę czy zgryzotę jakąś. Nakoniec, po godzinie pisania, podniósł twarz z nad bibuły, spojrzał na szyby zalane deszczem i końcem długiego, kościstego palca powiódł po brzegu zaczerwienionéj powieki. Czyżby łzę otarł z oka? Co pewna, to że zgarbił się potém daleko więcéj niż zwykle i zaczynając znowu pisać, głośno westchnął.

Ławicz był dnia tego w szczególnie wesołem usposobieniu. Otrzymał od matki swéj list z podziękowaniem, za dość znaczną sumkę pieniężną, którą jéj był posłał i—w czasie nocnych studyów nad pewnym grubym traktatem o fizyce, wpadł na pomysł jakiś, który, jak mu się zdawało, był całkiem nowym i mógł naukę do ważnych wyników doprowadzić. Czuł się więc szczęśliwym a takie miał usposobienie, że szczęście rozszerzało mu serce i zaostrzało wzrok na cierpienia innych.

— Co panu dziś jest, panie Kwira? odezwał się z nad stolika swego.

— Bieda! odpowiedział z nad drugiego stolika głos przyciszony i bezdźwięczny.

— Czy wielka biéda, panie Kwira?

— Dość wielka... bez grzechu narzekania, panie dobrodzieju...

— Możebym ja mógł cokolwiek...

— A może, panie dobrodzieju... może... bo Zenonek mówił mi, że pana zna i że chciałby widzieć...

— Jakiż to Zenonek?

— Derszlak, panie dobrodzieju, pański kolega szkolny...

W ciągu rozmowy téj, Kwira zwrócony twarzą do Ławicza, przy każdéj odpowiedzi oddawał mu szybkie ukłony, którym towarzyszył przymilający się uśmiech. Mówił o biedzie i uśmiechał się. Był to uśmiech przyrosły już do ust jego. Ławicz wstał śpiesznie i zbliżył się ku niemu.

— Czy nieszczęście jakie spotkało Zenona Derszlaka?

— Bez grzechu narzekania, panie dobrodzieju, powiedzieć można, że nieszczęście...

— Cóż to takiego?

Kwira spuścił głowę.

— A tak... bąkał, nic niby... pracy tyle a korzyści żadnéj... niby nic... czysta zguba!

O jasne słowa a tém bardziéj o dobrze związany szereg słów, Kwirze było bardzo trudno. Ławicz przypatrując się mu, dziwił się znowu i uśmiechał.

— Czy pan jesteś krewnym Zenona?

Na zapytanie to, o, dziwy! Kościaną twarz Kwiry oblał rumieniec tak żywy, że aż do połowy nagiéj czaszki jego sięgnął; spuścił on głowę, rękami w powietrzu zatrzepotał i całą postawą swą przypomniał skromną, zawstydzoną panienkę.

— Nie... wyjąkał... nie krewny... tylko panie dobrodzieju... jakże to powiedziéć? narzeczony panny Anny, siostry Zenona... chi, chi, chi!

Czy myśl o tém, że był on narzeczonym czyimś, jemu samemu wydawała się śmieszną, albo téż roskosz mu sprawiała, bo z cicha i ze spuszczonemi oczami śmiał się przez chwilę—a potém, podnosząc na twarz Ławicza w sposób u niego wyjątkowy ożywione oczy, dokończył.

— Narzeczony, panie dobrodzieju... bez grzechu narzekania, czekamy na siebie już lat dwanaście...

— Cóż Zenon?

— Niby nic... panie dobrodzieju... zgubiony chłopiec!

— Panie Kwira! zabrzmiał we drzwiach głos pomocnika naczelnika wydziału. Kopia *ukazu* senatu N. 392, gotowa?

Ludzie do kościanych figurek podobni miewają czasem nerwy. Na głos zwierzchnika, Piotr Kwira drgnął nerwowo i z oczami trwożliwie biegającemi, z pokornie przymilonym uśmiechem i sinym arkuszem w ręku, drobnym krokiem, z przygiętym grzbietem, pobiegł ku sali sąsiedniéj.

Gdy minęła godzina, w któréj kończyły się zazwyczaj prace biurowe, Ławicz i Kwira zstępowali razem po ciemnych, wąskich wschodach, do suteren jednéj z kamienic miasta.

W izbie, nad którą ciężył czteropiętrowy gmach a do któréj, światło dzienne wchodziło przez wysuwające się z pod ziemi okno, duszno było i dymno. Na kominie, palił się wielki ogień; przed ogniem, nad deską do prasowania stała kobiéta wysoka, chuda, z ramieniem do łokcia obnażoném. Wodziła ona po cienkiéj bieliznie żelazkiem, z którego głębi buchały czerwone błyski żaru i kłęby gorącéj pary. Czerwone błyski żaru, padały na śniadą twarz kobiéty, przeglądały się w czarnych, zapadłych oczach, złociły krucze, roztar-

gane, na ciemną, nagą szyję spadające jéj włosy. Była to twarz stérana, zwiędła, chmurna ale energiczna i ognista. Zobaczywszy wchodzącego Ławicza wyciągnęła na powitanie rękę zczerniałą i twardą, okrytą czerwonemi od oparzeń bliznami. Znali się z sobą oddawna.

— Panie Kwira—zawołała tonem rozkazującym—podajże krzesło panu Zygmuntowi. — Ot, zwróciła się do gościa, spójrz-że pan na Zenka.... do czego podobny? Gryzł się, gryzł się, aż zachorował!

Wtedy, w najgłębszym kącie izby, bo najdaléj od płonącego na kominie ognia, w cieniu firanki utworzonéj z paru prześcieradeł i kobiecych spódnic, Ławicz zaledwie rozpoznać mógł, leżącego na ubogo zasłaném łóżku Zenona Derszlaka. Młody chłopak, podobny był wielce do siostry, tylko rysy miał bardziéj nieprawidłowe i połamane a tak samo czarne jak u niéj oczy jego żarzyły się w cieniu przykrym, gorączkowym blaskiem. Spotkawszy się ze spojrzeniem Ławicza, wybuchnął głośnym śmiechem.

— Widzisz, stary kolego, gdzie i jak na téj ziemi żyją i mieszkają wierni czciciele Minerwy, którzy przez lat osiem, w pocie czoła uczyli się deklamować Iliadę i Bukoliki, czytać Platona i recytować na pamięć ile małpy zębów mają! Wiedza ogromna, mój drogi, wiedza taka, o jakiéj ty, wygnańcze z krainy mądrości wyobrażenia nie masz a którą ja dźwignąłem na moich słabych barkach. Dźwignąłem caluteńką, dobiłem do kresu to jest ostatniego dnia ósmego roku i paf! dano mi pstryczka w nos, upadłem jak długi! Bagaż wiedzy mojéj był bardzo wielki, lecz brakowało mu jednéj ósméj części wymaganego stopnia,— nie dostałem świadectwa dojrzałości.....

W ręku Anny żelazko brzęknęło mocno.

Klęczący przed ogniem i wodę do garnka lejący Kwira, trząsł głową.

— No, no! nie lamentujcie!— zaśmiał się znowu Derszlak— cóż tam ważnego? Żaczek deklamujący Homera i obdarzony prawem paszenia świń. Biéda tylko, że żaczek ma lat dwadzieścia i że mu w mózgu świdruje ta uwaga, że gdyby był przez ośm lat świnie pasł, toby właściciel ich niezawodnie go na pastucha owiec lub wołów promował. A tu, od świni zaczynaj.... Czysta strata czasu!

— A strata! — brzęcząc żelazkiem krzyknęła prawie Anna, — głupia ja! Jużem suszyła sobie głowę nad tém, jakby tu go daléj wyprawić!

— Widzisz pan—nie przestając prasować mówiła daléj—cztéry miesiące już śmieje się on tak i żartuje, a ja wolałabym żeby płakał i jęczał. Zaśmiał się téż i zażartował a może i przeziębł, bo prócz gimnazyalnego mundura, żadnego odzienia nie ma i—chory! Wczoraj zaczęła go trząść gorączka, dziś z łóżka niewstał!

— Wyzdrowieję Anulku, wyzdrowieję, nie lękaj się! — zaśmiał się znowu Derszlak — pochorować dni parę, nie biéda, ale ot co biéda.... słuchaj Ławiczu, co biéda.....

Urwał na chwilę, a potém w rozpalonych dłoniach swych, trzymając rękę dawnego towarzysza — znacznie ciszéj niż wprzódy — mówił:

— Biéda to, że kiedy matka z suchot umarła a ojciec kości połamał, ona miała lat ośmnaście, wzięła mię na ręce i mną sobie cały świat zasłoniła. Biéda, że przez trzy lata haftowała dniami i nocami, tak, że omało nie oślepła. Biéda, że od lat siedmiu stoi tak jak ją teraz widzisz od rana do wieczora nad tą deską i prasuje stroje elegantek. Biéda, że dla mnie za mąż nie wyszła i że ja teraz.... cóż? znowu ciężarem....

— Zenon!— zwykłym snać sobie rozkazującym tonem krzyknęła Anna— Zenon! nie mów mi o tém! Co tobie do tego? Jak chciałam, tak robiłam. Dla siebie robiłam, nie dla ciebie! Podobny jesteś do ojca, który choć prosty człowiek, dobry był, dobry niech mu światłość wiekuista....

— Na wieki wieków—dokończył szeptem klęczący wciąż przed kominem i w garnku męszający Kwira.

W rozpalonych zapadłych oczach Zenona, świeciły łzy.

Ławicz obie ręce podniósł do głowy.

— Ale jakże bo ty, ze zdolnościami swemi, z pracowitością swoją mogłeś téj nieszczęśliwéj jednéj ósméj.....

— Chcesz wiedzieć jak? no to ci i opowiem, tylko pod sekretem, pamiętaj, bo to delikatna materya....

Pochylił się nieco ku towarzyszowi i szepnął:

— Nędza! ty podobno wiész co to znaczy, no, ale nie każdego pokrzywa jednostajnie parzy. Zależy to od delikatności skóry. Czy ja wiem dlaczego natura zrobiła mię takim delikatnym? Kiedy duszno i dymno w mieszkaniu, głowa mi kamienieje, kiedym głodny z sił opadam. Opadałem często z sił, przychorowywałem, opuszczałem lekcye, raz to i cały kwartał straciłem, zanim z korepetycyi zebrało się na wpisowe.... to i tym sposobem przepadła mi ta jedna ósma.... Ale dość już o tém wszystkiém! cóż ty porabiasz, Zygmuncie? Służysz w biurze? Winszuję. Kolegi ze mnie pewno mieć nie będziesz! Jakimże sposobem wzbiłeś się na ten szczebel społeczny? Przepowiadam ci, że za lat dziesięć, będziesz taki łysy, kościany i wiecznie przelękniony jak najpoczciwszy nasz Kwira!....

— Chi, chi, chi! — zachichotał ten o którym wspomniano— żartuj sobie ze mnie, Zenonku, bylebyś był weselszy troszkę.... Bez grze-

chu narzekania, dziesięć lat temu miałem włosy takie gęste jak teraz twoje.

Anna okrywając stół grubą serwetą, zaśmiała się.

— Prawdę mówi, panie Ławiczu! Dwanaście lat temu, kiedy poznaliśmy się, pan Kwira był bardzo przystojnym chłopcem.

Ławicz uśmiechnął się, tak mu się to dziwném jakoś zdawało. Anna skrzyżowała na piersi ramiona i chmurnie wpatrując się w niego mówiła:

— Po co się pan uśmiéchasz? krótko pan żyjesz, krótko. Pożyj pan dwanaście lat tak jak on żyje a zobaczysz że można wychudnąć, wyłysiéć i strachu do serca nabrać. Żeby on żył tylko dla siebie ale to taki przyjaciel... Alboż ja, dałabym sobie radę z wychowaniem Zenka, żeby nie on? We wszelkiéj biedzie mojéj dziękuję Panu Bogu, że mi takiego przyjaciela dał....

Kwira, z oczami wpatrzonémi w mówiącą kobiétę jak w święty obraz, splótł długie, kościste ręce swe, modlitewnym gestem. Na twarzy jego rozlewał się wyraz szczęścia i czci. Wydawał się całkiém innym niż bywał w biurze. Była to metamorfoza trwająca krótko ale zupełna.

— Wiész pan — mówiła daléj Anna, kiedy nie wystarczało już mego zarobku i jego pensyi, zaczął hodować i sprzedawać kanarki....

— Bez grzechu narzekania! — zawołał Kwira, kanareczki moje, kilkadziesiąt rubelków co roku mi przynoszą... niby nic... dla Zenka mundurek i książki... Ja panu zaraz te ptaszyny moje pokażę!..

— Tymczasem proszę na obiad — rzekła Anna — stawiając na stole misę krupniku z mlekiem i kartoflami.

— Przepraszam, że gościa naszego lepiéj przyjąć nie mogę. Mięso strasznie drogie, dla Zenka tylko kawałek kupiłam, bo chory!.. Teraz bo i chleb i opał strasznie zdrożały... opał szczególniéj, a mnie do prasowania przepaść drew wychodzi. Jedyne szczęście, że za wodę płacić nie trzeba, bo mi jéj zawsze pan Piotr zrana i wieczorem dzbankami nanosi.

Nosił więc bohdance swéj wodę dzbankami, zrana i wieczorem, co „bez grzechu narzekania“ przy dość uciążliwéj pracy biurowéj trochę utrudzającém być musiało. Spełniał téż znać zazwyczaj i inne gospodarskie, domowe czynności przed obiadem, przyniósł był parę razy drewek na podsycenie ognia, mięszał w garnku i krzątał się około wyszczerbionych stołowych naczyń, potém zasiadał do wspólnego stołu z gospodynią domu i jéj gościem a potém jeszcze, z nieśmiertelnym swym przymilonym uśmiechem prosił Ławicza aby zobaczyć chciał jego kanarki. Mieszkał w tym samym domu ale nie w suterenach, tylko wysoko pod samym dachem, dlatego, jak mó-

wił, że w suterenach za mało światła było dla ptasząt. W izbie znajdującéj się pod samym blaszanym dachem domu, tak wiele było ptasząt, że szczebiot ich i śpiewanie słyszéć się już dawały na drugiém piętrze, gdy zaś otworzyły się drzwi jéj, z drewnianych prętów umieszczonych pomiędzy ścianami, z nielicznych sprzętów, z pootwieranych klatek, porwały się roje żółtych, skrzydlatych istot i z wrzaskiem ogłuszającym opadły wchodzącego gospodarza mieszkania.

On roztworzył ramiona, nastawił dłonie i z ptakami siedzącemi mu na łysinie, ramionach, plecach, dłoniach śmiać się zaczął głośno, serdecznie, a przytém z wyrazem wesołości, tak obcym kiedyindziéj małym jego oczom, na gościa patrzał.

— A co?—mówił śmiejąc się— a co? niby nic... jest tu ich panie dobrodzieju z pół kopy... pięć par gotowiuteńkich na sprzedaż... za tydzień na rynek pójdą... niby nic... kawałek grosza... biedne wy! ptaszęta zaprzedane!

W sposobie, w jaki cieszył się z wychowańców swych, była tkliwość i zarazem radość z zysków, których mu szczególny przemysł ten dostarczał. Zresztą izba dość obszerna i w słoneczne dnie zapewne jasna, była bardzo nagą i brudną, ziarn rozrzuconych wszędzie i nieczystości różnych było w niéj pełno, powietrze jéj w pierwszéj po wejściu chwili, zdawało się niepodobném do oddychania. Nad samem posłaniem złożoném z siennika, poduszki, i czegoś co kiedyś kołdrą być musiało, wisiała duża klatka. Kwira wskazał ją gościowi.

— To jest, panie dobrodzieju mój... jakże się nazywa... ekscytarz. Jak tylko słońce wschodzi tak krzyczéć zaczynają, że gdyby człowiek kamieniem spał, zerwie się na równe nogi... niby nic... ażeby nie one, zaspałbym może kiedy i z panną Anną śniadania razem nie zjadł... ona raniutko wstaje... raniutko!—U nas panie dobrodzieju, taki już zwyczaj... razem kupujem, razem jadamy, razem cieszym się i smucim, wszystko razem!

Ptaki, zajęte rzuconém im ziarnem, uspokoiły się nieco i ucichły. Kwira, na środku izby stojąc i gościa swego za rękę trzymając, mówił:

— Chi, chi, chi! jak ona dziś powiedziała, że ja kiedyś przystojnym chłopcem byłem! może być. Może być... dwanaście lat człowiek pracuje jak wół a o jutrzejszy los swój zawsze niepewny i na szczęście swoje czeka... niby nic... zeszpetniéć można... Ona nie zeszpetniała! prawda? jaka piękna! Kiedy poznałem ją, panie dobrodzieju, dwadzieścia lat miała. Za trzecim widzeniem się upadłem przed nią na kolana... „Pobierzmy się panno Anno!“ A ona: „Nie, dopóki Zen-

ka nie wychowam, za mąż nie pójdę!“ niby nic... nie chciała swoich dzieci mieć, żeby czasem brata małego w czém nie ukrzywdzić.... Żebym ja bogaty był, możeby poszła... ale biéda z biédą!... lękała się brata ukrzywdzić... pyta się tedy mnie: „będziesz na mnie czekał, panie Piotrze, póki Zenek nauk nie skończy i nie wybije się na człowieka?“ Z początku, niby nic... nie mogłem przystać na to, ale potém powiedziałem jéj: „bądź wola twoja!“ i panie dobrodzieju... bez grzechu narzekania... dwanaście lat czekam. Zenek skończył szkoły ale zabrakło mu téj jednéj ósméj... i jakże on teraz na człowieka wybije się? Co to teraz będzie?

Przy ostatnich wyrazach, w małych oczach jego, malowało zdziwienie z osłupieniem graniczące.

Co teraz będzie? Było to pytanie, z którém póżniéj Derszlak często do izdebki Ławicza wchodził. Wyzdrowiał on prędko, to jest wstał z łóżka, lecz tak powierzchowność jego jak sposób obejścia się i rozmawiania, nie objawiały fizycznego ani moralnego zdrowia. Wchodził on często do izdebki dawnego przyjaciela i przebywał w niéj długo, czasem nawet nocowywał z Ławiczem, tocząc z nim długie i żarliwe rozmowy i sprzeczki. Sprzeczali się z sobą często. Pomimo podobieństw pewnych, były to całkiem różne od siebie natury. Ławicz, w książkach na traf chwytanych i zbieranych, topił się jak nurek, ciekawy pereł na dnie leżących, ciągnięty śpiewem Syren, mieszkających w pałacach z kryształu. O twarde, zimne ściany kryształowego pałacu, bił się pracowicie, cierpliwie i nie opuszczał rąk wtedy nawet, gdy spostrzegł, że zmylił drogę i sto godzin życia oddał temu, co wymagało jednéj. Uśmiechał się wtedy z nieświadomości swéj i z wielkim lecz spokojnym ogniem w mózgu i piersi, zachodził pałac z innéj strony, uderzał w innę ścianę, słał się mu do stóp z jednaką zawsze pokorą i czcią. Derszlak śmiał się z niego, tym szczególnym śmiechem, w którego dźwięk młodzieńczy wplatały się coraz częściéj gorzkie szyderskie nuty.

— Co ty z tém wszystkiem zrobisz?— pytał. — Jaką rolę użyźni pot, który z czoła twego spływając, wsiąknie w podłogę twojéj izby i w niéj zniknie bez śladu? Czyją dolę oświecą światła te, których nabierasz do głowy i które w niéj do końca świata pozostaną? Co komu przyjdzie z tego wiecznego grzebania się twego w książkach?

Ławicz, na zapytanie te, mięszał się zrazu a potém odpowiadał:

— To mię uszczęśliwia.

— Egoisto!—wołał Derszlak—ty więc wyobrażasz sobie, że nauka przyjść na świat raczyła dla twego osobistego szczęścia i pożytku? Winszuję ci pojęć takich o życiu i jego celach! Ja jeżeli pracowałem i o większych jeszcze pracach marzyłem, to tylko dla tego

aby módz cokolwiek uczynić dla ludzkości, dla cierpiących, poniżonych, walczących. Sam jestem dzieckiem cierpienia, poniżenia i ciężkiéj walki. Znam je. Lituję się bez granic nad ich ofiarami. Pragnąłbym biedz im z pomocą. Wiem, twierdzę, że świat we wszystkich częściach swych kalekim jest i pragnąłbym przyczynić się do przerobienia go. Oto dla czego uczyłbym się, gdyby... gdyby nie ta moja jedna ósma, ale tak jak ty w celu uszczęśliwienia siebie..... O! marny prochu! czémże ty jesteś abyś uszczęśliwiał siebie, wtedy gdy naokoło pełno jest nieszczęśliwych?

Ławicza zawstydzały niekiedy te entuzyastyczne wybuchy przyjaciela. Ze zwykłą sobie łagodnością tłómaczył się i uniewiniał.

— Cóżem ja winien temu, mój drogi, że czuć się nieszczęśliwym nie mogę.

— Zapewne i wzruszając ramionami odpowiadał Derszlak, nikt nie winien temu, że go natura tak a nie inaczéj stworzyła. Tyś stworzony na jednego z tych molów, które od początku świata siedzą w swoich gabinetach i przy szczelnie pozamykanych drzwiach i oknach lubują się włoskiem wynalezionym na skórze małpiéj albo pyłkiem dostrzeżonym na skrzydle komara...

Tym razem, Ławicz rumienił się z obrazy i oburzenia. On także był entuzyastą, w inny tylko zwracającym się kierunek. Bronił nauki i jéj kapłanów, grecki myt o Syrenach tłómaczył żądzą nie rozkoszy lecz wiedzy, deklamował z Odysei: „ku nam ku nam, o bogów ozdobo, słynny Ulissesie statek nakieruj, głosom przysłuchać się naszym..."

— Stój! stój! uśmiał się Zenon, cóż tobie syreny wyśpiewać mogą? Jakież nowe słońce albo jaką nieznaną jeszcze drogę słońc, odkryjesz przez to okno, które chociaż wysoko jest umieszczone, wątpię aby starczyło za obserwatoryum i teleskopy? Czy uczynisz rozbiór chemiczny téj pajęczyny, któréj tyle masz tu po kątach. Gdzież twoje retorty? Pajęczyny zresztą, zarówno jak pył spadający z podeszew podartych butów, dawno już, o ile wiem, zbadane zostały, innych zaś materyj do studyowania nie widzę dokoła ciebie...

Z twarzy Ławicza poznać można było, że pragnął powiedzieć towarzyszowi coś, coby dowodzeniom jego stanowczo zaprzeczyć mogło a wstydził się i nie śmiał.

— Widzisz, Zenku, zaczął nieśmiało, ty to z taką pewnością mówisz i wyśmiewasz mię a jednak jak... mnie.

— Cóż?

— Mnie się zdaje, że jestem na drodze do ważnego odkrycia w dziedzinie fizyki.

Zenon uśmiechnął się niedowierzająco.

— A! rzekł potém, być może i pragnę tego, ale opowiedz że mi: co i jak? powinienem przecież być wszechstronnie uczeńszym od ciebie...

Ławicz podzielił się z nim wtedy pomysłem swoim. Było to coś o skupieniu promieni słonecznych i uwięzieniu, dla celów praktycznych, ciepła ich i światła. Opowiadając wpadł w wielki zapał. Wyciągał z bezładnego ich nagromadzenia, książki różne, wydobył z szuflady arkusze zakreślone cyframi i rozmaitemi figurkami, czytał głośno, tłómaczył, gestykulował. Białą twarz jego powlekły gorące rumieńce, łagodne oczy zaiskrzyły się. Derszlak, słuchał w milczeniu i z uwagą lecz patrzał na towarzysza z żartobliwą litością. Gdy Ławicz umilkł i stanął przed nim w tryumfującéj postawie, zwolna i chłodno, rzekł.

— Wszystko to rzeczywiście, bardzo mądrze jest pomyślane i znajdujesz się istotnie bardzo blisko wynalazku dokonanego już przed parą laty...

— Co i jak? przez kogo? zawołał Ławicz.

Derszlak, powiedział mu, że przed rokiem miał od jednego z profesorów książkę, w któréj wyczytał wszystko to o czém teraz mówił mu Ławicz i wiele jeszcze rzeczy dalszych.

Cytował twórcę wynalazku i tytuł książki o któréj mówił, lecz, ku wielkiemu zapewne zdziwieniu swemu, spostrzegł w Ławiczu, zazamiast smutku lub przerażenia wyraźne oznaki bardzo żywéj radości...

— Doprawdy! wołał on, więc to tak! o, jakże się cieszę! lękałem się aby to nie było tylko marzeniem mojém! Myślałem nieraz, że nie jestem dość rozumny i uczony aby naprawdę trafiać na takie drogi. Pokazuje się jednak, żem się nie mylił, że jestem do czegoś zdolny... Brawo, brawo! trzeba mi teraz daléj iść i—będę teraz iść śmieléj, z większą do samego siebie ufnością!

Derszlak wstał i wzruszył ramionami.

— No, rzekł, potężny z ciebie dziwak! Żebyś był jeszcze wpadł na jakąś nową teoryą społeczną, nie dziwiłbym się twojéj radości. Ale z tego, odgadniętego w części przez cię, wynalazku—cóż? nowy może gatunek maszyn fabrycznych, służących kapitałowi do uciskania pracy a może nowe środki użycia dla sybarytów...

— Może téż, wtrącił Ławicz, jeden krok dokonany w powolnym pochodzie...

— O dajże mi pokój z krokami swémi i powolnémi pochodami. Dobre to dla tych, którym dobrze ale ja, od czasu szczególniéj mojéj jednéj ósméj, stałem się człowiekiem bardzo żywego i niecierpliwego temperamentu...

Żywym i niecierpliwym był zawsze, lecz teraz właściwości te natury jego zwiększały się i przybierały pozór trawiącéj go gorączki. Część wieczorów i nocy czytywał i rosprawiał z Ławiczem, resztę czasu przepędzał w próżnowaniu, napełnioném rozmyślaniami. Tym ostatnim, oddawał się często w mrocznéj, pełnéj swędu od rospalonych żelazek suterenie, leżąc na łóżku z twarzą zwróconą ku sufitowi i ścigając okiem ślizgające się po suficie odblaski płomienia. Czasem przechadzał się po ulicach miasta, przyglądając się spotykanym przechodniom, którzy wzajem przyglądali się jemu. Młodzieniec ten bardzo szczupły i nieco przygarbiony, ze śniadą chorobliwą cerą twarzy, z zapadłem, czarném ognistem okiem i lasem kruczych włosów wysuwających się z pod zszarzanéj czapki na kołnierz wytartego studenckiego mundura, zwracać musiał na siebie ogólną uwagę. Wyraz twarzy jego, rzeczy i ubranie zdradzały coś wypaczonego i wykolejonego, kogoś kto u samego wstępu w świat, błądził pomiędzy drogami świata, nie wiedząc czy na którąkolwiek z nich wejść ma prawo. Zwolna i stopniowo odpadała mu chęć do jakiejkolwiek pracy. Znalazł był na mieście parę lekcyj nędznie opłacanych i zrazu spełniał zajęcie to z musu, jak ciężką pańszczyznę. Nie zajmowało go ono, bo nie przedstawiało przyszłości żadnéj.

— Do czego to prowadzi? zapytywał czasem Ławicza. Anulka jak biedowała tak bieduje a ja tylko butów więcéj drę...

Potém, porzucił lekcye albo téż je stracił. Książki brał u Ławicza, przeczytywał je do połowy, porzucał i znowu zapytywał.

— Bo i do czegóż to prowadzi?

Raz, przyszedł więcéj jeszcze niż zwykle chmurny i rozjątrzony.

— Anulka chora! rzekł siadając na niskim stołku pod ścianą.

Oparł brodę na dłoni i długo siedział nieruchomy, milczący, aż nakoniec Ławicz spostrzegł, że płakał cicho lecz rzewnemi łzami.

— Zenku! zawołał, ty koniecznie zrób z sobą cokolwiek... bo zginiesz!

Podniósł wzrok błyszczący od łez i gniewu i zapytał:

— Cóż, naprzykład?

— Jedź do stolicy... zdasz może egzamin, przyjmą cię może gdziekolwiek...

— Dobrze odpowiedział z chłodem, ale zapłać mi bilet na kolei i daj z czego przeżyć przez pierwsze kilka dni przynajmniéj...

Ławicz jęknął.

— Bój się boga! zkądże u mnie na taką daleką podróż... gdyby to bliżéj było... może...

— Aha! potwierdził Derszlak, gdyby to było bliżéj... ale, zkądże znowu chcesz aby Anulka z prasowania a Kwira z kanarków taką sumę zebrali... bo to, mój kochany, suma! Co prawda, była już ona zebrana ale jakem po téj jednéj ósméj zaraz nie wyjechał, to i rozeszła się... Jeden ścieg krzywy, mój kochany, jeden tylko krzywy, a wszystkie krzywo idą...

Innym razem, rzekł do Ławicza.

— Poszedłbym już nakoniec i piechotą ale nie mogę, naprzód sił niemam, a potem, ot... przy ostatnich wyrazach uczynił nogą ruch energiczny a w téj saméj chwili, but jego ze stukiem upadł na drugim końcu izdebki. Była to tylko część buta, ta mianowicie, która okrywa stopę. Ławicz nie mógł wstrzymać się od uśmiechu.

— A gdzież cholewa? zapytał.

— Dawno niéma, z chłodem odpowiedział Zenon.

Trwało tak przez długie kilkanaście miesięcy. Raz, pogrążony jak zwykle w robocie swéj, usłyszał w gwarze napełniającym salę głos dobrze sobie znajomy. Zerwał się i w ruszającym się pośród sali mrowisku ludzi, spostrzegł Kaplickiego. Przez chwilę, przypatrywał się mu, myśląc nad tém, czy się nie myli. Przez czas upłyniony od ostatniego ich widzenia się, Kaplicki zmienił się trochę. W futrzanym paltocie swym, wydawał się krępym nieco i ciężkim a bujny, płowy wąs, opadał mu na policzki rumiane i połyskujące. W ręku trzymał zwój papierów i półgłosem lecz z żarliwością wielką, opowiadał o czemś jednemu ze znajdujących się w sali adwokatów, którego też, od czasu do czasu przytrzymywał za klapę surduta. Ławicza poznał natychmiast i powitał serdecznie, dwoma głośnemi całusami.

— Cóż—mówił—jakże ci idzie? jakże czas przepędzasz? ja tu od wczoraj dopiéro... przyjechałem za interesami... wyobraź sobie, dwa procesy: jeden z chłopami o wycięcie lasu, drugi z żydem o sfałszowanie wekslu... przytém, chcę sobie nowe meble kupić...

— Czy ty, Michasiu, pamiętasz Derszlaka, zagadnął Ławicz.

Kaplicki pamiętał go wybornie. Rumieniąc się i widoczny gwałt sobie zadając, Ławicz poprosił go o pomoc dla dawnego kolegi. Wyraz doznanéj przykrości zmącił na chwilę błękitne oczy młodego szlachcica. Na chwilę tylko jednak.

— Widzisz, zaczął, ty nie wyobrażasz sobie, ile my, obywatele, mamy kłopotów i potrzeb różnego rodzaju. Ot i ja teraz... dwa procesy i te meble... powozu téż kawalerskiego potrzebuję bardzo ale niech to tam sobie na późniéj... Biedny Zenon! powiadasz, że demoralizuje się i przepada. Owszem, owszem służę czem mogę!

Ławicz aż mu się na szyję rzucił, on zaś tę publiczną manifestacyą czułości, nietylko przyjaźnie przyjął ale z lichwą ją odpłacił. Wylanym był, serdecznym i hojnym jak zawsze, tylko wyglądał wciąż zakłopotanym. Rumianość i pulchność twarzy jego, nie nadawały jéj wyrazu pogody. Po krótkiéj rozmowie o wspólnym koledze i wzajemnych uściskach, zaczął wnet opowiadać Ławiczowi o chybionych w tym roku zbożach, o drogości robotnika, o upadku inwentarza a szczególniéj o dwóch procesach: z chłopami i żydem.

— A tamte, z którémi tu przed dwoma laty przyjeżdżałeś?

— Tamte co innego a te co innego. U nas tak zawsze. Nieuwierzysz, ile kłopotów! A tu teraz wyprawiamy z ojcem zaraz po moim powrocie wielkie polowanie. Osób będzie ze sześćdziesiąt, koni i psów drugie tyle. Wszystko trzeba przygotować o wszystkiem pomyśléć, a koszt! strach!

Tu spostrzegł zmierzającego ku niemu adwokata.

— A co? kochany panie, a co? czy nasza teraz sprawa na kolei? Zlituj się pan, to żydzisko....

I wraz z adwokatem pobiegł prawie w głąb sali. Ławicz stał przez chwilę zaniepokojony widocznie i trochę zdziwiony. Procesy, meble, powozy, kłopoty, polowanie, mięszały się i kołowały w głowie jego. Po chwili, ścigając okiem zwijającego się po sali Kaplickiego, wymówił do siebie:

— Jakto? i nic więcéj... nic?...

V.

Maryana Dębskiego, Ławicz widywał codziennie prawie lecz zawsze zdaleka. Od wielce podrzędnego kancelisty, pracującego przy jedném z okien sali audyencyonalnéj do urzędnika z wykształceniem uniwersyteckim zasiadającego obok sędziów i dziś czy jutro miejsce jednego z nich zająć mogącego, tak było daleko jak niebo wysoko. Dębski téż nie objawiał niczem chęci zbliżenia się ku niemu albo raczéj zbliżenia go ku sobie. Po prostu nie zwracał nań uwagi najlżejszéj, że zaś nie był bezpośrednim zwierzchnikiem jego i nie miewał z nim urzędowych zetknięć, zdawał się nie znać go i nie spostrzegać wcale. Bywał on zresztą zazwyczaj bardzo czynnym i bardzo pilnie biurowemi sprawami zajętym; w biurze téż szeptano, że nikt nigdy nie widział kandydata do posad sądowych, któryby tak gorliwie zapracowywał sobie na wyższą i lepiéj określoną, w hierarchii urzędniczéj pozycyą. Patrząc na niego, jak w godzinach zajęć biurowych, z punktualnością zegarkową i niezłomną surowością speł-

niał liczne powierzone sobie czynności, jak potem spiesznie, z teką wypchaną papierami dążył do domu i jak nazajutrz tekę tę, z przygotowanemi już pracami do biura przynosił, można było powiedzieć, że w nadziejach swych i dążeniach nie liczył na nic i na nikogo prócz na samego siebie, ale że téż w siebie samego, w zdolności swe, energią i pracę ufał niezłomnie. Jednak pomimo zalet tych, nie cieszył się on widocznie przyjaźnią i względami starszych kolegów swych, którzy znajdowali się względem niego nie lekceważąco wprawdzie ale całkiem obojętnie. Chłodny zazwyczaj, dumny i w sobie zamknięty, Dębski przemieniał się dziwnie na widok tych, od których w znacznéj części przyszły los jego zależał. Ruchy jego stawały się wtedy pełnémi uprzejmości, twarz przybierała wyraz rozjaśnienia połączonego z badawczą przenikliwością. Zdarzało się jednak często, że pełne uszanowania albo przyjacielskości ukłony i pozdrowienia jego, spotykały się z zaledwie dostrzegalném skinieniem głów i zaledwie dosłyszalnemi, od niechcenia rzuconemi odpowiedziami. Wtedy, na mgnienie oka, młody urzędnik bladł i zacinał wargi, poczém jednak wnet i ze zdwojoną gorliwością oddawał się swym obowiązkowym czynnościom a ruchy jego, wejrzenie i dźwięk głosu okazywały niezłomną pewność siebie, niezachwianą wiarę w żelazną moc żelaznéj pracy. Jeden tylko prezes Izby, człowiek niemłody już o twarzy grubéj i czasem aż do jowialności dobrodusznéj a czasem tak stroskanéj że aż ponuréj, bywał dla Dębskiego tak serdecznym i przyjacielskim. że spotykając go u wejścia lub wyjścia z izby, wobec wszystkich ściskał go za obie ręce i po imieniu nazywał. W dniach jednak, w których wesoła i dobroduszna twarz zwierzchnika mnóstwem nagromadzonych na niéj zmarszczek i kwaśném wykrzywieniem ust, zdradzała doświadczane przezeń troski czy zgryzoty, nad całém biurem unosiła się atmosfera burzy, ogarniająca sobą i Dębskiego. W dniach tych u wejścia lub wyjścia z Izby i także wobec wszystkich spadały nań głośne i szorstkie wyrzuty, za niedokładne lub niedość prędkie spełnienie powierzonéj mu czynności. Wtedy Rębko nawet z mniejszym niż zwykle pośpiechem podawał kandydatowi do posad sądowych, przyzwoicie lecz niezbyt dostatnio wyglądający paltot jego lub futro, a potém spotkawszy się z Ławiczem na wspólnie zamieszkiwanym dziedzińcu i poufale pod ramię go biorąc, mówił:

— Protektor pański cości kiepsko u nas stoi! niewiadomo, czy będzie kiedy co z niego czy nie będzie? Mnie się zdaje, że nie będzie. Ot już dwa lata z górą siedzi u nas a Mikołaj Hilaryonowicz ani myśli puszczać go wyżéj. On bo i u członków żadnego *uważania* niema.... oho! ja wszystko wiem!

— A dlaczegóż to tak? — zapytywał Ławicz.

Rębko z ręką przy wąsie, dumny ze społecznéj pozycyi, która mu w tak ważne rzeczy wtajemniczonym być pozwalała, odpowiadał:

— *Piersze:* pleców niema, a czy pan wié co to jest kiedy człowiek pleców niema? To tak *jak żeby* głowy nie miał! Gdzie! lepiéj nawet głowy niemiéć jak pleców... Druga rzecz jest ta, że żyć nie umié. Z ludźmi trzeba umiéć żyć, a on nie umié. Siedzi zawsze jak wilk w swojém mieszkaniu nad *dzielami* (1) albo jeżeli *dziel* nie ma nad *swodem* (2) i ani zaprosi kogo do siebie ani sam bywa... do klubu raz tylko poszedł i to powróciły zły jak dyabeł, bo zgrał się podobno, i potém już nie chodził nigdy... To mnie, panie, człowiek jego opowiadał. Trzecia rzecz jest ta, że futro ma takie jak *stołonaczelnik* jaki. Gdzie! u nas i *stołonaczelniki* lepsze mają. Trudno miéć *uważanie* ludzkie z takiém futrem. E! *musi być* z niego nic nie będzie!

Pomimo groźnych tych przepowiedni Rębki, w biurze dowiedziano się dnia pewnego, że Maryan Dębski otrzymał posadę sekreterza cywilnego wydziału Izby. Była to posada nie wysoka ale materyalnie dość dobrze opłacana i przedstawiająca pole do wykazania gorliwości i uzdolnień tego, kto ją zajmował. Otrzymał ją Dębski po trzech blisko latach pracowitéj wielce kandydatury, a ludzie pochyleni nad stołami, w różnych a licznych salach gmachu, uczuli coś nakształt opadłéj na przygarbione ich plecy żelaznéj dłoni. Uczuli też oni, czuwające nad każdą nakreśloną przez nich literą, nad każdą w biurze spędzoną minutą, bystre i surowe oko. Było to sine, myślące, z chłodną, kryształową głębią oko młodego sekretarza. Czuwało ono nad wszystkiém, zdawało się widziéć wszystko i po żadném zaniedbaniu lub przekroczeniu nie prześliznęło się lekceważąco lub pobłażliwie. Piérwszy przybywając do biura i ostatni je opuszczając, karcił on tych, którzy w czasie, albo akuratném pełnieniu zajęć swych folgować sobie chcieli, krótkiem, sarkastyczném słowem, albo pogróżką, któréj forma chłodna i ściśle grzeczna zawierała w sobie treść nieubłaganie stanowczą. Mówiono też o nim, że pracując sam jak wół, podwładnymi swymi jak wołami orać chce grunt swojéj karyery.

W téj to porze przyszedłszy do bezpośredniego zetknięcia się z niższymi urzędnikami po raz pierwszy spotkał się on zbliska i z Ławiczem. Wyznaczał i wskazywał a potém przeglądał jego zajęcia. Zrazu patrzał on na dawnego kolegę swego i przemawiał do niego tak, jak gdyby go nigdy był nie znał, jak gdyby widział w nim tylko jedno z kółek maszyny, któréj on sam większém znacznie był kołem.

(1) Akty sądowe. — (2) Zbiór praw.

Raz jednak, gdy stojąc u okna uważnie przeczytywał długą jakąś kopią, wzrok jego z za sinego arkusza spłynął na twarz stojącego przed nim kancelisty. Ławicz stał przed zwierzchnikiem w postawie niepokornéj wprawdzie, jednak nieśmiałéj z ręką opartą o brudne sukno stołu, ze spuszczonemi powiekami. Szczupłość postaci jego, chudość ręki i wielka skromność ubrania zdradzały nie nędzę wprawdzie lecz ubóstwo z niedostatkiem graniczące. Na gładkie i pogodne jak u młodéj dziewczyny czoło jego opadały złotawe włosy a wśród mizernéj białéj twarzy delikatne usta układały się w wyraz zamyślenia i cierpliwości. Było w nim coś z pogody dziecka i smutku człowieka wykolejonego, że skromności ubóstwa i ze spokoju uczciwości. Siwe, mądre oko Dębskiego przesunęło się po twarzy kancelisty a potém tkwiło w jednym z wyrazów znajdujących się na sinym arkuszu daleko dłużéj, niżby dla przeczytania stronnicy całéj trzeba było. W kilka dni późniéj, Ławicz stojąc przed sekretarzem, robotę jego przeglądającym, podniósł powieki i najniespodziewaniéj spotkał się wzrokiem z jego spójrzeniem. Sinego arkusza, który mu twarz przysłaniał nie spuszczając, Dębski półgłosem i krótko zapytał:

— Cóż? jakże ci się powodzi?

— Bardzo dobrze — z uśmiechem odparł Ławicz.

— Doprawdy?

W pytaniu tém brzmiało zdziwienie i trochę szyderstwa. Po chwili zapytał znowu:

— Może ci się niepodoba robota którą tu spełniasz? — Chcesz abym cię przeniósł do innego wydziału?

— Dziękuję panu. Wszystko mi jedno.

— Zapewne.

Usta jego zarysowały uśmiech wpół sarkastyczny, wpół litośny. Zapewne! pomiędzy pozycyami, które Ławicz w biurze zajmować mógł, nie było bogactwa wyboru i wszystkie one znaczyły mniéj więcéj zero.

Po rozmowie téj, przez długie kilka tygodni Dębski spoglądał znowu na Ławicza, jak na niezbędny w rysunku jakimś, kształt zera mający, znaczek. Potém znowu, przeglądając robotę jego, zapytał:

— Czy masz z czego żyć?

— O tak! — z akcentem silnego przekonania odparł Ławicz.

— Może i w zbytki nawet opływasz?

Coś, jakby uczucie obrazy odmalowało się na zarumienionéj twarzy kancelisty.

— Nie — odpowiedział. — Niewiem co to zbytek i wcale go nie pragnę.

Tym razem Dębski patrzał na niego dość długo, zrazu z szyderstwem migocącém mu w kryształowych głębiach oka, potém z przenikliwą i pełną ciekawości uwagą.

Tego samego dnia zaszedł w biurze wypadek, o którym długo potém urzędnicy wyżsi i niżsi gwarzyli i rozprawiali, mianując go skandalem. Najwyższy zwierzchnik biura przybył tam dnia tego kwaśny i zgryziony. Na twarzy jego nie było śladu odznaczającéj ją najczęściéj jowialnéj dobroduszności, w ruchach malowała się niecierpliwość i skłonność do gniewu. Sala, w któréj przy oknach pracowali Ławicz i Kwira, pustą była dnia tego. W zamian gwar złożony z głośnego czytania, przyciszonych rozmów i szelestu licznych papierów i stąpań ludzkich, dochodził tu z pootwieranych na oścież drzwi sal innych. Nagle za nawpół otwartémi drzwiami sali posiedzeń sądowych, rozległ się gwałtowny, basowym głosem wydany krzyk. Na krzyk ten, z bocznych sal powypadali urzędnicy różnych stopni i ubrań, z przedpokoju wypadł Rębko, z siedzeń swych porwali się Ławicz i Kwira i wszyscy z wyrazem zdumienia lub przestrachu na twarzach, w ostrożnie kryjących się postawach, zaglądali do sali posiedzeń, przypatrując się i przysłuchując odegrywającéj się tam scenie. Była to przecież scena nie dramatyczna wcale ani malownicza. Po prostu prezes izby srodze gniewał się na sekretarza i głosem bardzo podniesionym, z gestami bardzo energicznémi i w słowach także pełnych energii, czynił mu wyrzuty, jak z krzyków jego wyrozumiéć można było, za to, że w służbowéj sprawie jakiejś objawił on zdanie, ze zdaniem zwierzchnika sprzeczne. Zazwyczaj był on dla śmiałości podobnéj, wyrozumienia i pobłażania pełnym a nawet lubić ją i szanować się zdawał. Inaczéj jednak rzeczy wszelkie wydają się przy blasku słońca, inaczéj przy widnokręgu zaciągniętym chmurami. Dnia tego widnokrąg biura wraz z czołem przewodnika swego zaciągnął się chmurami. Śmiałość Dębskiego wywołała z nich piorun. Pioruny padały z ust rozgniewanego zwierzchnika na głowę młodego człowieka, który przy swoim stole do pisania stojąc, blady jak ściana, z przyciętą do krwi wargą i spuszczonemi powiekami, stał nieruchomy jak posąg i — milczał. Zagadkowe i niewyraźne uśmiechy igrały po ustach sędziów, krzesła swe z wysokiemi poręczami zasiadających; złośliwie albo bezmyślnie uśmiechali się podpatrujący i podsłuchujący w trwożną a ciekawą gromadkę zbici urzędnicy. Rubasznie, choć z cicha a tak serdecznie, że aż mu się szerokie ramiona trzęsły, ciemną, brudną ręką usta sobie zakrywając, śmiał się wychylający się z drzwi przedpokoju Rębko. Kwira dłonią przyciskając łysinę, zdawał się konać ze strachu; Ławicza ręka o stół oparta drżała i białą twarz jego oblał krwisty rumieniec. Nie

z trwogi jednak drżał on i rumienił się. Wpatrzony w postawę Dębskiego, kamiennie nieruchomą a na białem tle ściany odbijającą się w silnych i kształtnych zarysach i na twarz jego nadzwyczaj bladą, po któréj przebiegały spazmatyczne drgania, myślał on a potém półgłosem i po razy kilka wymówił:

— Czy podobna?

Czy podobna aby *wymijacz raf*, zuchwale lub nieoględnie o jedną z nich uderzył? czy podobna aby uderzenie to, tak strasznie druzgocące dumę jego, zniósł aż do końca w téj nieruchomości kamiennéj, i w tém udręczeń pełném milczeniu?

Zniósł jednak. W sali posiedzeń zapanowały niebawem cisza i porządek zwykły a w ciszy téj, wobec rzędu krzeseł, na których nieruchomi i poważni siedzieli sędziowie, rozlegał się i w dalszych salach słyszéć się dawał, dźwięczny, czysty, chłodny głos sekretarza, czytającego sporządzony przez się długi a jasny jak słońce referat.

Rębko wracał dnia tego do domu, w niezmiernie dobrym humorze. Miał o czém mówić, rozpowiadać, zdania i sądy wydawać. Spostrzegłszy na dziedzińcu Ławicza, uczepił się go z poufałością, z jaką postępował zwykle względem ubogiego współlokatora swego a jak mniemał biurowego kolegi. Z uczuciem roskoszy śmiejąc się i cmokając językiem wołał:

— A to ci *skandal* dziś wyprawili! No, dziesięć lat służę w *pałacie* a to dopiéro trzeci raz! — Hi, hi! protektor pański mruk taki, a dziś języka w gębie utrzymać nie mógł. Służbista! Jak szło o służbowy interes, to i złego humoru Mikołaja Hilaryonowicza nie lękał się i swoje trzy grosze wsadzić musiał. Ot masz tobie i *służbistość!* Hi, hi! żebym ja był na jego miejscu, zaraz bym do *odstawki* poszedł, jak Boga kocham! A co mnie służba! Niech mnie dziś z *pałaty wygnają, dzieła* prowadzić będę i fundusz zrobię. Ale on nie pójdzie do *odstawki*, oho, ja wiem że nie pójdzie. *Piersze* dlatego, że mu chce się ministrem być, a drugi raz dlatego, że go Mikołaj Hilaryonowicz przeprosi.... Czegóż pan na mnie tak oczy wytrzeszczyłeś? Nie wierzysz pan że przeprosi? No, zobaczym. Oho, ja wszystko wiem. Mikołaj Hilaryonowicz dobry człowiek, tylko zgryzoty ma. Tak sobie zdaleka patrząc, zdaje się że taka osoba nie powinna miéć zgryzot. Jednakowoż jabym z nim nie pomieniał się, dalibóg nie. Oho, ja wszystko wiem. Znam dobrze *człowieka* Mikołaja Hilaryonowicza a dziewka od nich często do mojéj baby przychodzi. *Piersze* co się tycze pleców. Miéć to on je ma ale małe, a z małemi plecami, choć lepiéj jak bez pleców, ale zawsze niewygoda duża. *Drugi raz* widzisz pan baby.... trzy baby w domu. No? i takie jeszcze, którym chce się i pojazdów i materyalnych sukien i do klubu i do guberna-

tora i na maskarady i wszędzie! Córki, panie, dwie, wielkie porosły i tęgie jak piece a szpetne takie, że jabym na żadną z nich mojéj baby nie zamienił. Za mąż ani rusz... posagu ani kopiejki. A Mikołaj Hilaryonowicz za córkami przepada, żonki zaś lęka się, bo bardzo *zapalczywa* i podobno ze znacznéj familii pochodzi a on kupiecki syn... to, jak mu, panie, głowę natérkocą, napłaczą, nakrzyczą, w taką zgryzotę wpada, że cały świat zjeść chciałby... ale potem żałuje, bo to dobry jest człowiek i tyle tylko, że ma plecy małe i trzy baby...

W parę dni potém, o późnéj nocnéj godzinie Ławicz, z zapałem wielkim piszący w grubym i do połowy zapisanym już zeszycie a przytém, co chwilę do różnych książek zaglądający, usłyszał na wschodach swych powolne i pomimo ciemności, które tam panowały, równe i silne stąpania. Zdziwiony, podniósł głowę i wnet z wykrzykiem zdziwienia porwał się z krzesła. W otwierających się drzwiach izdebki zobaczył Maryana Dębskiego.

W balowém ubraniu, które dziwnie odbiło się na tle ubogiéj, wpółciemnéj izdebki, piękny i wyniosły człowiek ten zatrzymał się przez chwilę u progu w trochę zmięszanéj postawie. Futro jego opadło mu z ramion na najbliższy stołek, rękę okrytą białą rękawiczką wyciągnął do gospodarza mieszkania.

— Mój drogi, rzekł, jak upiór zjawiam się u ciebie pośród nocy. Jest to z mojéj strony dziwactwo i nieprzyzwoitość, za które cię bardzo przepraszam.

Ławicz z pośpiechem posunął ku niemu jedyne, w posiadaniu jego będące, krzesło z poręczą. Nie wydawał się on, ani zdziwionym, ani zmięszanym. Znać było, że przepisy przyzwoitości światowéj nie obchodziły go wcale a ubóstwo mieszkania nie zawstydzało. Na twarzy jego i w ruchach malowało się szczere uradowanie. Siadając na przeciw gościa, na stołku, który, z powodu okaleczonych nóg, zakołysał się pod nim gwałtownie, zaczął.

— Nie spodziewałem się, abyś pan kiedykolwiek był łaskaw...

— Abym kiedykolwiek odwiedził cię, dokończył gość. Rzeczywiście, ja sam nie myślałem o tém nigdy. Mam tyle zajęć, obowiązków i z położenia mego wypływających stosunków!... Dziś jednak... ale to cała historya, którą opowiedzieć ci muszę, dlatego choćby, abyś mię za waryata nie wziął,..

W niedbałéj i znużonéj nieco postawie ramię o poręczę krzesła wspierając, przesunął po czole cienką, śnieżnéj białości chustkę, od któréj wionął delikatny zapach perfum.

— Wracam, jak z ubrania mego domyślić się możesz, z tańcującego wieczoru... czy lubisz tańczyć?

— Niewiem, uśmiechnął się Ławicz.

— Jakto, niewiesz?

— Bo ostatni raz w życiu tańczyłem, mając lat czternaście.

— A! nie tańczysz więc teraz nigdy! Winszuję ci tego serdecznie. Co do mnie, tańczenie na wieczorach Mikołaja Hilaryonowicza, należy do służbowych obowiązków moich... Cóż chcesz? młody jestem a młodzieży bywa tam niewiele...

— Jakto!... mimowoli jakby zawołał Ławicz i wnet urwał.

— Co? podnosząc twarz zapytał Dębski co powiedzieć chciałeś?

— Nie... tak jakoś... zdawało mi się... że pan jesteś poróżniony z prezesem...

Dębski zaśmiał się. Był to śmiech nie zupełnie wesoły.

— No! zaczął, cóż? ta scena, którą mi onegdaj w Izbie wyprawił? E, mój drogi, odpokutował on za nią tak ciężko, że chować względem niego urazę byłoby brakiem wspaniałomyślności... Trzeba ci wiedzieć, że mam szczęście posiadać szczególne względy żony i córek prezesa; młody zaś i wesoły pomocnik prokuratora, wiedząc o tem a chcąc prezesowi wypłatać figla, opowiedział paniom całą tę scenę. No! miał się biedak z pyszna! Wsiadły na niego baby i dopóty tarły mu czuprynę, aż przyszedł do mnie i powiedział: „Maryanie Feliksowiczu, niech będzie zgoda pomiędzy nami. Uniosłem się, przepraszam i proszę na tańcujący wieczorek.„ Cóż? dąsać się dłużej byłoby rzeczą całkiem... nieużyteczną... prezes zresztą jest człowiekiem bardzo dobrym i czasem tylko, kiedy mu jego baby porządnie nadokuczają, przestaje być sobą...

Ławicz, słuchając opowiadania tego, mimowolnie uśmiechnął się. Dziwił się może wszechwiedzy Pawła Rębki, a może i czemuś innemu jeszcze... Dębski, w oczach którego, przebiegały, od chwili do chwili, ironiczne błyski, mówił dalej.

— Ale nie powiedziałem ci jeszcze jakim sposobem i dla czego jestem tutaj. Wracałem więc z tańcującego wieczoru, z którego zresztą, wymknąłem się wcześniej, niż może wypadało... Jakoś nie tańczyło mi się dziś i nie weseliło jak należy, w domu zresztą, mam dużo roboty a przetańczywszy połowę nocy przez drugą jéj połowę ślęczyć nad aktami, nie bardzo przyjemnie. Przyznaję się ze wstydem, że uczułem coś nakształt złości, czy może... smutku. Uczucie to, tém nieprzyjemniejsze, że jest głupiém i do niczego nie prowadzącém. Jednak, byłem pod jego wpływem i rozgniewany na ziemię, chciałem może spojrzeć na gwiazdy... sam niewiem, to pewna, że podniósłszy oczy zobaczyłem twoje okno świecące nad dachem téj kamienicy... tak wysoko!... Rębko mówił mi, że ty tu mieszkasz. Światełko twego okna, mój drogi, pośród ciemnéj zupełnie przestrzeni

wygląda, jak gwiazda ciszy i rezygnacyi... Cóś mię ku niemu pociągnęło... silnie...

Bledszy nieco niż zwykle, czoło na dłoni wspierając, ciekawém i uważném spójrzeniem rozejrzał się po izdebce.

— Czy dawno tu mieszkasz?

— Od trzech lat i kilku miesięcy, to jest od czasu, kiedym, dzięki panu, otrzymał stałe zajęcie.

— Czy nie możesz mieć wygodniejszego trochę mieszkania.

Ławicz z widoczném zdziwieniem odpowiedział.

— Ależ mnie tu bardzo wygodnie!

— Wyborny jesteś, mój drogi! głośno i szczerze zaśmiał się Dębski, lecz wnet spoważniał znowu i dodał; już mię i w biurze uderzyła ta dziwna twoja rezygnacya...

Ławicz zarumienił się ale i zdziwił się znowu.

— Ależ ja wcale rezygnować nie potrzebuję! zawołał, posyłam matce część pensyi mojéj, która jéj tam na wsi zupełnie wystarcza i zawsze mi jeszcze parę rubli na książki zostaje... życie, kosztuje mnie bardzo niewiele.

— Spodziewam się. Ale prawda! Książek tu u ciebie daleko więcéj niż powietrza! Zkądże ty ich mieć możesz tyle?

— Co miesiąc parę rubli na nie odkładam, to i zebrało się; przytém, Żyrski księgarz jest szkolnym kolegą moim i wypożycza mi je bardzo tanio, czasem darmo, bo wié, że mu je zawsze w całości zwrócę. Nauczyłem się wybornie czytać książki, nie rozcinając wcale kart albo rozcinając je tylko wzdłuż... ot tak!

Tu, zapalając się, pokazywać zaczął Dębskiemu w jaki sposób czytuje książki, z nierozciętemi całkiem albo wzdłuż tylko rozciętemi kartami.

— I nie męczy cię takie utrudnione czytanie? ochoty nie odbiera?

— O, nie! z niemieckiemi tylko trochę trudno, bo język ten najsłabiéj...

— Prawda! wszakże tu pełno francuzkich i niemieckich... zkądże umiesz?..

— Początki miałem z domu i szkoły ale słabe. Douczyłem się sam...

— Brałeś lekcye?

— O, nie! Zkądżeby mi...

— Więc jakże?

— Tak, sam... z gramatykami i dykcyonarzami...

— Po łacinie jak widzę czytujesz... nie myślę abyś ze szkół wyniósł taką biegłość...

— Nie, ale miałem początki. Douczyłem się sam.

— Ho, ho! co za tytuły, jakie imiona autorów! i sumiennie, widzę, studyujesz... notat i wyciągów więcéj jak u niejednego sławnego autora...

Umilkł i wpatrzył się w młodego kancelistę długo, głęboko.

— Jakże więc?—czy pozwolisz mi zapalić cygaro, bo widzę, że będę tu siedział dłużéj niż myślałem?... jakże więc? Zajmując się rzeczami takiemi, jesteś zdolny przez trzy czwarte czasu swego, bezmyślnie kopjować nasze kancelaryjne akty?

— Muszę, odparł Ławicz, mam matkę i sam żyć potrzebuję. Ale tamto co innego a to co innego...

— Cóż to? a co tamto?

— Tamto, potrzeba i obowiązek, to—szczęście!

— Boże miłosierny! Że téż, w tym zmroku ludzkim rysują się jeszcze takie świetliste linje...

Z wykrzykiem tym wstał i przeszedł się parę razy po izdebce. Potém, stanął przed Ławiczem i wziąwszy jego rękę, ścisnął ją krótko ale silnie.

— No, rzekł siadając znowu, wytrąciłeś mię z mego zwykłego humoru. I nie dziw. Lecz usuwając na stronę czułości, powiedz mi, na co ci to? co, ze wszystkiego tego, przyjść ci może?

— Nie myślałem nigdy o tém...

— Otóż to... Niepraktyczność. Zużywasz czas i siły, niewiedzieć po co, bez żadnego celu, bo ostatecznie jakkolwiek wielu na świecie było bardzo znakomitych samouków, mieli oni genjusz. Czy mniemasz, że jesteś człowiekiem genialnym?

Ławicz zaśmiał się wesoło.

— Nie myślisz więc tak i masz słuszność, bo od wielkich nawet zdolności umysłowych do genjuszu bardzo daleko. I zresztą, gdybyś nawet genialnym był, wątpię bardzo abyś, kiedy, cokolwiek porządnego na drodze naukowéj mógł uczynić. Dawniéj, łatwiéj było ale teraz, mój kochany, teraz, są na świecie metody, systematy, olbrzymie nagromadzenie materyałów, olbrzymia liczba pracowników dobrze przygotowanych a uprawiających i wyzyskujących wszystkie pola... Teraz i geniuszowi nawet trudno albo i całkiem niepodobna, omackiem szukać i znajdować... nieprawdaż?

— Prawda, odpowiedział Ławicz.

— Widzisz. Na co ci więc to wszystko?

W błękitnych oczach Ławicza, wpatrzonych w gościa, odmalował się smutek. Dębski uśmiechnął się i rzekł.

— Widzę, że zmartwiłem cię. Odwołuję słowa moje. Życie, nie okazało się istotnie, zbyt dla ciebie łaskawém. Jeżeli więc to grzebanie się w książkach bawi cię—baw się!!..

— Ależ ja wcale za zabawę tego nie uważam! zawołał Ławicz.

— A ja, nie widzę czemby to innêm być mogło, z niezwykłêm sobie ożywieniem odparł Dębski.

Widać było, że w człowieku tym, który z nieubłaganą metodą i wytrwałością do celów swoich dążył, wszystko co wydawało mu się nielogicznêm lub niepraktycznêm, budziło niecierpliwą pogardę...

— Co do mnie, zaczął, nie rozumiem życia inaczéj, jak z celem jasno określonym i z wiodącemi do niego praktycznemi drogami. Wiem dobrze, że dawniéj jeszcze, kiedyśmy wszyscy mniéj więcéj dziećmi byli, uważaliście mię za człowieka pełnego ambicyi, wyrachowanego i zimnego. Dziś także, wszyscy, nie wyłączając wołów, osłów i uczonych piesków, których świat ten jest pełnym, rzucają mi w oczy albo za oczy zarzut ambicyi i rachuby. I wyobrażają sobie naprawdę, że to jest zarzut. A ja się tego wcale nie zapieram. Ja się têm szczycę. To prawda, jestem ambitnym ale ambicya moja szaleństwem żadnêm nie jest. Nie marzę wcale o niepodobieństwach. Nie mam siebie za cud świata i nie pragnę zostać bohatêrem jego albo władcą. Rzecz cała w têm, że od najpierwszéj młodości, uczułem, że nie jestem idyotą ani niedołęgą i postanowiłem indywidualność swoję wyzyskać w sposób dla niéj najwłaściwszy, ku największéj korzyści swojéj i społeczeństwa. To jest mój cel. Co się tyczy, téj niby rachuby mojéj... tak jest, rachuję i obrachowywam a to dlatego, że urodzony i do lat chłopięcych hodowany w bogatym i możnym domu rodziców moich, widziałem dom ten obalony w gruzy i dokoła niego mnóstwo podobnych mu domów obalających się—przez brak rachuby!

Mówił to prawie z uniesieniem. Siwe źrenice jego błyszczały jak zimne lecz świetne brylanty, na ustach osiadł uśmiech wpół gorzki, wpół dumny. Gorycz jednak, zniknęła całkiem, gdy mówić zaczął o wybranym przez się zawodzie, o naturze i ważności tych funkcyj społecznych, do jakich mógł go on doprowadzić. Czemże zostać pragnął? Władcą potężnym, tryumfatorem rozgłośnym, sybarytą opływającym w bogactwa i rozkosze? Nie; w zawodzie tym, nic podobnego osięgnąć niepodobna. W zamian, osięgnąć w nim można egzystencyą dobrze zabezpieczoną od trosk i niedostatków nękających umysł i energią, stanowisko społeczne poważane i czynność społeczną niezmiernie wpływową.

— Stać pomiędzy prawodawcą i wykonawcą prawa, tłómaczyć i stosować myśl pierwszego, a dłoń drugiego posuwać lub hamować, trzymać niejako pod okiem swém sumienie publiczne, badać je, roztrząsać i poznać w najdalszych jego głębinach a potém, z wiedzą na

żywém ciele społecznęm zdobytą, dzielić się może z prawodawcą i być mu nieraz pomocą i natchnieniem,—przyznaj, mój drogi, że rola to zaszczytna, wpływowa i godna tego aby ludzie skłaniali przed nią głowy—jeżeli pełnioną jest dobrze i dokładnie.

Mówił potém, że na każdém miejscu tego świata, pełno jest ludzi takich, którzy wykonywują robotę swoję, niewiedząc sami co i dlaczego robią. Do każdéj roboty społecznéj, potrzebną jest pewna doza filozofii, uczącéj ogarniać całość i patrzéć w głębie. Posiadając filozofią taką i odpowiednie przymioty charakteru, w zawodzie sądowniczym stanąć można wysoko, stać się indywidualnością energiczną, wpływową i poważaną. Dążenie do zostania indywidualnością taką i do zajęcia takiego stanowiska jest zapewne ambicyą, ale czy szaloną albo występną, czy przekraczającą granice zdrowego rozsądku albo naturalnych praw cywilizowanego człowieka? Zdaję to na twój choćby sąd, młody stoiku, który umiesz czuć się zadowolonym mieszkając w téj izdebce i nic oprócz niéj w przyszłości swéj nie widząc...

— Są to żądania proste i szlachetne, z zapałem odparł Ławicz.

— O szlachetności nie mówmy. Unikajmy górnych wyrazów; wystarcza mi to, że zbrodniarzem ani niedołęgą zostać nie chcę a żądania moje są proste i naturalne. Jakiemi zaś drogami do nich dążę, czy mi łatwo iść niemi albo ciężko—to już moja rzecz. Jestem człowiekiem praktycznym. Nie płynę na cudzym grzbiecie ale téż pracowicie rozbijając przed sobą fale, nie chcę aby mię pierwszy lepszy rekin sentymentalizmu na dno pociągnął. Bo sentymenty i marzenia, mój drogi, to rekiny i dla tego, lękam się o ciebie. Jesteś cały w paszczy rekina...

— Co znaczy, że oddaję się marzeniom?

— Naturalnie; czemże bowiem innóm być może, zgromadzanie do głowy swéj mądrości, które téż w głowie twéj na wieki pozostaną? Bez celu, mój drogi, bez celu i niepraktycznie...

Zaśmiał się znowu ale z przymusem i wstał z krzesła.

— Nagadałem ci rzeczy nieprzyjemnych. Daruj, ale nie znoszę wszystkiego co niepraktyczne i do niczego nie prowadzące. Przebacz téż, że ci zajęcie czy raczéj bawienie się twe przerwałem i—dobranoc!

Ławicz zatrzymał w dłoniach swych rękę, którą podał mu gość jego.

— Mam do pana prośbę... wielką prośbę...

— Owszem, powiedz; jeżeli będę mógł... uprzedzam cię tylko, że co się tyczy twéj karyery biurowéj ty masz niezmiernie mało do zdobycia a ja do ofiarowania ci...

— Wiem o tém i wdzięczny panu za dzisiejszą pozycyą moję niczego więcéj nie żądam. Prośba moja ma cel daleko, daleko ważniejszy niż awans biurowy...

— Ciekawym, proszę cię, mów...

Lecz Ławiczowi mówić o przedmiocie téj prośby łatwo nie było. Zmięszany, zarumieniony ze spuszczonemi oczami szepnął.

— Widzi pan; nie jestem zupełnie niepraktycznym... owszem, marzyłem... Marzę, o zrobieniu użytku jakiegoś ze studyów moich... piszę...

— A! zawołał Dębski i niedowierzającém, ironicznêm nieco spojrzenieniem ogarnął gruby zeszyt, rozłożony pod światłem lampy. Ławicz, położył dłoń na tym zeszycie i śmieléj trochę choć zawsze oczu nie podnosząc, mówił.

— Żyję zupełnie samotnie. Od wyjazdu do stolicy Derszlaka nigdy, z nikim, o niczém podobném nie mówię a sobie nie ufam i nie wiem czy to ma jakąkolwiek wartość, czy żadnéj nie ma. Czasem, zdaje mi się, że ma, a czasem, że niema. Bywają dnie, w których myślę, że będzie to książka piękna i poważna, w innych dniach, łaję siebie za zarozumiałość swą i ręce mi opadają. Nie wyobrazi pan sobie, jak niepewność taka okropnie męczy. A tu nikogo, nikogo, nikogo, ktoby choć zrozumiéć mógł nie już ocenić...

Głos mu drżał, twarz oblała się wyrazem głębokiego smutku. Widocznie, dotykał on teraz jedynéj strony życia swego, która była mu bardzo bolesną.

— Cóż więc? z uśmiechem zapytał Dębski, chcesz może abym był sędzią twoim?

— Tak; pan jeden, ze wszystkich ludzi, których znam możesz... Myślałem o tém zawsze, ale nie śmiałem. Dziś, ośmieliłeś mię pan dobrocią swoją...

— Jaka to dobroć, mój drogi? Nie używajmy nigdy górnych wyrazów! Dobrze; jak skończysz to... dzieło twoje... przynieś mi je, do mieszkania mego naturalnie. Przeczytam i zdanie swoje otwarcie powiem...

Po chwili, pięknego i świetnego człowieka w balowym stroju nie było już w izdebce i panowała w niéj zwykła cisza nocna przerywana ostrem i przeciągłem gwizdaniem stróżów nocnych, dochodzącém z czarnego jak czeluść zaułka. Na stole, pomiędzy mnóstwem papierów i książek paliła się lampa, któréj odbicie rysowało na suficie blade i drżące widmo miesiąca; po ścianach ciemniały nieruchome i kalekie cienie odzieży, zwisającéj u haków wieszadeł, pośrodku izdebki, stało krzesło z poręczą i wklęsłym materacem, na którym przed chwilą siedział Dębski; w kącie, szczury łopotały parą starego obuwia.

Przy stole, Ławicz stał długo zamyślony i zrazu smutny. Być może, iż w uszach jego brzmiały jeszcze dźwięcznym, chłodnym głosem wymawiane pytania: „na co ci to? co ci z tego przyjść może?“ A potem: „bez celu... bez celu... niepraktycznie!“

Niepraktycznie! Ależ w człowieku, kędyś tam, w głębiach piersi jego, w zwojach jego mózgu, bywają wielkie moce pociągów ipragnień, które porywają go jak silne fale i niosą ku brzegom często nieznanym! Ależ w wielkiéj ciszy téj, która go otaczała, w téj bezgranicznéj samotności, na którą żalił się przed chwilą, słyszał on śpiew Syren, zamieszkujących niezmierne morze wiedzy.

„Ku nam, ku nam statek nakieruj.
Głosom przysłuchać się naszym!..“

I nie wiedząc: po co mu to? nie myśląc: co mu z tego przyjdzie? rok życia oddałby chętnie, za jednę noc słuchania.

(*d. c. n.*) *El. Orzeszkowa.*

OBRAZ FILOZOFII SPÓŁCZESNEJ

WE WŁOSZECH.

II.

Obok filozofii idealistycznéj, która za przedmiot rozmyślań swoich brała abstrakcye, idee przedwieczne, absolut i była krótko mówiąc ideologią, rozwijał się zwolna inny kierunek oparty na postrzeganiu faktów, ich klasyfikacyi, grupowaniu i uogólnianiu. Nie sięgając do wieku XVI i tych autorów, których wydała epoka humanistyczna i którzy równie jak Bakon w Anglii zwracali filozofią do obserwacyi natury, już pod koniec przeszłego i na początku bieżącego stulecia mogą się Włochy poszczycić kilkoma mężami dobrze zasłużonymi głównie na polu umiejętności politycznych, prawnych i ekonomicznych. Dość tu przypomnieć ludzi takich, jak Melchior Gioja († 1829) lub dawniejszych nieco, jak Beccaria, Genovesi wielbiciel Locke'a, jak ksiądz Soave tłómacz tegoż Locke'a i wielu innych pracujących pod wpływem spółczesnéj sobie filozofii francuzkiéj i angielskiéj. Osobliwie wpływ Anglików widoczny jest na nich nietylko w zamiłowaniu faktów i podzielaniu poglądów, lecz nawet w tém łączeniu z sobą i uprawianiu razem nauk ekonomiczno-prawnych i filozofii. Ze wszystkich jednakże najwięcéj się odznaczył w dziedzinie filozofii umiejętnéj owego czasu Jan Dominik Romagnosi (1761 †1835) pisarz bardzo obfity, wielce trzeźwy, zasłużony jako profesor prawa, autor i minister sprawiedliwości. Między uczniami swoimi liczył gorących wielbicieli takich, jak Ferrari i Cattaneo, o których wyżéj była mowa.

Gioja i Romagnosi byli filozofami, jak to mówią, praktycznymi; pragnęli zapewnić ludziom szczęście przez ścisłą znajomość zjawisk społecznych i praw niemi rządzących. Zapatrywali się oni na spo-

łeczeństwo i na człowieka wogóle, jako na przedmiot przyrodzony, zależny, gdy chodzi o jego poznanie, od obserwacyi. Gioja w pracach swoich teoretycznych usiłował wskazać prawidła stałe w użyciu zmysłów, które według niego, są jedynemi środkami naszego poznania. Dlatego téż przypisywał wielkie znaczenie *statystyce* uważając ją za najdzielniejsze narzędzie w traktowaniu umiejętności moralnych i politycznych. Jako statystyk i ekonomista, Gioja znany jest i ceniony dotychczas szczególniéj za trafne rozumienie faktów moralnych do których stosował statystykę; w teoryi ekonomiki był przeciwnikiem ekonomistów *apriorystów*, w psychologii hołdował sensualizmowi, w socyologii głosił teoryą *starć* wynikających z konkurencyi sił społecznych, któréj regulatorem musi być państwo.

Romagnosi jeszcze przypomina pod niejednym względem dawnych metafizyków idealistycznych, jednakże absolut już niema przystępu do jego systematu. Rozumie on, że granicę dla umysłu ludzkiego stanowią zjawiska, które go ze wszech stron otaczają. W moralności broni eudemonizmu: człowiek podług niego niema innego celu, jedno by sobie zdobył szczęście, a to znów daje się osiągnąć li w społeczeństwie. Poglądy te głównie znajdują się w najznakomitszém z dzieł autora: *O prawach cywilizacyi* (1834). Jest to socyologia, w któréj pojmowaniu Romagnosi okazał wielki dar postrzegania zjawisk społecznych, i jeden z pierwszych zapatrywał się na „ciało społeczne“ jako na żyjący organizm, którego „fizyologią“ trzebaby ułożyć. Przeczuwał prawo „powolnych działań,“ według którego wielkie i ostateczne rezultaty są wynikiem drobnych, powoli, ale ciągle działających czynników. On téż zauważył doniosłe znaczenie wszelkich środków symbolicznych, jak słowa, pisma, monet, miar i innych znaków, za pomocą których idee i wartości ciągle krążą po ciele społecznem, jak krew po organizmie jednostkowym.

Poszukując przodków obecnego kierunku empirycznego filozofii włoskiéj możnaby jeszcze przytoczyć Borellego (Lallebasque), który wyprzedził Herberta Spencera w psychologii i już od r. 1825 badał umysł ludzki z punktu fizyologicznego. Daléj, wart jest wspomnienia Wincenty de Grazia, który w Neapolu żył równocześnie z Galluppim, i w samotności zajmował się głównie psychologią. Zarzucał on Kantowi wówczas to, co mu znacznie późniéj zarzucali stronnicy ewolucyi, że umysł ludzki rozważał w stanie dojrzałym, zamiast badać jego genezę. De Grazia wyprzedził téż A. Comte'a odnośnie podziału historyi na trzy epoki, z których dwie, epokę metafizyczną i epokę naukową, tak samo jak twórca pozytywizmu nazywa. Co ciekawsza, że naukę oczyszczoną od spekulacyi metafizycznych, mianuje *pozytywną*, ruguje z niéj wszelkie pojęcia *à priori*,

wszelkie poszukiwanie *essencyi* rzeczy. To podobieństwo dwóch umysłów idących prawie tą samą drogą, nasuwa pytanie, który od którego pożyczał? Otóż biograf włoskiego filozofa, Fiorentino, sądzi, że chociaż de Grazia spółczesnym był A. Comte'a, jednak najprawdopodobniéj nie wiedzieli o sobie.

Powoli wyrabiało się przekonanie, że filozofii nie można uprawiać bez umiejętności, a na szczęście zaczęły się ukazywać dzieła umiejętne. Historyą nauk matematycznych napisał de Libri, historyą medycyny Puccinotti. Metafizycy i krytycy ze szkoły Hegla przypomnieli sobie spółziomków pokrewnych myślą z XVI i XVII wieku, zaczęli życie i dzieła ich badać: Spaventa opracował filozofią G. Brunona i Campanelli, dowodząc że wyprzedzili Kartezyusza; Franciszek Fiorentino wydobył z zapomnienia Telezyusza i Pomponacyusza, których ogłosił za poprzedników Bakona; Berti pisał o Bruno'nie, Galileuszu i Koperniku; Ferri Ludw. o psychologii Pomponacyusza; Siciliani o Galileuszu; Villari o Savonaroli i Machiavelu. Już z tego powrotu do tradycyi XVI i XVII w., z tego upodobania w biografiach znakomitszych uczonych swoich widać było, że młodsze pokolenie zrywa z ideologią, że się rodzi nowy i konkretniejszy kierunek w spekulacyi włoskiéj. Przejściowe niejako ogniwo do filozofii empirycznéj i umiejętnéj od idealistycznéj, stanowił pozytywizm, z którego rozwinął się spółczesny empiryzm, a jego przedstawicielami są następujący pisarze: Pasquale Villari, Mikołaj Marselli, A. Angiulli, Arystydes Gobelli, Robert Ardigo. Musimy się im przyjrzéć z kolei, ażeby czytelnikowi dać chociaż ogólne wyobrażenie o kierunku prac tych autorów.

Zaraz z początku zaznaczamy, że wymienionych pisarzy zaliczają do pozytywistów rozumiejąc pod tą nazwą niekoniecznie zwolenników pozytywizmu francuzkiego, takiego jaki A. Comte utworzył, lecz raczéj pojętnych kontynuatorów jego, którzy w wielu punktach modyfikują spekulacye filozofa francuzkiego. Zdarzyło się bowiem we Włoszech to, co i gdzieindziéj, że jak tylko pisarz, który zerwał z metafizyką idealistyczną, jak się odważał na krytykę dotychczasowéj spekulacyi i okazywał nieco więcéj niezależności od utartych opinij, zaraz go mianowano pozytywistą, częścią dla zdyskredytowania autora, częścią z lenistwa do uczenia się nowych rzeczy. W prasie i pośród publiczności zapanował istny chaos wyobrażeń o pozytywizmie i pozytywistach, do czego niemało przyłożyli się sami zwolennicy francuzkiéj mądrości. Nie zdając sobie jasno sprawy ze swoich dążności filozoficznych, radzi byli przekomarzać się z metafizykami przeciwnego obozu, gubiąc się w ogólnikach i deklamując o postępie. Dopiéro gdy się zapoznali ze spółczesną filozo-

fią angielską, co przypadło około r. 1870, autorowie nowego kierunku zaczęli chłodnąć w swoim zapale dla pozytywizmu i albo zupełnie albo częściowo z nim zerwali.

Bacząc na czas, kiedy się Włosi zapoznali z potywizmem francuzkim, możnaby wskazać r. 1866, w którym Villari ogłosił w *Politecnico* artykuł pod tytułem: *Filozofia pozytywna i metoda historyczna.* Było to pierwsze wywieszenie chorągwi nowéj nauki, które się nie obeszło bez surowéj krytyki ze strony prawowiernych uczniów Comte'a, gdyż nowy adept lubo się okazał pojętnym uczniem, lecz w niejednym punkcie odstępował od systematu.

Villari więcéj jest znany jako historyk niż jako filozof. Urodzony w Neapolu 1827 r. udał się w 1848 do Florencyi, w celu gromadzenia materyałów do życiorysów Savonaroli i Machiavela, które późniéj ogłosił (1870 i 1877). We Francyi wpadła mu w ręce *Logika* St. Mill'a i z niéj-to dowiedział się o *Kursie filozofii pozytywnéj* Comte'a, który przeczytał i bardzo w nim zasmakował, tak że już w artykułach pisanych w owym czasie jako téż w większéj pracy *O początku i postępie historyi* (1854) znać wpływ pozytywizmu. Podobnież w studyach późniejszych o *Filozofii historyi*, o *Galileuszu, Bakonie i metodzie doświadczalnéj* (1864) widać jeszcze zajmowanie się teoryą, któréj następnie zaniechał, przekonawszy się, że pożyteczniéj jest stosować metodę umiejętną do prac historycznych, niż zużywać siły umysłu na rozwiązywaniu zagadnień metafizycznych. Było to zresztą wynikiem potrzeby i stanowiska, gdyż Villari od r. 1863 wykładał historyą we Florencyi.

Ale jeżeli Villari odstąpił od pozytywizmu i za to ściągnął na siebie naganę, pytanie, w czém leżało owo odstępstwo i różnica? Oto sądził on, że lubo w nauce ścisłéj trzeba się ograniczyć na prawdach dostępnych umysłowi naszemu i dochodzić ich za pomocą metody indukcyjnéj; nie wyłączał jednak z zakresu myślenia takich zagadnień, do których owéj metody stosować niepodobna. Zagadnienia takie, jakiemi się trudni metafizyka, są właśnie tego rodzaju; nie wchodzą one w zakres umiejętności, ale pomimo tego umysł nasz może się niemi zajmować. Umysł ludzki nie przestanie pytać się co jest przestrzeń, nieskończoność, Bóg, dusza i jéj przeznaczenie, chociaż umiejętność nie może pytań tych rozwiązać. Po nad rzeczywistością unosi się ideał, który nas ku sobie pociąga i do nowych badań podnieca, budzi nadzieję, że granice natury naszéj przekroczyć zdołamy. Nie godzi się go ani przeczyć, ani o nim wątpić; tylko umysły pospolite nie noszą go w swojéj świadomości; nie może on przecież stanowić części umiejętności, która twierdzi tylko na mocy dowodów. Poezya, muzyka, metafizyka, wiara nie mogą i nie powinny

nigdy tracić z oczu ideału chociaż doścignąć go nigdy nie zdołają i dlatego téż słusznie mówią za naszych czasów, że metafizyka jest także pewnego rodzaju sztuką. Zadaniem metafizyki jest wynajdywanie hipotez, które potém nauka ma sprawdzać. Otóż wiadomo, że pozytywiści prawowierni metafizykę wyłączają z zakresu życia umysłowego i dlatego im się Villari nie podobał.

Pokrewnym Villarego duchowo jest Mikołaj Marselli spółziomek jego, albowiem jest on także neapolitańczykiem i należy do téj saméj co i tamten generacyi. Od 1856—1860 przebywał w Neapolu i należał do grupy Heglistów, o któréj wyżéj nieco była mowa. W braku życia politycznego grupa ta żywiła swoję fantazyą najzuchwalszemi pomysłami w świecie idealnym. Nie przypuszczali ci młodzi filozofowie, że wyzwolenie ojczyzny było już tak blizkie. Wypadki wojenne owego czasu pociągnęły Marsellego do Włoch północnych wraz z armią, w któréj służył jako oficer artyleryi. Okoliczności te zmusiły go zajmować się pracami technicznemi, które téż wpłynęły na zmianę jego wyobrażeń. Jeszcze więcéj do téj zmiany przyłożyły się dzieła A. Comte'a, z któremi się zapoznał w Turynie; pomimo tego nie wyparł się i Hegla. Ztąd téż i stanowisko jego filozoficzne nie jest dość wyraźne.

Jużeśmy nadmieniali, że ulubionym przedmiotem młodszego pokolenia pisarzy włoskich stała się filozofia historyi: prawie każdy z nich probował sił swoich na tém polu. I Marselli znany jest nietyle z prac ściśle filozoficznych, ile raczéj ze swojéj *Umiejętności historyi* (*Scienza della storia*, 1873). Czytelnik zrozumié ducha autora, gdy powiemy, że podług Marsellego umiejętnym historykiem był jedynie H. Buckle. Ceni on tylko takich historyków, którzy do dziejów stosowali metodę nauk przyrodzonych, ruguje z historyi wszelkie siły nadprzyrodzone, a swoją drogą strofuje Comte'a za to, że ludziom zabraniał poszukiwania absolutu.

Ze wspomnionéj grupy heglistów neapolitańskich pochodzi także Andrzéj Angiulli, który był z początku takim wielbicielem filozofii niemieckiéj, zwłaszcza heglowskiéj, że się udał do Niemiec, by się napić mądrości u samego źródła w Berlinie. Po trzech latach studyów wyrzekł się Hegla i przeszedł do Comte'a, a gdy się zapoznał z dziełami Darwina i Herb. Spencera, zaczął powoli tracić wiarę w Comte'a i Littré'go, a przechylać się do spółczesnéj filozofii angielskiéj. Powróciwszy do ojczyzny Angiulli wykładał filozofią w Neapolu, Bononii i znów w Neapolu, gdzie z podobnie jak sam myślącymi założył w r. 1871 *Przegląd krytyczny* mający służyć za organ filozofii doświadczalnéj. Pismo po wyjściu kilku zeszytów upadło. Założyciel ogłosił w niém jeden z lepszych artykułów obejmujący rozbiór *Psy-*

chologii Roberta Ardigo. Następnie i inni spółpracownicy *Przeglądu*, jak Zocchi, Miraglia, Schiattarella dali się poznać z prac swoich ożywionych tym samym duchem. Ważniejsze jednak niż te skromne usiłowania, były studya Angiullego w zakresie filozofii teoretycznéj i pedagogiki dokonane. Wydał on najrzód dziełko mające tytuł *Filozofia i badania pozytywne* (*La filosofia e la ricerca positiva*, 1869), w którém dowodził, że charakterystyczną cechę filozofii włoskiéj zawsze, od czasów odrodzenia, stanowiła dążność do badań doświadczalnych, na dowód czego służą Pomponacyusz, Telezyusz, Campanella, Bruno i Galileusz. Autor okazuje się jeszcze w téj pracy mocno przejęty pozytywizmem, od którego stopniowo zaczął się uchylać, mianowicie w tym punkcie, że nie odrzucał z szeregu nauk filozoficznych ani psychologii, ani metafizyki; chciałby on jedynie, żeby ta ostatnia roztrząsała pojęcia materyi, siły, ruchu, nieskończoności i t. p. *à posteriori*, jako wyniki i rezultaty abstrakcyi, nie przyjmując ich *à priori*, jak czyniła metafizyka idealistyczna. Angiulli mniema, że téj nowéj metafizyki nie będzie mógł odrzucać pozytywista godzien tego nazwiska, albowiem badając przyczyny i stosunki wszechświatowe, musi zaczepić o pojęcia kosmologiczne, które w gruncie są metafizycznemi.

Drugą nieco większą pracę ogłosił Angiulli w r. 1876 pod tytułem: *Wychowanie, państwo i rodzina*. Rozbiera tu autor stosunki rodziny i państwa czyli rządu do edukacyi dowodząc, że państwo winno wziąć w swoje ręce wychowanie, ażeby mu nadać cechę umiejętną. Kto na tém polu pragnie swobody, ten musiałby się zgodzić i na to, że jednostkom wolno podkopywać fundamenta życia społecznego. Odrodzenie społeczeństwa zależy od przerobienia jednostek, które je składają; teorye pedagogiczne są już mniéj więcéj udoskonalone, chodzi tylko o ich zastosowanie, do czego państwo jest najsposobniejsze. Ze zmianą wychowania zmienią się instytucye i *kwestya socyalna* zostanie rozwiązana za pośrednictwem szkoły t. j. umiejętnego wychowania. „Nie mówimy—pisze autor—jak Leibnitz: dajcie nam wychowanie, a w ciągu niecałego wieku zmienimy postać Europy; mówimy jedynie, że jeżeli jest w naszéj mocy dokonać przekształcenia i ulepszenia jednostek i ludów, to siła ta leży w umiejętności i w wychowaniu umiejętném.“ Angiulli kreśli téż plan nauk elementarnych stanowiących minimum instrukcyi, którą każdy otrzymać powinien, oraz wzywa pomocy państwa w celu zakładania licznych szkół normalnych mogących przygotowywać nauczycieli do zajęcia posad nauczycielskich w najuboższych gminach wiejskich.

Ale na wychowanie człowieka w młodości wywiera wpływ nietylko szkoła lecz i rodzina, a w rodzinie przedewszystkiém matka.

Otóż do rodziny państwo nie może się mieszać i do wnętrza domu zaglądać: jakim więc sposobem zdoła ono zapewnić spółdziałanie matki w edukacyi umiejętnéj takiéj, jakiéj sobie autor życzy? Przez wychowanie najprzód saméj matki, odpowiada Angiulli. Dlatego téż rząd powinien i środków nie żałować i w potrzebie prawem obostrzyć umiejętne wychowanie płci niewieściéj, przyszłych matek i wychowawczyń. Trzeba im dać pojęcie przynajmniéj ogólne o porządku świata, organizacyi społeczeństwa, historyi i psychologii. Tym sposobem matka stanie na wysokości swoich obowiązków wychowawczych i przyczyni się do zaprowadzenia harmonii w rodzinie gdzie dotychczas wnosiła sprzeciwieństwo i walkę. Autor pod tym względem inaczéj nieco patrzy na wpływ edukacyi rozumowéj, niż np. Herb. Spencer; ten bowiem utrzymuje, że wiedza nie wpływa na czyny (*cognition does not produce action*), że ciemnota nie jest źródłem zbrodni, lecz tylko zwykłą jéj towarzyszką; słowem, że uczucie nie zaś myślenie abstrakcyjne pobudza ludzi do działania. Angiulli zgadza się na to, że uczucia, popędy są siłą poruszającą i popychającą człowieka do czynów, sądzi przecież, że ukształcony rozum kierunek jéj nadaje (1).

Z ducha i dążności prac swoich, do téj saméj grupy autorów należy Arystydes Gabelli, lombardczyk, wychowany w naukowéj tradycyi Cattane'a i spółpracownik redagowanego przezeń pisma *Politecnico*, w któróm począwszy od r. 1865 zaczął ogłaszać artykuły: *O wychowaniu zgodném z cywilizacyą*, *O filozofii woli* i inne. Rozproszone te poglądy, gdy lepiéj dojrzały w jego umyśle, zebrał w całość i wydał pod tytułem: *Człowiek i umiejętności moralne* (*L'uomo et le scienze morali*, 1869 i 1871). Gabelli był jednym z pierwszych, co we Włoszech metodę indukcyjną do nauk moralnych stosował walcząc przeciw moralności *à priori*, intuicyjnéj, przeciw mniemaniu jakoby człowiek nosił w sobie gotowy zmysł czy też instynkt moralny. Zmysł ten wyrabia się pod wpływem zwyczajów, opinij, praw; a jak niema absolutnéj i jednakowéj miary moralnéj w każdéj jednostce, tak nie ma absolutnéj sprawiedliwości w społeczeństwie: obie się doskonalą z postępem nauk, przy lepszém rozumieniu historyi i antropologii.

Kiedy pisarze, o których była mowa, ograniczali się na rozprawach odosobnionych z zakresu filozofii ogólnéj lub metodologii, jeden Ardigo pokusił się o zbudowanie pewnéj całości, jakoby systematu doktryn wyznawanych przez pokrewne z nim umysły. Mimowoli przypomina ten zamiar, usiłowania już w większéj części doko-

---

(1) Podobne na edukacyą poglądy rozwija gorliwy Darwinista De Dominicis, autor dziełka *Wychowanie i Darwinizm* (1877).

nane H. Spencera, od którego autor włoski wiele pojęć zapożyczył. Ardigo zajmuje w spółczesnéj filozofii włoskiéj, najbardziéj wysuniętą naprzód, że tak nazwiemy placówkę w armii walczącéj z dotychczasową metafizyką włoską i jest choregiem metafizyki pozytywistycznéj, chociaż równie jak inni jego koledzy, odstępuje w wielu rzeczach od Comte'a, zwłaszcza w tém, że psychologii nie ruguje z szeregu nauk filozoficznych.

Robert Ardigo był jeszcze w r. 1870 kanonikiem katedry mantuańskiéj. Pod wpływem szerzących się doktryn, szczególniéj téż dzieł Helmholtza tłómaczących mechanizm czucia, zachwiały się jego przekonania, poczem stan duchowny porzucił i oddał się literaturze głównie metafizycznéj. Wkrótce po tym kroku wydał dzieło: *Psychologia* uważana *jako umiejętność pozytywna* (*La psicologia come scienza positiva*, 1871). Książka sprawiła wrażenie i zapewniła autorowi wydatne miejsce wśród młodéj generacyi metafizyków. Rząd włoski powierzył mu naukę filozofii w liceum mantuańskiém, gdzie dotychczas wykłada.

Ardigo zamierzył wypracować szereg dzieł mających okazać, jak się historycznie wyrabiały zwykłe pojęcia o Bogu i duszy ludzkiéj. W liczbie zapowiedzianych prac, pierwsza ma traktować o *tworzeniu się przyrodzoném* wogóle; druga, o *powstaniu przyrodzoném systemu słonecznego*: trzecia, o *tworzeniu się chemiczném*, gdzie będą rozważone stosunki materyi do umysłu; czwarta, o *psychologii* (już wydana 1871); piąta, obejmuje *moralność* czyli *etykę pozytywną*. Z zapowiedzianych tu dzieł, oprócz *Psychologii*, wyszedł już *System słoneczny*, a w r. 1879 ukazała się *Moralność* czyli etyka; reszta blizką jest ukończenia. Co do zasadniczych myśli autora rozwiniętych w wydanych dotychczas dziełach, trudno nam w tym krótkim obrazie powtarzać je szczegółowo; nadmieniamy więc tylko, że gdy się je czyta przypominają na każdym kroku H. Spencera. Wszystko, co istnieje, mówi Ardigo, o tyle jest umysłowi naszemu dostępne, o ile się pewnemi cechami wyróżnia od innych rzeczy. Różnica więc, odmienność stanowi o bycie rzeczy. I tak, zarodek wszelkiéj istoty żyjącéj jest z początku podobny do materyi organicznéj, wśród któréj byt swój rozpoczyna; powoli oddziela się od niéj, różnicuje się od tego, co go otacza. Tak samo dzieje się z pewną ideą zrodzoną w umyśle, z narodem lub grupą etniczną, z gwiazdą lub systemem gwiazdowym w łonie mgławicy. Rodzenie się czyli powstawanie rzeczy odbywa się nieustannie a to za pomocą ciągłego przechodzenia ich ze stanu niewyraźnego, nieodróżnionego w określony, wyróżniony i naodwrót. Taka jest abstrakcyjna kosmologia autora. Kto sobie przypomni integracyą i desintegracyą Spencera, tego podobieństwo z powyższemi

pojęciami odrazu uderzy. Tłómaczenie genezy pojęć naszych o przestrzeni i czasie, o materyi, sile, ruchu i przyczynie, także przypomina rozumowania filozofa angielskiego. Trzeba dodać że Ardigo pojmuje swój świat, jako urządzony koniecznością ale obok konieczności, sadowi i przypadkowości, tak jednak, iż wszystko w końcu dzieje się ku dobremu; słowem, system to całkowicie mechaniczny, którego motorem jest *los*, *przypadek*.

W psychologii zbliża się autor do spółczesnéj psychologii angielskiéj, zwłaszcza do Spencera, którego jednak, ogłaszając swoje dzieło, podobno jeszcze nie znał. Ardigo nie odróżnia z kantystami, zjawiska od treści, *fenomenu* od *noumenu*, zjawisko bowiem jest u niego tem samém co i treść, a wyobrażenie, zamiast być czemś środkującém między obu skrajnemi terminami, jest samą rzeczywistością. Ztąd też system taki możnaby nazwać fenomenizmem absolutnym. Wspominaliśmy powyżéj, iż metafizycy włoscy kierunku empirycznego tém się między innemi różnią od pozytywistów 'prawowiernych, że nie odrzucają psychologii, tylko że inaczéj się zapatrują na zjawiska psychiczne niż dotychczasowa psychologia. Ardigo téż broni psychologii jako odrębnéj umiejętności, a statystykę, czyli jak Quetelet nazywa fizykę społeczną uważa za najdzielniejszego jéj pomocnika. Chociaż psychologia posługuje się tą samą metodą co i nauki przyrodzone i w częstą z niemi wchodzi styczność, niemniéj jednakże ma swój byt odrębny dlatego, że się zajmuje zjawiskami nie dającemi się zredukować od innych zjawisk. Cechą istotną tych zjawisk (świadomości) jest to, że wiemy o nich wewnętrznie, przez siebie samych; że choćbyśmy jaknajszczegółowiéj poznali towarzyszące im fakta zewnętrzne, zawsze w końcu musimy cofnąć się w siebie chcąc wytłómaczyć osiągnione rezultaty. Chociaż teleskop jest niezbędny do widzenia pewnych gwiazd, nie znaczy to przecież, że teleskop widzi. Tak samo i badanie dotyczące faktów zewnętrznych towarzyszących świadomości, chociaż jest niezbędne, może jednak być tylko *środkiem* do poznania saméj świadomości. Innemi słowy, fizyologia sama nie wystarczy do zrozumienia zjawisk psychicznych, jest ona przecież niezbędnym do tego środkiem. Nowa psychologia odrzuca podział umysłu na rozmaite zdolności czyli władze, które jak Ardigo powiada, są dowodem naszéj niewiadomości, gdy bowiem nie wiemy, do któréj z części mózgowia odnieść pewną czynność umysłową, lub pewne uczucie, tworzymy dla nich odrębne zdolności i tym sposobem wydobywamy się z kłopotu. Otóż te fikcyjne zdolności nie mogą zatrzéć paralelizmu widocznego w każdym objawie umysłowym, tj. strony fizycznéj i psychicznéj: dwa szeregi zjawisk składających się na czynność umysłową zostają z sobą w najściślejszym związku.

Chcąc zrobić krok daléj w poznaniu umysłu, trzebaby módz zredukować własności wspólne obu stronom do jakiejś ogólniejszéj zasady; słowem, w nowéj psychologii mówi się tylko o zjawiskach i prawach niemi rządzących.

Z przytoczonych tu główniejszych poglądów autora na psychologią widać jak na dłoni powtarzanie wypowiedzianych takich samych poglądów przez szkołę angielską a potroszę i przez Spinozę. Więcéj szczegółów o psychologii téj jak i o innych częściach systematu Ardigi znajdzie czytelnik w książce Espinass'a (1).

Rozwijając daléj swój systemat Ardigo wydał świeżo *Moralność pozytywistów.* Etykę, zdaniem jego, należy traktować także metodą doświadczalną, gdyż moralność *intuicyjna* jako zbiór idei oderwanych, nie opiera się na rzeczywistości psychicznéj, wisi w powietrzu niejako, jest czczą kombinacyą pojęć. Czynniki składające się na pewien czyn ludzki są nadzwyczaj złożone i rozmaite; stanowią je niezliczone idee i popędy, wyobrażenia i uczucia, które w umyśle żyją swojém właściwém życiem i niechybnie powodują pewne czynności. Dlatego błędem jest odłączać uczucia od idei, lub jedne i drugie od woli; każdemu pojęciu towarzyszy pewne wzruszenie, a każdemu wzruszeniu pewna czynność choćby tylko początkująca. Czucie, będące ogólną nazwą wszystkich zjawisk psychicznych, jest samo również popędem. Gdy więc chcemy wskazać związek praw działania czyli naszych czynów z prawami myślenia, można tego dokonać jedynie za pomocą obserwacyi; to, co *jest*, samo jedynie zawiera tajemnicę tego, co być *powinno.* W rozwinięciu tych myśli ogólnych Ardigo tak daléj rozumuje: Każda istota ma dążności wynikające niechybnie z warunków, w jakich żyje. Zwierzę, będąc zdolne do ruchu, potrzebowało odróżniać przedmioty, zkąd doznawało przyjemności i przykrości; jest ono obdarzone jedną i drugą czynnością. W całym szeregu zwierząt, strona psychiczna zostaje w pewnym stosunku korrelacyjnym z otoczeniem. Człowiek jest przedewszystkiém istotą społeczną, czuje potrzebę społecznego życia, czyli obdarzony jest skłonnościami społecznemi. Stykają się w nim pewne idee z odpowiedniémi popędami, zkąd się rodzi pragnienie szczęścia dla bliźnich, które jest silniejsze, niż pragnienie własnego szczęścia i które skłania go do powściągania popędów samolubnych na rzecz tych grup społecznych, w których żyje. Napróżno utrzymują, że przeważna liczba czynów ludzkich wynika z interesu a więc z samolubstwa gdyby bowiem tylko pewna ich ilość pochodziła z sympatyi i poświę-

(1) *La philos. experimenten.* Italie (p. 103—112).

cenia, to już możnaby je uważać za charakterystykę działania ludzkiego, boć charakterystykę pewnéj istoty stanowią jéj czynności i dzieła najdoskonalsze, tak jak znów cechą specyalną jakiegoś gatunku roślinnego są najpiękniejsze jego kwiaty lub najsmaczniejsze owoce. Ależ znów poświęcenie nie jest zjawiskiem tak rzadkiem, jak się niektórym zdaje: na niém polega rodzina, a nie mówiąc już o czynach heroicznych, życie narodów podtrzymuje się mnóstwem poświęceń nieznanych, ukrytych, gdy niejeden z nas czyni zaparcie samego siebie, ażeby tylko funkcya społeczna, którą nam los powierzył nie ucierpiała w naszych ręku, ażeby sprawiedliwość i prawda odniosły zwycięztwo. „Natura, mówi autor, może pobudzić w nas do działania siłę antyegoistyczną nawet wtenczas, gdyby działacz na tém ucierpiał lub miał przez to zginąć.“ Czyliż tego nie widzimy na miłości macierzyńskiéj? Natura rodzi w nas popęd, za którym idzie przyjemność; gdyby nie tak było, to zkądże się wziął pierwszy czyn, za nim się przekonano o przyjemnych skutkach wynikających z niego? Zresztą przyjemność tak mało wpływa na dokonanie czynu cnotliwego, że działacz nieraz pomnaża sobie sposobność cierpienia, a gdy się zahartuje, tym rzadziéj bywa mu dostępnym. Człowiek tedy z natury swojéj dąży do urzeczywistnienia ideału zaparcia się, abnegacyi, dobroci, co właśnie stanowi jego cechę wybitną, jego „formę dominującą.“

Są to wprawdzie jeszcze ogólniki, którychby nie podpisali utylitaryści, ale na któreby się mogli zgodzić stoicy; autor wszakże na tych ogólnych pojęciach kończy poprzestając na stwierdzeniu w człowieku idei moralnych. Ardigo nie przeczy pewnéj słuszności dążeniom egoistycznym, owszem uznaje, że ludzie dopiéro wtenczas mogą pożytecznie służyć sprawom zbiorowym, ogólnym gdy osiągną normalny swój rozwój; przeciwny jest zarówno ascetyzmowi jak i hedonizmowi: ale sądzi, że pragnienia szlachetne odniosą niechybnie zwycięztwo nad instynktami poziomemi w każdéj ludzkiéj istocie, która nie straci wolności i autonomii moralnéj, jak nie mniéj w każdém społeczeństwie niekrępowaném w swoim samorzutnym rozwoju.

Nim opuścimy tego autora, dodajmy jeszcze, że co się tyczy wolności woli, przedmiotu wielce spornego w etyce, Ardigo hołduje determinizmowi i rozumie tę wolność w duchu Spinozy i stoików; wolność, podług niego, znaczy panowanie idei nad popędami fizyologicznémi. W całém królestwie zwierzęcém autonomia woli wzmaga się w postępie rosnącym, tj. że zwierzę coraz więcéj powoduje się wyobrażeniami, im bardziéj w tym szeregu zbliżamy się do człowieka. Tylko człowiek, zwłaszcza cywilizowany, lubo ulega siłom zewnętrznym działającym nań za pośrednictwem czucia „okazuje pew-

ną formę nowéj siły w świecie i nadaje nowy kierunek niższym siłom organizmu.“ Z drugiéj strony, społeczeństwo tak jest uorganizowane, że się przyczynia do rozwoju wolności i panowania idei. Dziedziczność przelewa zwycięztwa, które każde indywiduum odnosi nad częścią zwierzęcą swojéj istoty, przekazując następnie ich wychowanie, język, opinią; prawa coraz bardziéj powściągają heteronomią sił niesfornych i służą za bodźce podniecające autonomią rozumu. Dzięki tym rozmaitym środkom ograniczającym a razem pobudzającym wolę, powstają w społeczeństwie nawyknienia, które następnym pokoleniom oszczędzają wysiłków czynionych przez poprzednie i nowe siły wyzwolone w ruch wprowadzają. Tym sposobem ludzie wszystkich wieków są z sobą zsolidaryzowani i ostatni przybysze korzystają z owoców pracy swoich poprzedników, co im pozwala ich prześcigać pod rozmaitémi względami. Trzeba tylko, by téj samorzutnéj dzielności nie krępowały żadne siły zewnętrzne, pod któremi Ardigo rozumie ograniczenia religijne oraz hamulce nakładane przez władzę absolutną, gdyż wszelkie ścieśnienia stanowią zamach na autonomią woli, i tamują wykluwanie się nowych form społecznych. Chcąc tego uniknąć autor widzi ideał polityczny w urządzeniach federacyjnych zapewniających najwięcéj swobody indywidualnéj.

Sądząc choćby z przytoczonych główniejszych poglądów autora na kosmologią, psychologią i etykę, trudno im przyznać nowości; to samo już nieraz było wypowiedziane i wisi że tak powiemy w atmosferze spekulacyjnéj spółczesnéj. Wady i braki jego psychologii wytknął Angiulli w *Przeglądzie krytycznym*, o czém wyżéj już wspomniano. Kosmologia obraca się w samych abstrakcyach i mniéj warta od dobrego podręcznika kosmografii. Etyka powtarza nienowe pojęcia deterministów. Polityka radząca federacyą jako palladium swobody, nie liczy się z socyologią doświadczalną i jak mówi Espinasse, cofnęłaby świat o dwadzieścia wieków do walki miast kommun, do stanu dawno minionego.

Ardigo, lubo sam niedawno zaczął się zajmować spekulacyą filozoficzną doczekał się przecież już ucznia, który go także krytykuje. Jest nim Henryk Ferri. Zamieścił on w *Przeglądzie filozoficznym* francuzkim (z r. 1879) rozbiór kosmologii swojego mistrza, któremu zarzuca wprowadzenie do teoryi systemu słonecznego, *przypadku* (*caso*), indeterminizmu. Spór jednak między nimi jest pozorny, wynika z nieporozumienia się o znaczenie determinizmu; w gruncie obaj się zgadzają. Ferri wydał nadto *Teoryą odpowiedzialności i zaprzeczenie wolnéj woli*, gdzie opierając się na książce Herzena (*Fizyologia woli*) i rezultatach fizyologii, staje w obronie bezwarunkowego determini-

zmu. Nowość pewną w książce Ferrego stanowi wzięcie pod uwagę *nieświadomości* (l'inconscient) i udziału jéj w postanowieniach człowieka.

Zapoznawszy się z najnowszemi teoryami Francuzów, Anglików i Niemców młodsze pokolenie spółczesnych metafizyków włoskich zaczęło je przerabiać po swojemu, modyfikując niektóre a inne przyswajając sobie jako rzecz gotową. W pokoleniu tém widzimy bądź dawniejszych Heglistów, bądź uczniów Romagnosego i Cattanea, bądź nareszcie pozytywistów. Łączy ich wspólna nić, którą stanowi metoda eksperymentalna z jednéj, a negatywna krytyka metafizyki idealistycznéj z drugiéj strony. Rosprawy ich i dzieła większe, o których była mowa, nie wyszły jednak poza ogólne, metodologiczne poglądy. Brak w nich konkretnego materyału i zastosowania metody nowéj, zachwalanéj w teoryi a mało lub wcale niestosowanéj w praktyce tak że bez nadwerężenia prawdy, możnaby ich nazwać metafizykami pozytywizmu. Otóż metafizyka czy to idealistyczna, czy materyalistyczna nie posuwa wiedzy istotnéj, chociaż może być potrzebą danéj chwili i umysłów pragnących coprędzéj uogólnić rezultaty nauk ścisłych i stworzyć nowy pogląd na świat. Ażeby wyjść z tych ogólnych rozumowań i abstrakcyj, należy zstąpić do faktów z téj lub owéj dziedziny, ażeby na nich wypróbować skuteczność metody. Fakta dobrze obserwowane lub doświadczeniem stwierdzone nie przestają nigdy mieć wartości, bez względu na hipotezę, do poparcia któréj ich użyto. Gdy się prace umysłowe raz na to pole zwrócą, i gdy osiągnione rezultaty pomnożą istotny kapitał naukowy, wtedy następuje względny pokój, spory ustają przynajmniéj czasowo, a metafizyka może sobie powiedzieć, że spełniła zadanie budząc umysły, nasuwając hipotezy. Zjawisko takie widzimy właśnie i w rozwoju metafizyki włoskiéj spółczesnéj. Po zuchwałych nowatorach, po radykalistach, i obok nich pracują ludzie trzeźwi, zbierający fakta w rozmaitych sferach wiedzy, nie przysięgający na dogmata pozytywistów lub ewolucyonistów, posługujący się jednak nowemi hipotezami i związani przez nie z umysłowym ruchem całego świata. O téj grupie autorów włoskich chcemy tu jeszcze pomówić, a w szczególności zobaczyć prace ich na polu fizyologii, biologii i nauki społecznéj. Rozumie się samo przez się, że tylko stronę filozoficzną dzieł ich możemy podnieść, ażeby uzupełnić niniejszy obraz filozofii włoskiéj.

Gdybyśmy chcieli szukać poprzedników i przodków niejako téj grupy uczonych włoskich, możnaby tu przytoczyć lekarzy: Bufaliniego i Puccinottego, którzy w pierwszéj połowie naszego stulecia dali się poznać z prac swoich. Bufalini stosował do nauki patologii metodę Condillac'a w dziełku *Studyum o teoryi życia* (1813) i już wten-

czas lekceważył biologią, która szukała esencyi rzeczy i pierwszych przyczyn, a wiedzę ścisłą radził opierać na poznaniu zjawisk i ich stosunków. Puccinotti znów w swojéj *Patologii indukcyjnéj* (1828) żądał od lekarza, by po rozklasyfikowaniu chorób starał się je redukować do ogólnych praw życia. Po lekarzach przyszli fizyologowie, tacy jak Tamburini znany z prac nad fizyologią mózgu i z dzieła: *Przyczynek do fizyologii i patologii mowy* (1876). Siciliani wydał w r. 1876 *Dyalogi zoologiczne*, dzieło co do formy więcéj literackie niż ściśle naukowe, w którém jednakże autor roztrząsa między innemi „Zasadniczy problemat nowéj psychologii“ dowodząc, że ani spirytualiści, ani materyaliści nie myśleli nigdy o klasyfikacyi zoopsychicznéj przyrodzonéj. Sądzi on, że gdyby do psychologii porównawczéj zastosowano punkt widzenia oparty na homologii i analogii, któremi się posługuje morfologia, możnaby przeprowadzić klasyfikacyą genetyczną wszystkich form inteligencyi, jakie spotykamy w całém królestwie zwierzęcem. Myśl tę podniósł Tytus Vignoli w dziele *O zasadniczém prawie umysłu w królestwie zwierzęcém* (1879) (1). Jest to próba psychologi porównawczéj oparta na bardzo licznych postrzeżeniach obcych i własnych autora, niewolna wprawdzie jeszcze od pewnych metafizycznych wspomnień, zwłaszcza co do początków inteligencyi w roślinach, zawierająca jednak wiele gruntownych danych o instynkcie zwierząt, ich przemyśle i różnicy od rozumu ludzkiego i dzieł człowieka.

Niemniejszy interes naukowy mieści inne dzieło tegoż autora pod tytułem *Mit i Umiejętność* (1880 (2). Powstało ono z odczytów miewanych w akademii medyolańskiéj. Autor wykazuje w niém genezę mitów na podstawie psychologicznéj, dowodzi, że mit wyniknął z umysłowéj potrzeby człowieka chcącego sobie wytłómaczyć otaczające go zjawiska fizyczne i społeczne, że stanowił pewien ogólny pogląd na świat i dążył do tego samego rezultatu co i umiejętność tłómacząca nam zjawiska naukowo. Historyczny rozwój mitów a obok nich umiejętności, oraz wpływ marzeń sennych, normalnych i anormalnych halucynacyj, są wyłożone ze znajomością rzeczy. „Mit, powiada autor, jest według nas, owocem samorzutnéj twórczości wyobraźni, w którym się wcielają rozum i uczucia ludzkie, jest on psychofizyczném uprzedmiotowieniem się człowieka we wszystkich zjawiskach, które na sobie samym lub w świecie zewnętrznym dostrzega.“ Zdolność do tworzenia mitów, uważa daléj, jest wszystkim lu-

---

(1) Znane nam w tłómaczeniu niemieckiém pod tytyłem: *Ueber das Fundamentalgesetz der Intelligenz im Thierreiche* (Lipsk, 1879).

(2) *Mythus und Wissenschaft*, (1880).

dziom wrodzona i na wszelkich stopniach cywilizacyi, we wszystkich wiekach i rasach dostrzegalna, jest słowem, psychiczną czynnością wynikającą z organizacyi człowieka.

Postęp fizyologii w swoim kraju zawdzięczają włoscy uczeni Moleschottowi i Schiffowi. Moleschott wezwany do uniwersytetu w Turynie 1861 r. wtajemniczył w obserwacye i doświadczenia fizyologiczne wielu uczniów i za oddane usługi naukowe, mianowany został senatorem włoskim. Schiff wykładał jakiś czas we Florencyi, gdzie także obudził zamiłowanie do fizyologii i zostawił uczniów, między którymi znajdował się czynny obecnie w literaturze naukowéj Herzen, syn Aleksandra, znanego publicysty. Obok tych ludzi cudzoziemskiego pochodzenia zaczęli uprawiać fizyologią i antropologią sami Włosi jak Golgi, Tomassia, Morselli, Tamburini, Verga, Luciani, Lombroso. Dwa organa służą za ognisko myśli tym autorom: *Archiwum antropologiczne*, którém kieruje senator Mantegazza (we Florencyi), oraz *Przegląd doświadczalny psychiatryi i medycyny sądowéj* (w Regio-emiliańskiém) pod redakcyą Tamburiniego. Organem spraw społecznych jest *Przegląd tygodniowy* (*Rassegna settimanale*) wychodzący w Rzymie, który założyli: Villari, Franchetti i Sidney Sonnino, będący głównymi jego spółpracownikami. Widać zapał i krzątanie się wielkie w tém pokoleniu, widać samowiedną chęć podźwignienia nauki włoskiéj, a przez nią znaczenia odmłodzonéj ojczyzny.

Nie mogąc zbytecznie przeciążać szczegółami niniejszego obrazu, wspomnimy tylko niektórych z powyżéj wymienionych pisarzy i prace będące w związku z filozofią doświadczalną, dodając, że charakteryzuje ich dążność mająca na celu zredukowanie czynności psychicznych do innych sił przyrodzonych (ruchu) i podciągnięcie piérwszych pod ogólne prawo korelacyi. Mantegazza np. w *Studyum o przemianie sił psychicznych*, Herzen w *Fizyologii woli* oraz w dziełku *Warunek fizyczny świadomości*, cel ten wyraźnie wypowiedzieli i rezultaty bądź swoich bądź obcych badań, sformułowali.

Obecny stan fizyologii pozwala — według Herzena — twierdzić, że ogólnym warunkiem świadomości jest dezintegracya substancyi nerwowéj w ośrodkach nerwowych. Uważana pod względem materyalnym jest ta dezintegracya rozkładem substancyi nerwowéj, a pod względem dynamicznym przemianą sił utajonych na żywe. Po niéj następuje zaraz reintegracya czyli skład (rekompozycya) materyi i odwrotna przemiana sił żywych na utajone. Dwa te procesy kolejno po sobie następują w życiu fizyologiczném wogóle, a w szczególności w układzie nerwowym. Wszakże tylko dezintegracyi towarzyszy świadomość i to wówczas, gdy się odbywa w komórce central-

néj... słowem, wszelka czynność psychiczna pociąga za sobą rozkład substancyi nerwowéj i wyzwolenie sił żywych. Herzen w téj swojéj teoryi warunków fizycznych niezbędnych dla objawów życia psychicznego, najwięcéj zbliża się do Spencera, trzymając się pośrodku między Maudsley'em, który przeczy, by świadomość towarzyszyła czynności nawet wyższych ośrodków nerwowych, a Lewes'em, który każe świadomości towarzyszyć niższym ośrodkom i rdzeniowi kręgowemu: innemi słowy, odrzuca powszechny automatyzm piérwszego jak niemniéj powszechny intellektualizm drugiego.

Do téj saméj szkoły fizyologów co poprzedni, należą dwaj młodzi uczeni Tamburini i Luciani. Oddają się oni głównie badaniom doświadczalnym mózgu, oraz poszukiwaniom co do umiejscowienia pewnych uzdolnień w rozmaitych organach i częściach mózgu. Taki cel pracy wytknął sobie Tamburini w przytoczoném wyżéj dziele *Przyczynek do fizyologii i patologii mowy* (1876); do tegoż zmierzają studya obu uczonych wydane razem pod tytułem: *O czynnościach mózgu, Badania doświadczalne* (1878—79). Prace te będące kontynuacyą takichże studyów Ferriera i Hitziga dlatego zasługują na uznanie, że autorowie jak najmniéj wdają się w metafizykę i jaknajbardziéj pilnują gruntu ściśle naukowego. Tą właśnie stroną uczeni włoscy stykają się ze współczesnym kierunkiem psychologii fizyologicznéj, a prowadząc badania swoje metodą umiejętną, strzegąc się pośpiesznych uogólnień, obserwując i starannie mierząc fakta, podążają w uprawie umiejętności za starszymi i doświadczeńszymi koryfeuszami innych narodów (1).

Jak w biologii wogóle tak i w nauce społecznéj czyli socyologii, zastosowana metoda doświadczalna, zaczyna we Włoszech wydawać owoce godne powszechnéj uwagi. Po abstrakcyjnych bujaniach takich metafizyków jak Ferri, Ardigo, Angiulli którzy dość pojętnie kopiują pozytywistów i jaskrawością słowa, deklamacyą starają się zyskać rozgłos; korzystnie odbijają się mozolne prace istotnie uczonych mężów, przedsiębrane na rozmaitych polach nauk społecznych i moralnych. Ekonomika, statystyka, etyka liczą obecnie we Włoszech bardzo zdolnych autorów, których sława przeszła za granice kraju i obudziła uwagę cudzoziemców. Mamy tu na myśli uczonych takich jak Miraglia, Cusumano, Cossa, Lombroso, Morselli i innych.

Przyjrzyjmy się przynajmniéj niektórym z nich, ażeby zobaczyć ile się téż przyłożyli do zwiększenia zasobu wiedzy ogólnéj na polu socyologii.

---

(1) Bardzo cenioną krytykę filozofii doświadczalnéj, a głównie etyki tego kierunku wydał Joachim Barzellotti, profesor liceum Dantego we Florencyi: *La morale nella filosofia positiva* (1871). Pracę tę przełożono na język angielski.

Jakkolwiek spekulacye ogólne śmiało rozcinające najtrudniejsze problemata naukowe mogą się podobać i prostotą rozwiązań pociągać; jednakże społeczeństwo myślące żąda dzisiaj czego innego, niż systematów metafizycznych czy to materyalistycznych czy idealistycznych. Są obecnie na porządku dziennym, jak to się zwykło mówić, studya bardziéj ścieśnione i ograniczone do pewnéj grupy faktów, do zjawisk bardzo konkretnych i realnych, prowadzone z niesłychaną cierpliwością i ciągle kontrolowane za pomocą tychże faktów i zjawisk, dążące do ujęcia postrzeżeń w dane liczebne. Synteza takich badań różni się od gołosłownych uogólnień ścisłością i pewnością, gdyż stanowi tylko zsumowanie danych szczegółowych.

Badaniami tego rodzaju odznaczyli się przed innemi Cezar Lombroso i Henryk Morselli. Lombroso wydał dzieło pod tytułem *Człowiek zbrodniczy* (*L'uomo delinquente*); studyum bardzo cenione, będące rozdziałem socyologii, że tak nazwiemy patologicznéj. Jako lekarz, antropolog, expert medyko-sądowy, zwiedzający starannie więzienia i domy obłąkanych, znawca literatury swojego zawodu, posiadacz muzeum w którém się znajdują fotografie, czaszki i nawet próbki pisma rozmaitych zbrodniarzy, Lombroso był w możności prędzéj niż kto inny powiedzieć gruntowne zdanie w sprawie tak bardzo obchodzącéj społeczeństwo, mianowicie co się tyczy odpowiedzialności moralnéj człowieka i karalności czynów zbrodniczych (1).

Lombroso oprócz powyższego dzieła, wydał jeszcze studyum pod tytułem: *Myśl i meteory*, będące czemś pośredniem między psychologią normalną i anormalną, między psychologią indywidualną a społeczną. Autorowi chodziło o bliższe określenie wpływów, jakie na myśl ludzką wywierają okoliczności atmosferyczne i klimatyczne, zjawiska niebieskie, trzęsienia ziemi i t. p. Postrzeżenia swoje czynił autor nad grupą ludzi, bardzo wpływowi tych zjawisk ulegających, mianowicie obłąkanych. Usposobienie chorych zmienia się co chwila; fakt ten stwierdzają lekarze i dozorcy. Z licznych postrzeżeń autor dochodzi do wniosku, że niektóre czynniki atmosferyczne nie sprawiają żadnego widocznego wpływu w czynnościach mózgowych; do takich należą: elektryczność dodatnia i ujemna, ozon, magnetyzm, wilgoć, wiatry, księżyc; wpływ zaćmień słońca i przesileń dnia z nocą także jest małoznaczny. Najwidoczniejszy za to jest wpływ ciśnienia barometrycznego w chwili zmiany temperatury, co potwierdzają

---

(1) O dziele tém podało już „Ateneum" krótkie sprawozdanie w r. 1879 (t. II, str. 560—563). Rozbiór zaś jego znajduje się w „Niwie" z r. 1881. Zeszyt 163. (*Nowe teorye kryminalne* przez Pyrowicza).

częstsze napady obłąkania, częstsze zbrodnie i samobójstwa w miesiącach gorących, zwlaszcza gdy nastaną pierwsze upały.

Im organizm niżéj stoi w szeregu zwierząt, tymbardziéj podlega owym wpływom. Ośrodki nerwowe niższe są organami czucia, że tak powiemy meteorologicznego; wrażliwość ich jest tym większa, im słabsza czynność mózgowia i nawzajem. Człowiek dorosły, silny i zdrów zaledwie dostrzega na sobie wpływ zmiany barometrycznéj; tymczasem chorowity, delikatny, niewiasta lub dziecię bardzo ją odczuwają; obłąkani i idyoci także zwiastują zbliżanie się zmian w temperaturze, mniéj już maniacy i monomaniacy. Jako wynik ogólny ze swoich postrzeżeń, Lombroso podaje następujące prawidło: „Im głębszy jest nieład w centrach psychicznych, tym większéj przewagi nabiera układ splotowy (ganglionarny) i rdzeniowy, a tem samém wrażliwość na czynniki meteorologiczne zwiększać się zdaje. Jeżeli od ludzi przejdziemy do zwierząt, wrażliwość owa słaba jeszcze u małpy, konia, psa; jest już wyraźniejsza u kota i zająca, tém bardziéj u ptaków i żabowatych (batrachia); dochodzi maximum u bezkręgowców, naprzykład u owadów, robaków i zwierząt morskich. W takim samym porządku objawiają niepokój kręgowce przy zbliżającém się trzęsieniu ziemi.

Postrzeżenia te nabierają wielkiéj wagi w ocenianiu zjawisk społecznych, które są skupieniem czynności indywidualnych dokonywanych pod wpływem owych czynników. Zauważono np. że najwięcéj zaburzeń ludowych przytrafiało się w miesiącach czerwcu i lipcu, że bandy złoczyńców trwale uorganizowane utrzymują się przeważnie w krajach gorących. Przeciwnie znów kraje takie, w których te przyczyny nie działają, powinny być najdogodniejsze do rozwoju cywilizacyi. Opierając się na licznych faktach twierdzi, że dzieła genialne, odkrycia naukowe, wynalazki i sztuki będące najpiękniejszym kwiatem rodu ludzkiego, zjawiają się w pewnych klimatach i porach roku. „Najcenniejsze utwory umysłu ludzkiego pochodzą z miesięcy wiosennych.“

Bardzo pokrewny przedmiot poprzedniemu, traktuje inny autor włoski, także lekarz z powołania. Mówimy o dziele *Samobójstwo* (*Il Suicidio*, 1879). Autorem jego jest Henryk Morselli, profesor psychiatryi w uniwersytecie turyńskim, lekarz królewski i ordynator zakładu obłąkanych w Turynie. Zastosował on do swojego przedmiotu teoryą ewolucyjną i oparł jego wykład na statystyce porównaczéj. Samobójstwo jest — podług niego — faktem psychicznym, na częstość którego wpływają różnice etnologiczne, biologiczne i socyalne. Zamiarem Morsellego, jak sam mówi, było zebranie dowodów popierających nowożytny determinizm; dowody czerpał ze statystyki wielu

krajów stwierdzając cyframi dostrzeżone już dawniéj zjawisko wzrostu samobójstwa. Jest-to również rozdział patologii społecznéj obejmujący liczne tablice cyfr i wykazujący związek plagi z rozlicznémi warunkami otoczenia, wśród którego żyje człowiek dzisiejszy. Dołączona mapa odrazu stawia przed oczy badacza gęstość choroby. Dla psychologa i socyologa materyał wielce obfity i tém cenniejszy, ile że dzieło zawiera nie same tablice, lecz i ogólniejsze uwagi. Sumienność i ścisłość w traktowaniu przedmiotu sprawiły, że dzieło Morsellego przełożono już na język angielski i niemiecki. Tak więc Włosi doczekali się, że prace ich naukowe tłomaczą cudzoziemcy, a to nie dla radykalnych teoryj, których im nie brak, lecz dla gruntowności. Filozofia zyskałaby wiele, gdyby autorowie wszystkich krajów szukali danych do swoich rozumowań w umiejętnościach fizycznych i przyrodzonych, zamiast powtarzać jedni za drugimi czcze abstrakcye i budować systemata wiedzy powszechnéj na szczupłéj liczbie i niedokładnie obserwowanych faktów.

Oprócz fizyologii i psychologii społecznéj nie zaniedbują dzisiejsi włoscy pisarze i ekonomii politycznéj stanowiącéj tak ważną część socyologii. Z pomiędzy licznych autorów ekonomicznych największego stosunkowo dobili się uznania Miraglia i Cusumano. Pierwszy wydał *Zasadnicze początki rozmaitych systematów filozofii prawa i nauki etyczno-prawnéj Hegla* (1873); niedawno znów ogłosił *Dwie fazy nauki ekonomicznéj w związku z rozwojem filozofii nowożytnéj*. Miraglia jest umiarkowanym Heglistą ze szkoły Spaventy, jednakże nachyla się do metody doświadczalnéj i ciało społeczne uważa za organizm żyjący. Cusumano skreślił w swojéj *Historyi szkół ekonomicznych niemieckich* (1875), obecny prąd ekonomiczny, nazywany ogólnie socyalizmem katedralnym czyli uniwersyteckim. Dzieło jego uważane jest za najzupełniejszy wyraz teoryj ekonomicznych spółczesnych o stosunku i zadaniu państwa w społeczeństwie. Tak Cusumano jak i Miraglia, Messedaglia, Cossa, Lampertico, Luzatti, Schiattarella, Morpurgo i wogóle młodsze pokolenie ekonomistów włoskich, nie bawią się w abstrakcyjne rozprawianie o państwie, lecz uznają je jako byt konkretny, jako organ powołany do kierowania rozwojem społeczeństwa. Dlatego téż przyznają mu nietylko negatywne prawo powściągania, lecz oraz inicyatywę w działaniach zmierzających na korzyść społeczną. Zdaniem ich nie godzi się losu Włoch zostawiać przypadkowi i na łasce inicyatywy prywatnéj lub zbiorowéj na szkodę narodu działających, lecz trzeba go powierzyć w ręce państwa, jako przedstawiciela sumienia narodowego, który sam jeden za pomocą edukacyi narodowéj, może naród doprowadzić do osiągnięcia swoich przeznaczeń.

Zbierając w jedno co poprzednio o rozwoju spółczesnéj filozofii we Włoszech powiedziano, widzimy fakt powtarzający się i w innych literaturach. Filozoficzna spekulacya włoska była w początku bieżącego wieku naśladowniczką francuzkiéj, angielskiéj lub niemieckiéj. Obok niéj rozwijał się idealizm zwany narodowym na tle patryotycznéin. Dążenia skierowane do odzyskania niepodległości politycznéj tamowały wzrost czystéj spekulacyi; jedynie heglizm okazywał pewną żywotność i to w kierunku negatywnym, krytycznym. On téż przygotował grunt do posiewu nowych doktryn płynących z pozytywizmu, Darwinizmu i spółczesnéj filozofii angielskiéj. Gdy naród odzyskał największe dobro na ziemi t. j. niezależny byt polityczny, nauka w ogóle a spekulacya filozoficzna w szczególności weszły na tór spokojniejszego badania, tak, że obecnie widać zwrot od abstrakcyjnych i wielce radykalnych teoryj do uprawy rzeczywistości metodą umiejętną. Wyrazem tych dążeń są wzmiankowane wyżéj pisma peryodyczne poświęcone antropologii, medycynie sądowéj, oraz spekulacyi filozoficznéj, któréj organem była dotychczas *La filosofia delle scuole italiane*, a teraz przybywa jéj w pomoc nowa *Rivista di filosofia scientifica.* Zapowiedzianém pismem mają kierować: H. Morselli, R. Ardigo, G. Boccardo, G. Canestrini i G. Sergi.

F. K.

Z pamiętników Leona Dembowskiego.

Literatura pamiętnikowa wszędzie i zawsze cieszyła się dużém powodzeniem. Jest to zjawisko bardzo naturalne. Pamiętnik, środkujący między poważną historyą, a lekką opowieścią, przystępniejszy jest dla każdego i nie wymaga takiego skupienia uwagi i natężenia myśli jak praca naukowa. Nadto pamiętnik obok dziejowéj strony i faktu politycznego znaczenia, dotyka spraw obyczajowych, prywatnych; czasem przemknie się w nim jakiś skandalik a historya znajdzie tu fakta, powieściopisarz szczegóły obyczajowe, zwykły czytelnik często wzmiankę o wypadkach i osobach, o których słyszał, albo z którymi on, lub rodzina jego w stosunkach nawet zostawali.

Treść pamiętników zależy zwykle od stanowiska, jakie w świecie zajmował opowiadacz. Ale zdarza się téż często, że pamiętnikarz, opowiadając, wypadki wielkiego historycznego znaczenia, w których uczestniczył, zapomina o właściwém swym charakterze a z zapasem uczoności i apodyktycznych twierdzeń na harc występując, przestaje być pamiętnikarzem, a nie dorasta do znaczenia historyka. Pretensyonalność w takim razie zwykle wartość wewnętrzną zabija i pamiętniki pisane z celem, aby publikowane drukiem, przekonania piszącego w czytelnika wpoiły, najczęściéj niepostrzeżone przechodzą.

Pamiętnik, z którym zapoznać chcemy, w literaturze tego rodzaju trzyma miejsce pośrednie. Zalety i wady prawie się w nim równoważą, a rzecz wygląda raz jako praca przeznaczona do druku, to znowu nosi charakter dorywczych zapisek. Obejmują one czas od ostatnich lat ubiegłego wieku, a zamykają się kapitulacyą Warszawy w r. 1831.

Leon Dembowski przez matkę i stosunki rodzinne zaprzyjaźniony i związany z domem ks. Czartoryskich, ze stosunków tutaj zawar-

tych całe życie nie wyszedł, a że i własne jego stanowisko społeczne do wybitnych należało, był więc ciągle przy wielkim ołtarzu i z tego już względu opowieść jego musi być ciekawa. Na przemiany, to gospodarując, to służąc sprawie publicznéj, wtajemniczony był w wypadki współczesne. Urodzony w r. 1789, na dworze Puławskim odebrał świetne wychowanie i powołany do służby publicznéj za czasów księztwa Warszawskiego, przez zbliżenie się do ludzi najbardziéj wpływowych, umiał dojrzéć sprężyny nadające ruch krótkotrwałemu życiu tego państwa. Późniéj w r. 1817 po raz pierwszy wybrany na posła z powiatu Kazimierskiego, stanowisko to zajmował aż do r. 1829, a w kwestyach prawnych i kredytowych, ustaloną miał sławę, jako specyalista i powaga. W r. 1829 mianowany kasztelanem przeszedł do Senatu i tu gorliwość jego nie zmniejszyła się ale owszem wzrosła, zwłaszcza kiedy kraj skutkiem rozpoczętego powstania sam o sobie radzić musiał. Dalsze koleje autora, ufność, jaką mu okazywał margrabia Wielopolski i godności, jakie do końca życia piastował, powszechnie są znane, że zaś pamiętnik jego urywa się na r. 1831, dalszemi więc kolejami jego życia musi się zająć przyszły biograf.

Z roli już, jaką Dembowski odgrywał, wnosić się godzi, że pamiętnik jego może być bardzo ciekawy, zwłaszcza, gdy zważymy, że mówi o epoce bardzo w źródła ubogiéj. Zaczął on pisać pamiętnik swój, zatytułowany *Moje Wspomnienia* około r. 1860, a z zakroju roboty widać, że była to praca poważna i do druku przeznaczona. Ztąd niektóre szczegóły, a zwłaszcza wypadki odnoszące się do dziejów Napoleona przedstawiane są z godnym pochwały krytycyzmem. Autor zna wszystkie prawie prace odnoszące się do téj epoki, ocenia je krytycznie i błędy ich wykazuje. Ale wiek póżny, w jakim się do pracy téj zabrał, smutne okoliczności życiowe, w jakich się w końcu dni swoich znajdował, nie dozwoliły mu utrzymać się na tém stanowisku wszędzie. Bywają lata, że na wzór chronologisty same tylko wypadki zapisuje, nie dając żadnych objaśnień. Nadto metoda wykładu, usiłowanie, żeby każdy rok stanowił zamknięty rozdział jest najwadliwszą, kiedy bowiem każdy rok poczynający się zwykle na tle ogólno dziejowém rozsnuwa, kończy go najczęściéj notatką kalendarzową.

Obok téj jest inna jeszcze wada. Dembowski znał cały prawie stan szlachecki, a szczególniéj wybitniejsze jego jednostki. We względzie kolligacyi i pokrewieństwa, miał pamięć niesłychaną i w tym kierunku przypomina on owych starych Polonusów, którzy całego Niesieckiego umieli na pamięć. Jeśli nazwisko szlacheckie w opowiadaniu swém spotyka, wylicza wszystkie wspomnianego pro-

zapije, a zapominają , że to w pierwszym wyliczył już tomie, powtarza późniéj pokilkakroć. Że zaś, notując śmierć czyjąś zwykł przytaczać zmarłego życiorys, do powtarzania więc rodzi się nowy assumpt. Język w niektórych miejscach staranny i wykwintny, w innych zaniedbany niesłychanie i notatki w ten sposób nie raz spisywane, że o co chodzi, dojść żadną miarą nie można. Niepowetowaną także szkodę stanowi ta okoliczność, iż począwszy od r. 1808—1813 w pamiętnikach jest pięcioletnia przerwa. Nie pochodzi to zaś ztąd, żeby autor sam w opowiadaniu swém lukę zostawił, ale poprostu ten tom *wspomnień*, czy wskutek niedbalstwa rodziny, czy innych jakich powodów uroniono. Żałować zaś tém bardziéj tego należy, że część ta pamiętników odnosi się do epoki, do któréj stosunkowo najmniéj mamy źródeł.

Z tego już, cośmy wspomnieli wyżéj, łatwo zrozumie czytelnik, że pamiętniki Dembowskiego nie mogą być oddane do druku, w formie takiéj, w jakiéj pozostały. Należy je koniecznie uporządkować, od ciągłych powtarzań uwolnić i miejscom do zrozumienia trudnym nadać formę przystępną. Tém konieczniejszém zaś to się staje że drukowane w całości prawdopodobnie około jakich 10 tomów by wyniosły. Przy porządkowaniu ich nastręcza się jeszcze jedna trudność, co prawda już nie z winy autora pochodząca. Rękopism pisany jest przez rozmaitych przepisywaczy i kilkanaście charakterów pisma w nim się znajduje. Przepisywacze ci z przedmiotem obeznani nie byli, w niemiłosierny więc sposób przekręcali nazwiska i wydawca najdokładniéj z epoką i wypadkami musi być poznajomiony, żeby sam w błędy nie popadł.

Kilka, albo kilkanaście lat już temu w literackich kółkach warszawskich bardzo wiele o pamiętnikach Dembowskiego mówiono. Szczególniéj K. Wł. Wójcicki wyrażał się o nich, że będzie to nie wyczerpany skarbiec materyałów i historycznych i społecznych i literackich do pierwszéj połowy XIX w., to téż nie taimy, że spotkaliśmy się z rękopisem tym z ogromną radością. Ks. Władysław Czartoryski, zbierając ze skrzętnością niezmordowaną źródła do życiorysu ks. Adama swego ojca, rozpoczętego przez Bronisława Zaleskiego, nabył także od rodziny po Leonie Dembowskim cztery ogromne wolumina jego pamiętników. Z uprzejmością zaś sobie właściwą przejrzéć je nam pozwolił, oświadczając, że na użytek publiczny z chęcią je odda, jeśli tylko znajomość przeszłości naszéj i nauka zyskać na tém będzie mogła. Prawda, że zalet, o jakich nasłuchaliśmy się tyle, nie spotkaliśmy tu w całéj zupełności; niemniéj przeto jesteśmy tego przekonania, że pamiętniki owe odpowiednio uporządkowane i oczy-

szczone, znakomicie powiększą źródła do badania czasów niedawno ubiegłych.

Czy dokonanie pracy takiéj i wydanie kompletne kiedy nastąpi—nie wiemy. Tymczasem zaś, korzystając z uprzejmości właściciela, przypuszczamy, że potrafimy zająć czytelników „Ateneum“ podając mały z pamiętników tych ustęp. Nie wybieramy rzeczy najciekawszych, ale rozpoczynamy chronologicznie, przypuszczamy bowiem, że jeśli kiedy do wydawnictwa ich przyjdzie i ta część naszéj pracy nie będzie dla wydawcy stracona. Usiłować zaś o ile możności będziemy, żeby opowiadać jak można najczęściéj słowami autora.

Aër.

I.

Pamiętnik rozpoczyna się długim, a wielce uczonym wywodem o rodzie Dembowskich. Z ogromnéj erudycyi archeologicznéj i historycznéj nagromadzonéj w tym przedmiocie, z traktowanéj porównawczą metodą heraldycznéj kwestyi i wyliczenia wszystkich Dembowskich, którzy bądź godności, bądź duże majątki w rzeczypospolitéj posiadali, widać, że autor pracował nad tém długie lata. Był to hołd oddany obyczajowi wieku, ale dla nas interesu on nie przedstawia. Pominiemy więc długi wywód rozpoczynający się od XIV w., a wkroczym o ile można w najbliższą pamiętnikarza epokę.

.....Mój dziad, Antoni Michał, rotmistrz kawaleryi narodowéj, poseł podolski na elekcyi Stanisława Augusta, a następnie Chorąży Czerwonogrodzki zakupił na Podolu piękne dobra Harmaki i tamże osiadł, kiedy zawiązywała się konfederacya w Barze, z którym sąsiadował. Był on jednym z sześciu, którzy pierwiastkowo konfederacyą podpisali, ale, jako bardzo już w wieku posunięty czynnie wspierać jéj nie mógł, kiedy późniejszy hetman Branicki, łącznie z wojskiem cesarzowéj Katarzyny, konfederatów w téj okolicy pognębił, schronił się on do Tureczczyzny, za co mu Harmaki zasekwestrowano. Niezwykłą o ile mi ojciec mawiał, posiadał siłę i kiedy przy ucztach wypróżniono beczkę wina, brał ją zębami za wątory i przez swą głowę przerzucal. Kiedy razu jednego książę jenerał ziem podolskich, objeżdżając te prowincye przybył do Międzyboża, a cała okoliczna szlachta dla powitania jego tamże się zjechała, zapytał książę dla czego nie widzi Chorążego Czerwonogrodzkiego? Odpowiedziano mu że chory. On więc w dobroci swojéj kazał lekarzowi nadwornemu Goltzowi, aby słabego odwiedził i zajął się jego kuracyą. Przybył więc pan Goltz do Harmak. Mój dziad miał wtenczas lat 70

i na dyssenteryą zapadł. Gdy doktór, o zdrowie zapytując, oświadczył, że go książę przysyła.

— Dziękuję księciu za pamięć, a panu za fatygę, rzekł. Ale już się domowymi środkami wyleczyłem.

— A czy wolno zapytać, co tak skutkowało panu Chorążemu?

— Zjadłem półkopy jaj na twardo z octem.

Obecna generacya bezwątpienia z podobnego lekarstwa prędzéj zgonu, aniżeli wyzdrowienia spodziewać by się mogła. On, mimo wieku późnego codziennie grając z proboszczem w maryasza, wypijał wraz z nim dwugarncowy antałek wina.

Mój ojciec, Józef, oddany do Paziów króla Stanisława Augusta, następnie kapitan gwardyi litewskiéj i rotmistrz kawaleryi narodowéj, opuścił służbę wojskową, zawarłszy śluby małżeńskie z moją matką Konstancyą Narbuttówną, córką Tadeusza Narbutta, podkomorzego Lidzkiego i Katarzyny z Wioziewiczów.

Podkomorzy Lidzki posiadał majątek rodzinny Sukurcze i posagowy małą wioskę Kotłów, a około 1873 r. dokupił od Piaseckich dobra Ostrów, nic nie zapłaciwszy, ale na kredyt. Sam parę razy posłując, całe życie trawił na skupianiu partyi, kierowaniu sejmikami i wyborami do trybunału litewskiego. Z listów jego i mojéj babki widać iż głównie usiłowania swoje kierował dla utrzymania partyi to królewskiéj, to Czartoryskich, przeciwnych wówczas partyi szczerolitewskiéj kks. Radziwiłłów. Miał do tego sposobność przez liczne związki pokrewieństwa, bo Norbuttów po Litwie gęsto. Wskutek jednak tych zabiegów fortunę prawie zupełnie utracił. Jeden syn jego szambelanował przy królu, drugi poświęcił się stanowi duchownemu. Dwie córki zaś, moję matkę Konstancyą i drugą starszę Aleksandrę wzięła na wychowanie księżna Izabela Czartoryska. Tę łącznie z księżniczkami Teresą i Maryanną otrzymywały nauki i były ich nieodstępnemi towarzyszkami.

Moja matka zgrabna, przystojna wiele miała powodzenia, a najwięcéj może to dla niéj znaczyło, że zdołała pozyskać przyjaźń swych dobroczyńców, jakiéj przykładów coraz mniéj się już spotyka, ugruntowaną ona bowiem była jedynie na szacunku i skłonności serca, a aż do grobu niezmienną pozostała.

W r. 1784, księżniczka Maryanna poślubiła Ludwika, księcia Wirtemberskiego, brata rodzonego cesarzowéj Wszech Rosyi, a wówczas wielkiéj księżnéj Pawłowéj, matki cesarza Aleksandra I. Zostawał on w służbie pruskiéj. Że księżnéj Wirtemberskiéj wypadało opuszczać ojczyznę, związki rodzinne, przyjaźni, a w końcu to życie domu możnego i wspaniałego, do którego przywykła, żądała

więc koniecznie, aby jéj towarzyszyła współ wychowanica—moja matka.

Nic, zda mi się, nie ma przykrzejszego, jak kiedy kobiéta, idąc za cudzoziemca, zrywa raptownie ze wszystkiém, co jéj przeszłość od kolebki otaczało, biegnie w przyszłość niewiadomą, w obyczaje obce, towarzystwa nieznane i w chłodne związki pozornéj przyjaźni.

Obie przesiedziały pewien czas w Berlinie. Panował wtedy jeszcze Fryderyk II, nieosobliwy welbiciel płci pięknéj. Młodę jednakże księżnę Wirtemberską, ujęty jéj dowcipem tyle polubił, że jéj ofiarował bogaty dar bransoletek z soliterów, przeszło 100,000 złp. wartujący... Klejnoty te, jak również podarowane córce dyamenty, które zdobiły mundur jéj ojca, jako dowódzcy gwardyi galicyjskiéj—to jest: kita do kołpaka dyamentowa, szlify itp. rzeczy, które także kilkakroć sto tysięcy złotych kosztowały—wszystko to, za namową jezuitów szwajcarskich kazała księżna przerobić na krzyż i do Loretu go ofiarowała. Nie ganię daru, boć wszystko, co posiadamy, mamy od Boga, komuż więc jak nie Jemu sprawiedliwiéj należy się ofiara?—ale żałuję, że Najświętsza Panna w Lorecie otrzymała pierwszeństwo, nad Częstochowską—ową Matką naszéj krainy.

Podczas tego w Berlinie pobytu poznał matkę moję oficer z gwardyi pruskiéj hrabia Chack i ujęła go swą urodą. Po odbytym garnizonie w Belgarde, a następnie w Treptau w Pomeranii i blizko więcéj jak rocznym pobycie w pruskich dzierżawach, wróciły te panie do Warszawy. Przybył za niemi i rozkochany p. Chack. Rozgłoszono téż niebawem, że małżeństwo jego z moją matką nastąpi. Król Stanisław, który wiecznie w podobne wdawał się intrygi, okrył swą protekcyą p. de Chack i pewny, że ta konkurencya się uda, hetmanowi Tyszkiewiczowi polecił, iżby myśli rodziców w téj mierze wybadał. W Sukurczach przyjęto te królewskie insynuacye bardzo różnie. Matka przylgnęła z serca do tych widoków. Łechtała ją godność hrabiny, widok wielkich dostatków i myśl, że panna Konstancya stanie się podporą licznéj rodziny. Pan podkomorzy zaś, rzecz tę rozważywszy po staropolsku przyjął i w brew oświadczył, że zezwolenia swego nie udzieli, dopóki Niemca nie pozna. Z tak dalekich krajów, mówił, kto go tam wie czy on Graff, a choć i Graff—czy nie hołysz. Zresztą dodawał: „czyż już mór na litwinów, żeby panny za niemców wydawać. Zdanie to mniéj więcéj dzieliła szlachta lidzka, która bezustannie w Sukurczach biesiadowała. Nadaremnie pani podkomorzyna, a moja babka przedstawiała, że księżniczka Massalska wydana za jakiegoś Francuza (ks. de Ligne), że Radziwiłłówna poszła za mąż za Rosyanina Fersena, że toż uczyniła i Brzostowska—wszyscy ją zakrzyczeli. Wydawanie za Niemca wydawało się im

niepojętém *horrendum*, a protekcyą królewską brano za znane przywiązanie tego monarchy do cudzoziemców. Kiedy rozgłos tego projektowanego małżeństwa rozszerzył się po Litwie, przyjechał wojewoda Chmara, powinowaty podkomorzego, wraz z p. Wołodkowiczem, ten ostatni swojego syna dla panny Konstancyi zalecał.

Tymczasem kiedy tyle osób trudniło się owem projektowaném małżeństwem, mojéj matki nikt nie zapytał, co ona myśli w téj mierze. Odebrawszy list matki i widząc z niego, jak temu związkowi jest rada, z obawy, aby bez jéj woli rodzice ręką jéj nie zarządzili, postanowiła wyznać p. Chack, że nigdy za cudzoziemca nie pójdzie. Niemiec szczerze był rozkochany, wpadł więc w melancholią i chciał sobie życie odebrać, ale czas, który wszystko leczy, uleczył także te rany.

W tym samym roku, oprócz p. Wołodkowicza, zgłosili się o rękę mojéj matki —naprzód, podówczas pułkownik, późniéj jenerał Orłowski, który okryty był szczególną protekcyą książąt Czartoryskich. Za pośrednictwem Zalewskiego, wojskiego W Ks. Litewskiego zgłosił się do podkomorzego. Lecz temu ta partya zupełnie nie podobała się i swego przyzwolenia odmówił. Daléj, słynny późniéj, a wówczas oficer od inżynieryi Julian Ursyn Niemcewicz—ten wprost do podkomorzego się zgłosił i przez niejaki czas korespondencyą z sobą prowadzili. Lecz podkomorzy, który był *pater difficultatum*, kiedy o postanowienie córki rzecz się miała—odmawiał. Orłowskiemu, że za stary, Niemcewiczowi, że zamłody. Pisze z tego względu do mojéj matki: „od niejakiego czasu pisujemy często od siebie z p. Niemcewiczem. Młody człowiek, dobrze pisze, ale młody. Komuż wiadomo co z niego będzie?—jeno Bogu, a ja prorokiem nie jestem. Któż przewidziéć zdoła, czy z niego wyrośnie prosty dąb, czy krzywy a kolący głóg? Ze stylu widzę, że żywy jak ogień — będzie może złośnik.“

Nakoniec między wielbicielami swoimi liczyła moja matka i słynnego poetę Szymanowskiego. Wszystkie te zaloty w roku następnym zakończyły się i nie wiem jakim cudem, ojciec mój, wówczas rotmistrz kawaleryi Narodowéj, przyzwolenie podkomorzego sobie wyjednać zdołał. Ślub odbył się w Puławach dnia 29 grudnia 1786 r.

Z początkiem następującego roku księżna Czartoryska wybrała się w paroletnią podróż dla dokończenia edukacyi najstarszego syna księcia Adama. Moję matkę chciała koniecznie mieć z sobą i aczkolwiek ta znajdowała się w stanie poważnym, nie mogła odmówić żądaniu osoby, którą za drugą poczytywała matkę. W Paryżu mieszkały w *Palais Royal*, gmachu należącym do księcia Orleańskiego, lecz w którym posiadał obszerny apartament marszałek nadworny Rze-

wuski, brat starszy pisarza polnego, Kazimierza Rzewuskiego. Matka moja miała z sobą kozaka, ubranego jak wówczas kozaków w służbie będących ubierano. Mieli oni zupełnie ogolone głowy i jeden tylko kosmyk długich włosów za ucho zakładali. Kozak ten, ukraińczyk, ani słowa w obcych językach nie umiejący, lubił się wieczorem po galeryach Palais Royal przechadzać. Ściągał za sobą tłumy ciekawych, które po większéj części brały go za chińczyka.

W końcu tego r. 1787 wróciła moja matka z Paryża w dziewiątym miesiącu ciąży, nie mając z sobą, jak tylko tego wiernego ukraińca. Trzeciego dnia po powrocie do Puław powiła córkę Cecyliją, moję najdroższą siostrę. Ja przyszedłem na świat 16 października 1789 r. w Puławach. Tegoż samego dnia powiła jw. Sewerynowa Potocka także syna. Obudwom imiennikom nadano jednakowe chrzestne imiona — Leon. Trzymali mnie do chrztu książę Konstanty Czartoryski i pan pisarz Rzewuski.

Już wówczas sejm czteroletni rozpoczął swe prace. Na teatrze puławskim przedstawiano sztuki do okoliczności zastosowane—owe Spartanki, Cyganki i inne podobne, których obecnie zaledwie tytuły nam pozostały; a kiedy zebrał się obóz pod Gołębiem i obroty wojenne dla ćwiczenia wojska, przedsięwzięto rozmaite festyny, dążące do podniesienia ducha. Te następowały jedne po drugich. Na jednym z manewrów brygadyer Walewski, nabojem piasku z działa w głowę trafiony, słuchu pozbawiony został. Książę Wirtemberski miał udział w dowództwie tego obozu, ztąd uważano potrzebę traktamentów. Księżna matka i córka, równie jak grono licznych innych pań w Puławach mieszkających, w wiejskich strojach, przy obficie zastawionych stołach, oficerów i żołnierzy jadłem i trunkiem zasilały. Kiedy współcześnie duchownego posiłku w pięknych mowach i kazaniach udzielali ksiądz Grzegorz Piramowicz i kanonik Witoszyński. Postawiono w téj epoce piękną willę w Puławach, przezwaną Marynki, na mieszkanie dla księstwa Wirtemberskich. Los mieć chciał, że mało w niéj zamieszkiwano.

Mój dziadek Dembowski i żona jego już nie żyli, kiedy mój ojciec zawarł śluby małżeńskie. Oddziedziczył on po nich część majatku na Podolu—dobra Nietyczyńce, Hałuzińce i Komarowce, nie daleko Baru. Tam przed mojém urodzeniem z żoną chciał się osiedlić, ale księstwo Czartoryscy tyle do mojéj matki mieli przywiązania, iż nie chcieli pozwolić aby ich towarzystwo tak dalekim jéj wyjazdem zubożone zostało. Księżna z Anglii pisała, że tylko na krótką podróż do Nietyczyniec zezwala, że dosyć już przeszła wskutek śmierci najstarszéj córki księżniczki Teresy (która spłonęła ogniem od sukni zapalonéj przez nieostrożne grzanie się przy kominie), żeby

jeszcze drugą osobę tyle jéj drogą, jak własne dziecko, tracić miała. Po krótkim więc na podolu pobycie wrócili nazad rodzice.

Kiedy rozpoczęła się kampania Targowicka, król Stanisław listem z d. 12 lipca 1792 r. polecił mojemu ojcu zgromadzić żywność i furaż dla armii księcia Józefa w Dubience będącéj. List ten w tych słowach:

„Mości Panie Dembowski! Proszę cię znieś się z księciem Józefem w Dubience i bądź mu pomocnym do oprowidowania jego wojska. Jako obywatel patryotyczny i jako mój dawno wierny, pokaż się skutecznym a czynnym w téj okazyi. *Vele et me ama.* Księżnom serdeczne ukłony odemnie.“

List ten przytaczam jedynie dla tego, żeby wykazać jaka różnica w tyle ważnéj materyi owego lekkomyślnego rozkazu, od poleceń, które obecnie są wydawane. Rzekłbyś iż zlecenie to dane jedynie, żeby zasłonić się i udowodnić, że myślano coś o wojsku.

W tym czasie przykry dla rodziny ks. Czartoryskich wydarzył się wypadek. Książę Ludwik Wirtemberski, poprzednio porzuciwszy służbę pruską i przeniósłszy się z żoną do Polski, otrzymał w wojsku narodowém stopień generała dywizyi. Kiedy rozpoczęła się kampania targowicka, przeznaczono go na dowódcę głównego wojsk na Litwie działać mających. Właściwie nie wyjaśniono nigdy gruntownie wypadku, czy książę ten działał na szkodę Polski z własnego przekonania, czy z insynuacyj pruskich. To pewna, że w kancelaryi wojsk, w przepisywanych tymże marszach, zdawalo się podkomendnym dostrzedz ślady wahania się i złéj woli. Mówiono także, że przejęto znoszenie się jego z dowódcami wojsk rosyjskich. Powstał krzyk ogólny i książę Ludwik opuścił bez pozwolenia Wołczyn, gdzie miał główną kwaterę i przejeżdżając przez Warszawę w orderach pruskich, przez posła pruskiego protegowany, przez nikogo niezaczepiony do Berlina przybył.

Księżna Marya, która i bez tego w pożyciu nie doznawała szczęścia, korzystała z tego wypadku, ażeby się rozwieść i wówczas z moją matką u Sakramentek w Warszawie schronienia szukała. Po otrzymanym rozwodzie obie do Sieniawy przybyły, gdzie już i ja i siostra moja znajdowaliśmy się pod dozorem ciotki naszéj, panny Aleksandry Narbuttównéj. Ciotka ta moja była ułomna, ale mimo to głowa dziwnie egzaltowana. Umiała dobrze rysować i malować, lecz nic innego w setnych jéj szkicach nigdy nie widziałem, jak wyobrażenie morza przy zachodzie słońca. Kupidon na łódce od lądu odbija, a niewiasta na brzegu wsparta na kotwicy, z upragnieniem do niego rękę wyciąga. Tym Kupidynem dla panny Aleksandry był stary pułkownik Ciesielski. Hymen ukończył nakoniec te długie i trwałe amo-

ry, a odtąd zjawił się nowy przedmiot dla artystki. Dwa serca gorejące na ołtarzu, przy którym Kupidon w milczeniu spoczywa osypany kwiatami. Lubiła ona także ogromnie sowy i w Sieniawie w swoim ogródku miała do ich chowania wymurowanych dziewięć framug. W nich sowy duże i małe, z uszami i bez uszu ustawicznie się gnieździły i niezmiernie zapowietrzały sąsiedztwo.

Pałac Sieniawski był murowany, bez piętra i zawierał wtedy oprócz ogromnéj sieni, jeden duży salon i kilka pokojów, stanowiących mieszkanie księstwa. W sieni ustawiono ogromne mahoniowe organy, prezent dla księżniczki Zofii od p. Kazimierza Rzewuskiego, pisarza koronnego. W sieni téj pospolicie jadano. W salonie kilka karykatur angielskich i mnóstwo sztychów, wyobrażających waleczne czyny wojska austryackiego w kampanii z Francuzami, stanowiły jedyne ozdoby. W jednym z kątów umieszczony był bilard. Dziedziniec kratą żelazną okolony, a w jéj środku bramy, boki zaś dziedzińca zamykały dwie długie, bezpiętrowe, drewniane oficyny. W jednéj z nich mieszczono gości, a w drugiéj oficyalistów i kuchnie. Za dziedzińcem jeszcze dwie oficyny, także drewniane i te podzielone były na oddzielne apartamenta, każdy składający się z czterech pokoi. Dwa apartamenta miały sień wspólną, a do każdego dołączony był oddzielny mały ogródek. Były to mieszkania przyjaciół księstwa, którzy im w czasie pobytu w Sieniawie dotrzymywali towarzystwa.

Za pałacem rozciągał się ogród w guście włoskim i wchód do niego z salonu. Przed oknami rabaty, w rozmaite floresy ułożone, na których masy tulipanów, hiacyntów, narcyzów, bukszpanów, aurykli i róż uprawiano,—daléj szpalery niebotyczne lipowe użyczały cienia. Labirynty grabowe, świerki wycinane w piramidy i dziwaczne inne kształty—w samym końcu ogrodu cztery sadzawki, a za niemi winnica. Na czele tego ogrodu stał niemiec Lesser i porządku pilnował z całą surowością. A że między szpalerami znajdowały się kwatery, drzewami owocowemi zasadzone, kto się odważył frukta zrywać, mógł być pewny, że wróci z twarzą smołą zamazaną. Na boku ogrodu wystawiono cieplarnie, ale wogóle ogrodem tym księżna Czartoryska się nie zajmowała.

Ja z siostrą z ogródka naszego bardzo byliśmy radzi i tam to zapewnie nabrałem téj do kwiatów pasyi, która mnie już chyba do zgonu nie opuści. Towarzyszami zabaw naszych był syn księżnéj Wirtemberskiéj—Adam i pani Matusewiczowéj także Adam, tudzież chłopczyk doktora Goltza. Podczas trzyletniego w Sieniawie pobytu, kilka razy odwiedzaliśmy Łańcut o cztery mile od Sieniawy odległy. Jest tam zamek, jakiego drugiego w Polsce nie znam. Wówczas była

to rezydencya księżnéj Lubomirskiéj, siostry księcia feldmarszałka—pani możnéj, lecz w niczém do brata niepodobnéj. Była to osoba sztywna, etykietalna, a od etykiety i dawnéj powagi żaden wypadek odprowadzić jéj nie zdołał. Mówiono żem był pięknem dzieckiem, a że księżna dzieci lubiła, szczególniejszą więc mnie otaczała łaską. Kiedy przesiadywałem w Łańcucie, zawsze ten pobyt kończył się słabością, bo tyle łakoci wemnie wpychano, że i silniejsze żołądki znieśćby tego nie mogły. Obsypywano mnie zabawkami z Wiednia i ze Lwowa sprowadzonemi, a które wraz z listami i do Sieniawy przysyłano. Mam jeszcze parę listów z tych czasów. Nakoniec żądała księżna od mojéj matki, żebym był jéj oddany, co gdy nie zgadzało się z przywiązaniem macierzyńskiém, nastały kwasy. Lecz wkrótce, bo w r. 1794 cały ten ferwor ulotnił się. Zaszczepiono mi ospę, chorowałem 16 tygodni, dwadzieścia wrzodów okryło me ciało, szwy oszpeciły twarz i Łańcut o brzydkim Leonie zapomniał.

Zamek w Łańcucie postawiony był w czworobok i opatrzony czterema po rogach wieżami. Wówczas powierzchownie żadnéj nie miał architektonicznéj ozdoby, lecz późniéj Aygner nadał mu gotycką facyatę. Przed zamkiem fosy, bramę z mostem zwodzonym i mury strzelnicami i małemi wierzyczkami opatrzone. Między zamkiem a fosami założono ogród kwiatowy szczupły, lecz bogaty w rzadkie rośliny. O ćwierć mili od zamku znajdował się ogród dolnym nazwany, na sposób angielski urządzony, z parkiem, w którym chowano sarny i daniele.

W samym zamku znajdowało się siedem dużych apartamentów i zwyczajnie codzień w innym się zgromadzano. Jedna duża sala przez dwa piętra, z kolumnadą, żółto marmuryzowana i ze złotemi ozdobami przypominała salę balową zamku warszawskiego, lecz była od niéj znacznie większa. Obok niéj teatr, duża sala wybita adamaszkiem ze złotemi galonami. Tu wisiał bardzo pięknego pędzla obraz, trzy gracye wystawiający. Prócz tego ciekawą była długa galerya wązka, obrazami i rzeźbami cała napełniona, w głębi któréj znajdowała się statua księcia Henryka Lubomirskiego, w postaci Kupidyna—dłuta Canovy. We wszystkich siedmiu apartamentach mnóstwo wazonów, wanien marmurowych i porfirowych, mebli kosztownych i obrazów znakomitych malarzów. Bogactwa nieocenione. Część tych drogich ruchomości przewieziono późniéj do Wiednia, część dostała się w darze wraz z Przeworskiem księciu Henrykowi Lubomirskiemu, wychowańcowi księżnéj.

Stół w Łańcucie był jak można tylko najlepszy, toż samo i usługa, duma jednak i surowa etykieta oddalały ztąd towarzystwo i piękny ten zamek z całym swym przepychem, zawsze był smutny i pusty,

bo kilkanaście osób rozproszonych po tych niezmierzonych komnatach, ginęły niepostrzeżenie.

Zanadto byłem podówczas małym, żebym mógł czynić wiele uwag o towarzystwie sieniawskiém. Pamiętam jednak, że było ono liczne. Chroniło się tu mnóstwo znakomitych mężów, którzy przed prześladowaniami konfederacyi Targowickiéj usuwać się z ojczyzny musieli. Pierwsze między nimi trzymał miejsce Tadeusz Kościuszko. Nie siedział on tu ciągle, ale wpadał na krótkie chwile, zajęty zawiązywaniem w wojsku polskiém bliższych stosunków, które stawały się nieuchronnemi przy zamierzonéj insurrekcyi. Podczas jednéj z tych bytności darował na pamiątkę mojéj matce orderową swą wstążeczkę.

Czasami bywał taki ścisk, że gmachy, o których wspomniałem, nie mogły odwiedzających pomieścić i lokowano ich w komisaryi, nieco od pałacu odległéj, lub nawet gnieżdżono się w miasteczku o ćwierć mili od pałacu. Dawano wtedy bale, fety, teatra, a czasami i nas dzieci wzywano, kiedy ich do żywych obrazów było potrzeba.

W 1794 r. mój ojciec wraz z księciem Eustachym Sanguszką udali się do obozu pod Połonice. Tu Kościuszko po wygranéj pod Racławicami, oczekiwał posiłków z Lubelskiego, ciągnących z generałem Grochowskim. Kiedy złączenie to nastąpiło, z przeważnémi siłami napierać zaczął Rosyan. Ci cofali się od Wisły przez Wodzisław ku Szczekocinom. Tu miała miejsce bitwa, nie tyle przez straty liczebne nieszczęśliwa, gdyż miano tylko do tysiąca kilkuset zabitych i rannych, ale przez to niezmiernego politycznego znaczenia, że w niéj wziął udział sam król pruski z swém wojskiem. Mój ojciec mianowanym był jenerałem inspektorem Jazdy i w czasie cofania się na Małogoszcz i Kielce ważne usługi wyświadczył, zasłaniając jazdą to cofanie się, które aż w Gałkowie pod Piasecznem się zakończyło. Maciejowickiéj klęsce przytomny nie był, a nie długo po niéj powrócił do Sieniawy.

Tu dowiedział się o konfiskacie swego majątku na Podolu. Tym sposobem stracił prawie wszystko, bo tylko przy posagu mojéj matki pozostał. Nie wiedząc czego się chwycić zadzierżawił od księstwa Czartoryskich mały folwark Pożóg, o milę od Puław odległy. Tu domek i inne budynki założył i płacił rocznéj dzierżawy 12,000 złp. Kiedy i domek był gotów i ogród założony podług planu umieszczonego w dziele ks. Czartoryskiéj *O zakładaniu ogrodów*, wróciliśmy wszyscy w lubelskie.

Po wzięciu Pragi rozpierzchły się po świecie panny Bernardynki, klasztoru Loretańskiego na Pradze. W zgromadzeniu tém zostawała moja stryjenka Elżbieta Dembowska. Ta, wraz z towarzyszką swoją panną Łaską także do Pożog się schroniła. Mieliśmy tu prócz

tego panią Piasecką, wdowę po pisarzu komory celnéj z Nieszawy, która z dwojgiem dzieci osiadła przy moich rodzicach. Ci acz biedni teraz, chętnie z biedniejszymi kawałkiem chleba się dzielili. Powiększyła się wkrótce ta dzieciarnia przez Cecylią Narbutt, córkę Ludwika Narbutta, brata stryjecznego mojéj matki. Był to szałaput piérwszego stopnia, dowcipny, wesół, ale żadnego prowadzenia się nie mający. Naprzód służył wojskowo, późniéj został księdzem, następnie zrzucił habit i ożenił się z wdową po Jakubowskim z domu Rudnicką. Tę wkrótce porzucił, sam do Prus się wyniósł, przeszedł na wiarę protestancką, został landratem i nazwisko zmienił.

Podczas naszego w Pożogu mieszkania kilka rzeczy i osób w pamięci mojéj utkwiło. Odwiedził raz mego ojca książę Marcin Lubomirski. Był on niejako słynny z powodu burzliwego swojego życia. On to przeciw ojcu walcząc okopał się w Karmanowicach gdzie dotąd tych ziemnych fortyfikacyj można widziéć ślady i dlatego na niektórych starych mapach jak np. Zannoniego, Karmanowice nazwane są Martinsburg. Mówiono że był czas, w którym na czele hajdamaków w górach Karpackich próby wyrządzał. Ożenił się naprzód z węgierką Hadikówną, a późniéj z córką słynnego Franka, założyciela sekty Frankistów i utrzymywano, że po zgonie teścia, objął naczelnictwo téj sekty (1). Książę Marcin posiadał Barskie starostwo, konfederacyą Barską czynnie wspierał i ztąd to owe walki z ojcem i wycieczki z hajdamakami. Pamiętam, że posiadał bardzo piękne i bogate tabakierki.

Pożóg należał do parafii Końskowoli, tam więc na nabożeństwo jeździliśmy. Na wielkotygodniowych modłach piérwszy i ostatni raz w życiu widziałem *Biczników*. Ubrani całkiem ponsowo, z kapturami spiczastymi, które im twarz całą zasłaniały, na oczy tylko i dla oddechu mając otwory. Trzymali w rękach dyscypliny, to jest krótkie kijki, do których było przytwierdzonych pięć pasków rzemiennych. Podczas pasyi obnażali swe plecy i temi dyscyplinami sami siebie smagali, ku wielkiemu pospólstwa zadowoleniu.

Mieszkał już podówczas w Końskowoli nieborak waryat Kniaźnin. Już kiedyśmy byli w Sieniawie donoszono nam że ślady pomię-

---

(1) Jakób Frank Dobrucki urodził się 1702 r. Trudnił się z początku winiarstwem, to jest gorzelnictwem, a późniéj na apostoła wyszedł. Sekta, którą utworzył mięszanina to mistycyzmu, illuminizmu, obrządków chrześciańskich i żydowskich. Co do zasad, choć je w tajemnicy trzymano, wiadomo jednak, że opierały się one na dogmacie troistego objawienia Boga w postaciach Adama, Jezusa Chrystusa i spodziewanego Mesyasza. Wyznawcy świętowali Piątki, odprawiając modły na dworze, a największe nabożeństwo miało miejsce w czasie pełni. Frank umarł 1792 r.

szania zmysłów zaczęły się u niego objawiać. Z początku podobno ciągle marzył o etymologii rozmaitych słów, zawsze je do Słowiańszczyzny odnosząc. Tak naprzykład tłómaczył, że *Minerwa* pochodzi od krzyku Jowisza, którego głowa bolała i skarżenia się po rusińsku *mene rwe*. Powody jego słabości przypisują gwałtownemu pokochaniu księżniczki Maryi, cokolwiek bądź smutno go było widzieć wybladłego, chudego i rozczochranego, biegającego po salach. Jedenaście lat się męczył, lecz późniéj był spokojniejszy i słabość w idyotyzm zamieniła się. Pochowany w Końskowoli, gdzie mu monument z czarnego marmuru wystawiono. Istnieje on dotychczas, acz trochę uszkodzony. Kniaźnin był litwin, nosił strój polski, głowy nie golił, przeciwnie długie bukle spadały mu prawie na plecy.

Około r. 1796 wypadło ojcu mojemu z powodu rozmaitych interesów pojechać do Paryża, a że właśnie wówczas p. Stanisław Zamojski starał się o rękę księżniczki Zofii Czartoryskiéj i o wyprawie dla niéj myślano, korzystano więc z téj podróży i księstwo zakupy rozmaitych przedmiotów jemu powierzyli. Jechał na Wiedeń, gdzie pasport do Francyi wydał mu minister Thugutt. Przybywszy do Strasburga, meldował się generałowi Augéreau, który podówczas tam dowodził. Ten, mimo że widział, iż na pasporcie mój ojciec nazwany Dembowski, mimo że on sam pokilkakroć nazwisko swe powtarzał, nie chciał żadną miarą przystać, żeby ojciec mój miał być Dembowskim.

„C'est connu —mówił— à qui le dites Vous? Vous étes le cousin du général Dombrowski et vous portez son non. Ces bêtes d'Allemands ne savent jamais ce qu'ils écrivent. Je garde le passeport et vous en délivre un ature, accompagné d'une feuille de route. La République aime à donner des preuves de son éstime pour les parents d'un brave, comme votre cousin."

Dano mu więc marszrutę, dostawał darmo konie, kwaterę i oficerską żywność. Mój ojciec wszakże z tego wszystkiego nie bardzo się cieszył, bo chociaż Robespierre już nie żył, a terroryzm ustał, jeszcze trwały podejrzliwości i wewnętrzne niepokoje. Ta zmiana nazwiska więc napełniała go obawą, ale nie mogąc jenerała przeprzéć, musiał woli jego uledz.

W Paryżu stanął u Michała Wyszkowskiego, który po Barsie uważany był za reprezentanta dyplomatycznego dawnéj Polski! Tallien i Barras mieli wówczas niejako największe wpływy. Wprowadzony w ich towarzystwo, w którém celowały panie Tallien i Récamier miał sposobność przypatrzyć się ówczesnym modom grecko-rzymskim. Te damy tak były grzeczne, że dowiedziawszy się o sprawunkach, jakie mojemu ojcu zlecono, same zajęły się dobieraniem

i kupowaniem towarów, a że mój ojciec obawiał się kazać robić suknie, porobiono więc kilkanaście półtora łokciowych lalek, które podług mody ubrano i które jako modele z sobą przywiózł.

Powrót mego ojca z témi kilkunastu lalkami i pakami przecudnych koronek, batystów, materyj lugduńskich i t. p. rzeczy był dla wszystkich kobiét niepospolitém zdarzeniem. Dzieci najlepiéj wyszły, bo odziedziczyły te śliczne lalki.

Nastąpiło téż w Puławach i wesele pani Zamojskiéj. Zjazd był niesłychany. Ja tyle tylko z niego pamiętam, żem sypiał pod stołem, bo innego miejsca w izbie nie było i że codzień doskonałe cukierki przynosiła mi matka.

W tym czasie także, ostatnich lat upłynionego wieku, przybyła do Puław stryjenka księcia feldmarszałka, hetmanowa Ogińska — pani, któréj dom w Siedlcach z zabaw i ciągłego ruchu stał z Puławami na równi. Była ona nadzwyczaj silną i talerze srebrne w trąbbę zwijała. Mąż jéj był nizkiego wzrostu i kiedy w stronnictwach, jakie Polską miotały, będąc w Gdańsku opierał się woli swéj małżonki, nie chąc należéć do partyi Czartoryskich, ta porwawszy go za pas w oknie drugiego piętra wywiesiła i trzymała go tak zawieszonego póty, póki jéj nie przysiągł, że się do jéj woli zastosuje. Hetman zresztą w historyi tyle tylko miał znaczenia, że we wrześniu 1771 r. przystąpiwszy do konfederacyi Barskiéj, zaskoczony pod Stolniczanami, blizko Słonima, tak dzielnie uciekał, że aż w Królewcu się oparł.

Pani Ogińska po kilkodniowym w Puławach pobycie śmiertelnie zachorowała i książę feldmarszałek, nie wiem już z jakich powodów, przeniósł się wtedy do Pożoga i tu aż do jéj zgonu przesiadywał. Wziął po niej w sukcesyi dobra: Siedlce, Zakrzówek, Puhaczew i Przybysławice. Ponieważ Siedlce, jako miasto gubernialne rząd austryacki chciał mieć swoją własnością, wymieniał je przeto na dobra Tarnogórę.

W tym także czasie książę Eustachy Sanguszko starał się o rękę księżnéj Wirtemberskiéj. Dlaczego mu odmówiła nie pojmuję, tém bardziéj, że miała do niego skłonność. Całe te niefortunne konkury zatopione zostały w Pożogu w wódce i winie. Książę, idąc za przysłowiem dobry trunek na frasunek, z kolegą broni i z serdecznym przyjacielem, jakim był dlań mój ojciec, cały tydzień pili, aż dopóki miłość trochę nie ostygła.

II.

Rok 1799 jest dla mnie bardzo ważny, jako piérwsza wycieczka w świat bez opieki matczynéj. W roku tym książę jenerał Ziem Po-

dolskich wybrał się do wód mineralnych w Bardyowie, a ja znajdowałem się także w jego orszaku. Książę za sobą ciągnął cały szereg, nie mówię służby, ale obywatelskiéj asystencyi, która do sta przeszło powozów wyniosła. Z Sieniawy ruszyła ta karawana z początku nie tak liczna, ale jakeśmy zaczęli przejeżdżać ziemię Przemyską, wstępować do Nienadawy, Przemyśla, Dubiecka i innych miejscowości, z każdéj prawie właściciele do nas się łączyli. Na miejsce przybyliśmy w towarzystwie jw. marszałka Ignacego Potockiego, księdza kanonika Witosławskiego, Oboźnego Witosławskiego, Feliksa Dembowskiego Szambelana, Fredry Jacka, Wojny, Teodora Bukowskiego, Orzechowskiego, Bobowskiego, Dembińskiego, Tadeusza Marskiego, Stadnickiego, dwóch braci Giżyckich, Borejki i wielu innych, już nie licząc takich, jak naprzykład pan Ciesielski, który nigdy nie odstępował książęcego towarzystwa.

Jazda nasza rozpoczęła się w maju, a chociaż z Sieniawy do Bardyowa szosą na Łańcut, Pilzno, Duklę, zaledwie jest 30 mil—my jednak jechaliśmy wężykowato, wstępując od Ananasza do Kajfasza i wszędzie bawiąc przynajmniéj dzień jeden, a jak w Przemyślu u biskupa aż trzy dni. Ta wizyta była dla mnie ważna, bo mi pozwalano brać obficie w kieszenie rozmaitego kształtu cukierki, tak iż ta prowizya na całą podróż mi wystarczyła.

Wyjeżdżaliśmy zwykle o godzinie jedenastéj rano, a ujechawszy dwie mile stawano na obiad. A kiedy po popasie tym wyjechano, nie długo przychodziła pora na nocleg. Jeżeli popas lub nocleg przypadał w domu obywatelskim, mieszczono się po stodołach, szpichlerzach i nawet w wiejskich chałupach. Jeżeli nie, to wyrzucano z karczem żydów, mieszkańców z mieszkań, wybijano kobiercami ściany i improwizowano salony, w których tak jak w Sieniawie lub Puławach, miało miejsce zwykłe śniadanie, palenie fajek, czytanie gazet, granie w karty i szachy. Nie można było właściwie spostrzedz się, że to podróż, tak wszystko było do codziennego życia podobne, a marszałek z furgonami i kozakami jadący przodem, wszystkie te porządki uskuteczniał prawdziwie czarnoksięskim sposobem.

Dla czego książę wybrał wody Bardyowskie, gdzie żadnych wygód nie było, nie wiem, ale Węgrzy wzięli to dobrodusznie za dowód osobistéj dla nich atencyi. Skoro cała ta kalwakata z żonami i dziećmi do Bardyowa przybyła, kłopot był nie mały i już i marszałek nie pomógł, bo tam gdzie tylko kilkanaście było domów, trudno było pomieścić tyle gości, którzy jak szarańcza nagle spadli. Część taboru musiała w mieście szukać schronienia, pomogli téż Węgrzy i magistrat miasta. Spędzono robotników, zwieziono materyał i w kilka dni zapełniła się dolina rodzajem namiotów, deskami krytych, w któ-

rych, gdy je przystrojono, kobiercami wybito i umeblowano było nawet wygodnie.

Naprzeciw kięcia wyjechali niektórzy Węgrzy jak: Czakowie, Haller, Hadykowie aż do Orlika na granicę. Toż magistrat w czarnych węgierskich strojach oczekiwał przy wodach. Książę po węgiersku bogato ubrany, językiem ich przemawiał, co ich radością ujęło. Ściągnął téż wkrótce na odgłos tak niesłychanego zjazdu i teatr niemiecki, na którym jak na kazaniu niemieckiem często bywałem, a chociaż mało co rozumiałem, nadzwyczaj mnie zajmował. Przedstawiano sztuki, na tle historyczném osnute i głównie wypadki domu Hohenstaufów zawierające. Wkrótce téż stanął i salon, a wtenczas znowu zaczęły się bale, na które zjeżdżały panie węgierskie z córkami.

Z czasu tego dwumiesięcznego pobytu dwa wypadki godne są zanotowania. Pierwszym było uwięzienie i zabranie z towarzystwa Ignacego Potockiego. Minister ten czynny w czasie Sejmu czteroletniego, należał przed pięciu laty do insurrekcyi kościuszkowskiéj, a chociaż po uwolnieniu z niewoli rosyjskiéj w Galicyi zamieszkał, gdzie posiadał Kurów i do wód za pozwoleniem rządu przybył, stał się jednak podejrzanym z powodu przejętych korespondencyj pisanych z Francyi przez legjonistów, gdzie o nim była wzmianka. O niczém go nie zawiadomiwszy, w nocy otoczono zbrojną siłą dom, w którym mieszkał i wywieziono do Krakowa. Tam już kilku innych a mianowicie Michał Kochanowski w więzieniu osadzeni byli. Blizko rok Potockiego uwięzionego trzymano i dopiéro za bytnością księcia feldmarszałka w Wiedniu i za jego czynném wstawieniem się do samego cesarza, po wielu trudnościach wolnością go obdarowano.

Drugim wypadkiem był wielki festyn, dany na św. Annę dla pani Hallerowéj. Zaimprowizowano w jodłowym lesie rodzaj greckiéj świątyni, cyframi solenizantki ją ozdobiono, a cała część lasku i dolina, w któréj źródła, były illuminowane. Muzyka, tańce, suta uczta dla całego towarzystwa, magistratu i znaczniejszych Bardyowa mieszkańców dopełniały uroczystości. Również udał się bardzo dobrze teatr wolny, na świeżém powietrzu urządzony. Jedno tylko wpłynęło na mniejszy effekt. Mianowicie książę Czartoryski, żadną miarą nie dał się przekonać, aby festyn rozpoczął się po zachodzie słońca. Na wszystkie przedstawienia, że o piątéj w Lipcu słońce jasno przyświeca, jedno odpowiadał: Milsze mi wasze zdrowie jak effekt illuminacyi. Pijecie wody, kąpiecie się, więc zaziębić się łatwo. A zatém wszystkie lampijony i kagańce pozapalano wśród dnia, a race i młynki towarzyszyły zachodzącemu słońcu. Jedyne to są fajerwerki i iluminacye, jakie mi się w dzień zdarzyło widzićć.

Owóż po tych serdecznych z Węgrami stosunkach, stanęło na tém, że na rok następny najmłodszy syn Hallerów na edukacyą do Puław przyjedzie.

Zaledwie Bardyów opuściliśmy, książę feldmarszałek udał się do Wiednia dla łożenia starań ku uwolnieniu Ignacego Potockiego. Przy téj sposobności raczył się zatrudnić wynalezieniem nauczyciela dla mnie i dla Hallera. Nastąpiły w tym względzie, jak widzę z listów, narady z Maksymilianem Ossolińskim, a między kilkoma na tę posadę kandydatami padł wybór na księdza Laville, szwajcara, rodem z biskupstwa Bazylejskiego. Poprzednio pełnił on obowiązki sekretarza Nuncyatury w Lucernie. Przed bitwą pod Zurich, kiedy Francuzi zajęli Szwajcaryą, schronił się ze swoim Nuncyuszem do Wiednia. Mówił on płynnie po francuzku, dobry dosyć matematyk, niezgorszy łacinnik, nabożny i pilny. Był on w rodzaju tych guwernerów, których rasa już zaginęła. Nieodstępny od swych uczniów, otaczał ich rodzicielską opieką i troskliwością może do zbytku posuniętą. Po ukończeniu mojéj i Hallera edukacyi przyjęty do dzieci hrabiny Rozalii Rzewuskiéj, wychował starszych jéj synów Stanisława i Leona.

Zimę tego roku przepędziliśmy we Lwowie. Zdrowie bowiem matki mojéj zaczęło szwankować, a że tam słynął doktór Krausnecker, jemu więc kuracyą powierzono. Mieszkaliśmy na przedmieściu Halickiém w pięknym gmachu, z którego pyszny widok z jednéj strony na ową górę, na któréj szczycie ruiny zamku; z drugiéj pagórek zabudowany kościołem i klasztorem św. Jura.

Uczono nas tańcować, a dla większego towarzystwa przybrano dwoje dzieci Juliannę i Kajetana Komarów. Ojciec ich był kiedyś kasyerem u księcia wojewody ruskiego, a następnie u jego syna, a kiedy opuszczał Puławy, chroniąc się przed skutkami wojny, w czasie kościuszkowskiéj insurrekcyi, zapakowawszy cały swój majątek w skórzane worki, około 4.000 dukatów wynoszący, zakopał go w nocy w ogrodzie Puławskim nie daleko dróżki, która od Sybilli do oranżeryi górnéj prowadzi. Nazajutrz miejsce to żonie pokazał i sami do Sieniawy wyjechali. Tymczasem Rosyanie wpadli do Puław, księżna Izabela, która wszelkiemi możliwymi środkami podniecała przeciwko Rosyi opinią publiczną, nie posiadała łaski cesarzowéj Katarzyny. Oddział zajmujący Puławy otrzymał rozkaz rabunku i niszczenia. Oficer, który tę misyą otrzymał, wykonał ją, śmiem tuszyć, nadużywając rozkazów. Wówczas to potłuczono i porąbano w drobne sztuki owego Fauna, dłuta Lizyppa, nabytego za 5.000 dukatów. Pokrajano obrazy Rembrandta i Rubensa, a dołączywszy je do potłuczonych zwierciadeł, mebli i marmurów, w sadzawce na dziedziń-

cu zotopiono. Kiedy Puławy téj klęsce uległy, Komar w Sieniawie życia dokonał, a wdowa po nim jeszcze młoda, zawarła związki małżeńskie z p. Pernettem, komisarzem klucza Sieniawskiego. Był on krewnym Pernetta, marszałka hetmanowéj Ogińskiéj, którego córki miały funkcyą tańcować kozaka na balach Siedleckich. Już nie pomnę który z magnatów polskich w ferworze zachwytu ofiarował pannie Pernett sto dukatów. Taż sama zgrabna tancerka późniéj została pierwszą osobą w kraju jako księżna Zajączek, żona Namiestnika cesarskiego w królestwie.

Po uspokojeniu burz wojennych i kiedy Austryacy zajęli Nową Galicyą, przybyła pani Pernett do Puław dla odszukania zakopanych skarbów. Lecz wszelkie jéj poszukiwania były daremne. Bądź że ktoś inny skarb znalazł, bądź że z upływem czasu i porostem trawy i krzewów, miejsca nie odnalazła, dość że z nadzieją odzyskania straty musiała się rozstać. Ale Opatrzność nad sierotami czuwała i niebawem po śmierci Kosakowskiéj, kasztelanowéj Kamieńskiéj odkrył się dla nich spadek. Komarowie nie wiedzieli nawet o pokrewieństwie, aż wezwani przez sądy od razu do zamożności i bogactwa przyszli.

Pomiędzy innémi towarzystwami, do których uczęszczaliśmy, bywaliśmy także na obiadach u pisarza Rzewuskiego, który mieszkał w Rynku, obok Ratusza. Ratusz ozdobiony był wysoką wieżą. Na niéj osadzono zegar i straż miejską u samego szczytu. Co kwadrans w dzień i w nocy wychodził na galeryą strażnik i świstał na piszczałce, a w czasie pożaru znaki alarmowe dawał. Z powodu ogromnéj wysokości wyglądał on jak małe dziecko. Wieża ta, około, jak mi się zdaje r. 1826 nagle runęła i znacznie kamienicę pana Rzewuskiego uszkodziła.

Prócz ówczasowego gubernatora hrabiego Geisruck,—który sam chudy, nizki, na jedno oko ślepy i garbaty, a miał żonę już w wieku, syna urzędnika, ale idyotę i dwie córki—inni Niemcy mało w towarzystwach bywali. Ten gubernator z familią parę razy odwiedził Puławy i dosyć długo za każdym razem przesiadywał. Puławy na przyjęcie tak dostojnéj osoby podwajały zabawy. Mnóstwo obywateli, potrzebujących protekcyi gubernatora w swych majątkowych stosunkach, korzystało z podobnych pobytów—bądź aby interesom dać pomyślny kierunek, bądź aby bliższą znajomość zabrać z tym dygnitarzem. Ścisk wynikał nad opisanie, a córki gubernatorskie z całą młodzieńczą wesołością w zabawach brały udział, osobliwie panna Henryetta. Sam gubernator, już w wieku posunięty, światły i roztropny, nie dumny i powszechnie szanowany, ale upośledzony od natury, wcale na gubernatora ośmiu milionów ludności nie wyglądał i żadnéj

w nim powagi nie dostrzegłeś. Istnieje podobno prawo kanoniczne niedozwalające, aby osoby ułomne na duchownych wyświęcać. Zdaje mi się, że i wielkorządztwo powierzać osobom tak od natury upośledzonym, jakim był nieborak, hr. Geisruck—jest nietrafném. Ani groźnym dla podwładnych, ani rzutkim, ani czynnym nie może być człowiek w wieku, schorzały, ślepy i garbaty.

Nie małe w ówczesném towarzystwie lwowskim zajmowali stanowisko prawnicy, dwóch ich szczególniéj odznaczało się w tym zawodzie. Jeden Dzierzkowski, drugi Węgleński. Pierwszy był to w istocie rodzaj fenomenu, obdarzony był bowiem od natury niesłychaną pamięcią. Rozwijał w konwersacyi zapas najrozmaitszych wiadomości, przykuwał słuchaczy do siebie i napełniał ich żądzą ciągłego upragnienia, aby go mówiącego słyszéć. Przystojny o rysach twarzy regularnych i delikatnych, wysoki, nosił się w polskim stroju dla ukrycia zbytniéj otyłości. Aczkolwiek miał ruchy ciała żywe i chód lekki, tak był otyły, iż musiano otwierać obie strony podwojów drzwi, by mógł wejść do apartamentów, a w żadne krzesła poręczowe zmieścić się nie mógł. W r. 1809 wezwany do zasiadania w rządzie centralnym, przybył na krótkie chwile do Warszawy. Ciekawość towarzystwa warszawskiego wzbudził i ubiegano się o sposobność zobaczenia go i posłuchania. Że jednak cały jego majątek odpadł do téj części Galicyi, która pod berłem Austryi pozostała, wrócił do Lwowa z wielką dla kraju stratą, bośmy takich ludzi jak on mało posiadali.

Drugi, Franciszek Węgleński świetniał dowcipem, wiadomościami prawnemi i zręcznością. Był rodzonym bratem ministra skarbu Księztwa Warszawskiego. Prowadził życie kosztowne, z przepychem i miał pod murami miasta willę *Pohulankę*, w któréj godnie odpowiadając nazwie z sędziami sądów apelacyjnego i szlacheckiego hulał. Sędziom pensye z swych dochodów płacił i tym dwoistym sposobem sumienia większości w swém ręku trzymał. Nie było też sprawy, którejby nie wygrał. Po r. 1809 porzucił stan adwokacki i Lwów i przeniósł s ę do Warszawy, a za protekcyą brata, został późniéj ministrem Sprawiedliwości.

Wspomnę jeden z adwokackiego życia jego wypadek. Rząd austryacki przedsięwziął wszystkie dobra, które posiadały kopalnie albo warzelnie soli, nabyć na swą własność. Albo więc wartość ich płacono, albo zamieniano na inne majątki. Wiele osób w Galicyi porobiło na tém, a przynajmniéj znacznie powiększyło fortuny, jak na przykład Dzieduszyccy. Lecz kto się nie umiał dopilnować, ponosił dotkliwe straty. Takim był wypadek majętnéj przedtém jednéj wdowy, matki kilkorga dzieci, która przez zamianę zupełnie prawie ma-

jątku pozbawioną została, a ani na drodze administracyjnéj, ani na sądowéj, nie mogła uzyskać wynagrodzenia, jakie się jéj najsłuszniéj należało. Kiedy żadnéj już nadziei nie było, udała się do Węgleńskiego i stanął między niemi układ, że pan Franciszek swoim kosztem prowadzić będzie interes. Za poniesione wydatki żadnéj nie będzie miał pretensyi, jeśli mu się nie uda, a dostanie dobra pewne, jeśli z zyskami dla wdowy sprawę zdoła zakończyć.

Do interesu zabiera się w ten sposób. Sprawia piękną tacę srebrną, w jedwabny woreczek wkłada tysiąc dukatów i z tém jedzie do Wiednia. Były to czasy wojen francuzkich. Austrya ciągłemi wysileniami znękana, zalana papierowemi banknotami i miedzianemi reńskiemi, ani srebra, ani złota nie miała. Kruszce tu były taką rzadkością jak jakie feniksy. Panował cesarz Franciszek II, który późniéj awansował na Franciszka I. Pan cnotliwy i dobroduszny. Kiedym w roku 1840 zwiedzał zamek cesarski w Wiedniu, w jego apartamencie zawieszone były dwa obrazy, a na jednym z nich wyobrażone, jak niepoznany przez chłopa przewozi go na czółnie przez jeziorko, otaczające zamek Laxemburg i za przewóz trzy grajcarówkę odbiera. Owóż cesarz ten poddanym swoim raz w tygodniu dawał audyencye, na które wpuszczano każdego bez żadnych uprzednich meldunków i na których prożby do niego zanoszone ze szczególną łaskawością, łagodnością i dobrodusznością wysłuchiwał. Pan Węgleński na podobnéj audyencyi prezentuje się z ową tacą i woreczkiem. Gdy cesarz do niego się zbliżył i zapytał czego by żądał? oświadczył, iż przybywa ze Lwowa, a wiedząc ile monarchia w dzisiejszych czasach ma nadzwyczajnych wydatków, pokornie uprasza cesarza, aby raczył przyjąć jako ofiarę od wiernego sługi na zasiłek skarbu tysiąc dukatów, znajdujące się w woreczku. Cesarz zamyślił się, późniéj woreczek wziął do ręki i do kieszeni włożył. Bądź z zadziwienia bądź z jakiego innego powodu długo stał przed Węgleńskim, milcząc wreszcie odezwał się, że piękny ten przykład poświęcenia się dla dobra monarchii mile przyjmuje i że z przyjemnością mu przyjdzie wywdzięczyć się p. Węgleńskiemu. Dla tego prosi, aby mu z całą otwartością wyznał, czy w jakim interesie nie może mu być pomocnym. Zapytany odpowiedział, że czyn jego jest wynikiem czystego, bezinteresownego patryotyzmu i że żadnéj prożby nie ma. Ponieważ przez to rozmowa weszła na drogę grzecznéj konwersacyi, zapytał go więc cesarz czy długo w Wiedniu bawić jeszcze zamierza i dodał, że spodziewa się iż go jeszcze przed wyjazdem widzieć będzie.

Tego téż właśnie pragnął Węgleński. Nim ośm dni upłynęło stawił się powtórnie na audyencyi. Skoro go cesarz spostrzegł, przybył zaraz do niego. Pan Franciszek oświadczył, że Wiedeń opuszcza

i stosownie do otrzymanego łaskawie rozkazu składa swe pożegnalne uszanowanie. Cesarz mu na to odpowiedział, iż tém mocniéj żałuje, że nie jest wstanie okazać mu swéj życzliwości i dodał: „jeśli sam pan nie masz żadnego interesu, w którym mógłbym ci być użytecznym, może któremu z krewnych lub znajomych przydam się na co—proszę o tém pamiętać. Na to pan Węgleński, udając wprzódy długo zamyślonego rzekł: „Kiedy tyle dobroci doznaję od waszéj cesarskiéj mości, przypominam sobie, że jednę biedną wdowę obarczoną familią, a moję przyjaciółkę, pokrzywdzono przy zamianie dóbr solnych. Cesarz wtedy prędko mu zlecił: „Nie wyjeżdżaj więc jeszcze i opisz mi stan interesu, a ja sam go rozpoznam i sprawiedliwość wymierzę.“

Węgleński w Wiedniu pozostał, memoryał podał, cesarz wszystko podług jego wniosku zdecydował i choć skarb porządnie ucierpiał, wdowa do znacznego majątku przyszła, a Węgleński dobra otrzymał.

Zapisać tu także muszę szczególny wypadek, jaki się trafił podczas naszego pobytu we Lwowie. Ten sam Borejko, który towarzyszył księciu do Bardyowa, starodawny polak, w stroju narodowym, z głową ogoloną, ściągał na kontrakty do Lwowa. Był to podolanin, bardzo poważany przez swych ziomków. Tęgi do kielicha i do korda, miał twarz brunatną, na karku olbrzymich rozmiarów osadzoną. Jechał saniami, a pod Kulikowem, gdy sanie na zatokę poszły, uderzył przy wywrocie tak silnie o słup sosnowy przęsłowego płotu, że ten słup roztrzaskał, innego nie doznawszy szwanku, jak tylko, że mu drzazgi czoło poorały. Nie ma wątpienia, że nasi praojcowie twardsze mieli czaszki, może z powodu golenia głów i wiecznego wystawiania ich na wpływ powietrza. Gdyby podobną czaszkę miał biedny generał Sokolnicki, pewnoby głowy nie rozbił od prostego upadnięcia na paradzie na dziedzińcu Saskim.

Z wiosną 1800 r. wróciliśmy do Pożoga. Wówczas i przez cztery poprzednie lata mieliśmy liczne towarzystwo. Mieszkały tu dwie siostry mojéj matki, panny Aleksandra i Tekla, brat Wojciech Narbutt, a oprócz tych, o których już poprzednio wspominałem, panna Maryanna Piramowicz, guwernantka mojéj siostry i Franciszek Lessel, nauczyciel muzyki. Panna Aleksandra poślubiła wkrótce pułkownika Ciesielskiego i do Samoklęsk się przeniosła. Panna Tekla podbiła serce wojewodzica lubelskiego Hryniewieckiego, dziedzica Markuszewa i między nimi nastąpił także związek małżeński. Lecz nie długo się im szczęściło, ciotka moja bowiem dostała raka i w parę lat po ślubie zgasła. Wojewodzic wdowiec, cokolwiek utracyusz, Markuszew sprzedał w części panu hrabiemu Tarnowskiemu, w części panu Ejdziatowiczowi, Bronice zaś z dwoma folwarkami mojemu

ojcu. Sam, także nie długo po żonie żyjąc, resztę pieniędzy, których nie strwonił, jedynemu z familii chorążycowi Hryniewieckiemu zostawił.

Bronice mój ojciec nabył jeszcze w r. 1798 i od téj chwili rozpoczęły się tam fabryki domu i innych budowli gospodarskich, które kilka lat trwały. Co do chorążyca ten z otrzymanéj sukcesyi kupił Tuszów a, umierając bezdzietnie i bezdziedzicznie, włościanom cały majątek zapisał, pod warunkiem, aby raz na rok płacili do parafii pewną kwotę na nabożeństwo za familią, która na nim wygasła. Włościanie swoje grunta na siebie uprawiali, dworskie zaś wypuścili w dzierżawę niejakiemu p. Malinowskiemu. Kiedy w r. 1809 wojska księstwa Warszawskiego zajęły te okolice, na potrzeby powstających pułków, na żywność wojska i koszta wojenne ogromne podatki nakładano. Ztąd rachunki p. Malinowskiego, który i za włość i za dwór opłacał podatki, tak urosły, że włościanie wyrzekli się dziedzictwa i pod pańszczyznę dobrowolnie wrócili. Dobra te obecnie należą do generała Rolanda.

Wyszła wreszcie za mąż za niejakiego p. Wojcickiego z Chełmskiego wspomniana już młoda i przystojna wdowa p. Piasecka, Lessel wyjechał do Wiednia, gdzie kształcił się pod Haydnem, wuj Wojciech do Sukurcz, a kiedy przyjechał z Wiednia nauczyciel p. Laville, przenieśliśmy się do Puław w roku 1800.

III.

W r. 1801 matka przepędzała zimę w Warszawie. Zawiozła tam moję siostrę, aby ją kształcić w rysunkach pod kierunkiem p. Norblin, francuza rodem, lecz polaka sercem, odkąd, ożeniwszy się z polką, krewną pani Wójcickiéj i Wierzbickiéj, w Polsce życie przepędzał. Rysował on bardzo dobrze i malował olejno pięknie. Sufit w świątyni Arkadyi i część robót, to jest konie na suficie sali żółtéj w zamku warszawskim jego są dziełami. W mniejszych utworach pędzel jego przypomina sposób Boucher, Watteau i téj szkoły. Szczególnie drzewa wyobrażał wysokie i cienkie i liści nie wykończał.

Zima ta była nadzwyczajnie ostra. W Warszawie matka i siostra moja, dopiéro czternastoletnia panienka, nie uczęszczały do wielkich towarzystw, zresztą ich nawet, żeby prawdę powiedzieć, nie było. Przedstawiły się pani de Vauban dla nieuniknionéj ceremonii; a reszta czasu mile im schodziła w mniejszém kole osób, z któremi bądź w Puławach, bądź z dawniejszych czasów miała matka moja

zażyłość—to jest w domach: państwa Stanisławowstwa Potockich, Gutakowskich, Kickich i Sołtyków.

W tym czasie mieszkał także w Warszawie p. Walicki, o którym obszerniéj późniéj napiszę. Tu tylko o nim wspominam dla tego, że darował on podówczas pani Sołtykowéj ten słynny szafir, który innym kolorem błyszczał w dzień, a innym przy świecach i który posłużył za przedmiot do ładnéj powieści pani de Genlis pod tytułem *Le safir merveilleux.*

Na jednym u pani Sołtykowéj wieczorze poznał siostrę moję pan Tarnowski, zwany Egipcyaninem, dla tego, że w młodości krainę tę zwiedzał, i odtąd codziennie matce mojéj składał wizyty. Z listów jéj widzę dziś jeszcze, że wróżyła ona sobie z tego związki małżeńskie, ale ta nadzieja omyloną została.

Po kilkomiesięcznym pobycie, gdy moja matka zrachowała, że siedzenie w Warszawie ogromne wydatki za sobą pociąga, zaproponowała p. Norblin, czyby nie był skłonnym do Bronic lub do Puław dla kontynuowania lekcyi przybyć. Zgodził się za opłatą pięćdziesiąt dukatów miesięcznie i dla tego matka z wiosną do domu wróciła. Pan Tarnowski odtąd aż do czasu dopóki się nie oświadczył o pannę Laurę Potocką, siostry mojéj nie widział.

Ja w Puławach całą tę zimę przepędziłem w towarzystwie stryjecznéj mojéj siostry Rozyny Dembowskiéj, którą w pierwszéj młodości poznawszy, jakby siostrę rodzoną całém sercem zawsze kochałem. Miała ona za ochmistrzynię staruszkę, panią Krobanowską. Ta szczególny posiadała talent, bo robiąc machinalnie pończochę na drutach, jedném okiem spała, a drugiém zważała, co młodzież porabia. My z Rozyną cokolwiek hałaśliwi za ulubioną zabawę, do któréj czasem Adam Matuszewicz należał, a Haller, jako mój towarzysz, zawsze—uważaliśmy grę w *salii.* Gra to na tryktraku pionami dosyć zabawna. Lecz przekładaliśmy wszyscy rzucanie poduszkami na siebie. Poduszki od kanap uważano za łódki, na nich się po podłodze suwali, szpagatem lub chustkami łapiąc się, o ile zręczność rzutu dozwalała. Owóż kiedy panna Krobanowska obu oczyma patrzała, graliśmy poważnie w *sali,* ale skoro tylko jedno z nich zmrużyła—dalejże do poduszek.

W lecie tegoż roku przybywał świeży żywioł. Przyjechała księżna Wirtemberska z dwiema wychowanicami, panną Cecylią Beydale i panną Maryanną Dzierżanowską. Pierwsza z nich była rówienniczką mojéj siostry. Brunetka, szczupła, łagodna, późniéj w tém nieszczęśliwa, że przez pół roku opanowywała ją zbytnia wesołość i ruchliwość, a przez drugie pół roku czarna melancholia. Panna Dzierżanowska, mego wieku, blondynka, rysy miała bardzo regularne,

twarz okrągłą i uśmiechem ozdobioną—słowem śliczna istota. Obok tego łagodna i z dobrém sercem. Ale, że zawsze i wszędzie to ale panować musi, wiedziała że jest piękną, lubiła hołdy i wielość hołdujących. Żeśmy byli równego wieku, te dwie panienki powiększyły towarzystwo, a panna Maryanna trzech rówienników, Matuszewicza Hallera i mnie pod swoje zaciągnęła jarzmo.

Tymczasem fety, bale, zabawy, zjazdy szły torem zwykłym, a i my w nich pewien przyjmowaliśmy udział. Naprzód do jedzenia wszystkich specyałów, deserów i cukierków, następnie do powiększania liczby spektatorów w fetach i sztukach teatralnych, a wreszcie dawano nam także role dzieci, o ile te do widowiska należały.

Z gości najznakomitszych, odwiedzających w tym czasie Puławy przypominam sobie arcyksięcia Ferdynanda i hrabiego Trautmansdorfu, tego samego, który poprzednio odbierał homagialną przysięgę od Galicyan w Krakowie.

W r. 1802 posłano mnie w lecie do Bardyowa, pod opieką pułkownika Ciesielskiego, który towarzyszył tamże księciu Czartoryskiemu. Już tą razą zastałem tu palac wybudowany z oficynami, a towarzystwo prawie to samo, co zwykle. Że pan Ciesielski był wielkim lubownikiem botaniki, jeździliśmy konno aż za Koszyce dla widzenia drzewa cisowego. Drzewo to, z rodzaju iglastych, w stolarskich wyrobach zupełnie podobne jest do mahoniu. Flora bardyowska jest bogatą. Miejsce to od strony południowéj Karpat położone sprzyja roślinności: atropa-belladona, wino dzikie rośnie tu prawie powszechnie. Wody mineralne są mocno żelazne.

Teatr niemiecki już teraz nie w szopie, ale w porządnym budynku się mieścił. Ponieważ trochę po niemiecku rozumiałem, z większém więc zajęciem, aniżeli dawniéj, bywałem na przedstawieniach, najczęściéj razem z księciem Dominikiem Radziwiłłem. W salonie co niedziela i święto dawano bale, a w dzień powszedni służył on za miejsce zebrań. Oprócz tego wyprawiano bale i podwieczorki składkowe. Składano po dwa reńskie i za to oprócz zwykłych posiłków dostarczano lodów i cukrów. Fruktów mnogość była niesłychana i po niesłychanie niskich sprzedawano je cenach. Arbuzy przywożeno na targ czterokonnemi brykami i oddawano je prawie za bezcen.

Znajdowali się u tychże wód podolanin, dawny przyjaciel mego ojca, Giżycki i przemyślanów wielka liczba. Węgrzy zawsze dla księcia z największą uprzejmością, życzliwość swą okazywali. Las jodłowy i świerkowy już poprzerzynamy ścieżkami, opatrzony ławkami, piękne do spaceru stanowił miejsce, ale góry goléj od północy rozciągającéj się, niczem jeszcze nie ustrojono.

W końcu sierpnia wyruszyliśmy z Bardyowa i w Łańcucie blisko dwa tygodnie się zatrzymaliśmy. Fetowano nas w tym pysznym zamku wspaniale. Raz cały gmach i otaczający go ogród był iluminowany. Oprócz tego stół wyśmienity, fruktów najdoskonalszych obfitość, osobliwie też w deserze i w lodach codziennie dawanych szczególny okazywano przepych.

Księżna marszałkowa była tak prawie majętna jak jéj brat, bo chociaż z fortuny księcia wojewody ruskiego mniéj otrzymała, ale używała dożywocia na majątku księcia marszałka Lubomirskiego i jego braci. Aczkolwiek Wilanów, Nieporęt, pałac w Warszawie, Opatów i Pików odstąpiła swéj córce, pozostał jéj jeszcze Łańcut, Wiśnicz, Krzeszowice, Brzeżany, Przeworsk, Leżajsk, w Karpatach Skola, na Podolu Konstantynów, Satanów i inne nomenklatury, których już nie pomnę.

Bawiła podówczas w Łańcucie familija Geisrucków i przejeżdżający do Paryża ambasador rosyjski pan Markow. Miał przy sobie dwóch sekretarzy: Apraksyna i drugiego, którego nazwiska zapomniałem. Sam ambasador odznaczał się oryginalnym ubiorem, bo nosił frak krojem *habit habillé* koloru pąsowego w centki czarne, a w mowie, jak na prawdziwego dyplomatę przystało był bardzo oględny.

Wówczas lepiéj mogłem oceniać nieoszacowane skarby, które nagromadzono w tym pysznym zamku. Konie bronzowe, wazy marmurowe, alabastrowe, najwytworniejszych kształtów, obrazy sławnych mistrzów, statuy starożytne i słynnych nowoczesnych rzeźbiarzy—wszystko to literalnie zapełniało każdy z zakątków. W Łańcucie rozłączyliśmy się z księciem i z p. Ciesielskim wróciliśmy do Puław, kiedy książę feldmarszałek z resztą swojéj asystencyi do Sieniawy pociągnął.

W Puławach rozpoczęło się zwykłe życie.

Kiedy się dziś zastanawiam i rozważam, jaki był cel podobnego życia, jednę tylko znajduję odpowiedź—oto zapomniano o wszystkiém i myślano jedynie o tém, żeby się dobrze bawić, a większość towarzystwa zapominała o swoich interesach własnych i prawie na domowników puławskich się zamieniała. Tak np. Dłuski, starosta łukowski, wprawdzie nie miał dzieci, ale mu nawet przez myśl nie przeszło, że ma żonę, dobra i gospodarstwo. Ciągle mieszkał w Puławach, a gościem tylko był u siebie. Napróżno z tego wiru chciała go małżonka wyciągnąć. Z Gutakowa przybywali posłańcy, że kupcy czekają na kontraktowanie zboża. To wszystko chowało się do kieszeni, lub odpisywano, że przyjechać nie można. Z ukształcenia był

to istny francuz. W tabaczkowym fraku, w pończochach, roztrzepany i zawsze w dobrym humorze.

Dawano na Kępie jakąś komedyę. Pan Czacki z Boremla grał w niéj rolę ojca, a moja siostra jego córkę. Wszyscy i dzieło i jego przedstawienie chwalili. Pan Czacki odjechał do domu a w tém przybywa jakaś znakomita pani. Opowiadają jéj o sztuce, a ona żałuje, że jéj nie widziała. Cóż robią? Posyłają sztafetę do p. Czackiego, żeby przyjechał grać ową rolę, naznaczając dzień reprezentacyi. Wezwany przybywa zrana, odgrywa wieczorem swą rolę i po balu do Boremla wraca. To mi przypomina także, że p. Wincenty Krasiński, przebrany za hiszpana w białym atłasowym stroju, z drugim kawalerem, zdaje mi się Zawiszą, przebranym za maura, wieczorem opuszczają Warszawę, stają zrana w Puławach i prosto udają się na salę Białą, gdzie właśnie śniadano. Tam nic nikomu nie rzekłszy, jeden drugiemu rzuca rękawicę i rozpoczyna się walka z wielkiém ukontentowaniem przytomnych.

Jak odbywaliśmy nauki nasze, teraz już tego nie pomnę. W łacinie tylko p. Laville zastąpił Groddek, który starał się także w uczniów swoich wszczepić greczyznę, ale usiłowania jego nie wielkim cieszyły się skutkiem. Przez ten czas byłem dwa razy w Bardyowie, a raz w Lubieniu, przez całe lato i część jesieni, a z listów matczynych, które mi z téj epoki pozostały, widzę, że ciągle nas używano do fet, komedyi, spacerów, przejażdżek, tak że ta edukacya więcéj się zasadzała na praktyce jak na teoryi. Przysłuchiwanie się i branie udziału w towarzystwie osób wysokiego wykształcenia miało korzystny wpływ na rozwój umysłowy.

W r. 1803 miałem już lat czternaście i zaczynałem się wraz z rówiennikami przyczepiać do młodzieży starszéj. Znajdowało się między nami kilku, niby to amatorów literatury. Stanowili to kółko: Bobowski, Fredro, Białopiotrowicz i ja. Schodziliśmy się około szóstéj wieczorem w jesieni i zimie do Fredry na herbatę. Tam przegryzając ten trunek tortem, słuchaliśmy przekładów Fredry z tragedyi Rasyna, nad którémi wspólnemi siłami mozoliły się nasze mózgownice. Wiersze na wszystkie boki analizowano i poprawiano, co jednakże nie wydało pożądanego rezultatu. Andromacha, Brytannikus i Fedra pozostały w rękopismach, a potomność wcale na tém nie poniosła straty.

W tym czasie zaczął bywać w Puławach anglik Pohlen. Jeździł on z żokejem po Europie karyklem odkrytym, własną parą koni, w towarzystwie żony, z domu Gascogue, córki jenerała, zostającego w służbie rosyjskiéj, a celem tych podróży było podratowanie majątku własnego, bardzo nadwerężonego. Oryginał, jak zwykle ci wy-

spiarze, ale jak na anglika trzpiot i wesoły. To też jak raz w towarzystwie puławskiém zasmakował, prawie co rok po kilka miesięcy tu przebywał. Człowiek młody, przystojny, ślicznie tańcował. Żona jego także bardzo ładna i przyjemna osoba. Liberyą jego stanowiły białe aksamitne fraki, szafirowe kamizelki i spodnie — ubranie niezwykłe u nas, ale się dobrze wydawało. Skończył życie, płynąc okrętem wzdłuż wybrzeżów Baltyku pod Memlem, przez rozbicie się statku. Żona zaś jego osiadła w Anglii i żyła jeszcze w 1833 r. Ów pan Pohlen, jadąc raz z Berlina do Puław, miał sobie powierzonych kilkanaście słoików angielskich pikli, które księżna Ludwika Pruska, księżnie Czartoryskiéj przesyłała. Przy obiedzie, skoro podano sztukę mięsa, anglik odzywa się:

— *Princesse, je vous apporte une douzaine de pots des pickles de la part de la Princesse de Prusse.*

Rozkazano przynieść słoiki i ustawiono je na stole. Każdy zupełnie był oklejany kartami tytułowemi. Czytają naprzód gatunki, późniéj wyjmują korki, ale każdy słoik okazuje się próżny.

— *Helas!* — rzekł na to z zimną krwią Pohlen — *c'est visible, que j'en ai trop gouté.*

Inną razą przybył przeziębnięty, zakatarzony i z mocnym kaszlem. Sam więc z danego mu apartamentu nie wyszedł, tylko żonę przysłał do salonu. Gdy się o stanie zdrowia jéj męża dowiedziano, natychmiast posłano doń doktora Goltza, ojca. Był to także w swoim rodzaju oryginał. Niski, pękaty, po francuzku podług starożytnéj mody noszący się, łysy, z długim harcapem. Dobry i praktyczny doktór, tylko w ważnych wypadkach dający lekarstwa, które we własnéj apteczce, przy pomocy służącego Trojańskiego przyrządzał. Odwiedzając pacyentów przesiadywał u nich po parę godzin, dziwne androny prawiąc, które chorego w dobry humor wprowadzały. Wychodząc miał zwyczaj mówić: — ja ci dam coś. — Czasem to *coś* było lekarstwem, najczęściéj jednak jakimś specyałem, przez panią Hagen, zarządzającą jego kuchnią, przyrządzonym. Teorya jego lekarska polegała na tém, że chcąc w Polsce być zdrowym, nie należy używać aptek i doktorów, ale dwa razy w roku porządnie się upić. Raz w maju, zamiast kuracyi wodami mineralnemi, a drugi raz w październiku, dla uniknięcia katarów, pleurów i chorób zapalnych.

Owóż Goltz, obejrzawszy pana Pohlen, powiedział mu:

— Połóż się i napij letniego ponczu dla wzbudzenia transpiracyi.

Pohlen obznajomiony ze zwyczajami puławskiemi posłał miejscowego lokaja do marszałka, żądając ponczu. Marszałek myśląc, że chce odwiedzających częstować, posłał mu wazę, w któréj było ze dwadzieścia cztery szklanki. Pohlen nie zaląkł się téj dozy, ale po-

łożył się w łóżko i rozpoczął kuracyą obfitemi libacyami. Tymczasem księstwo otrzymawszy od Goltza relacyą o stanie chorego, postanowili go odwiedzić. Przychodzą do oficyny, w któréj mieszkał, i zastają go pijaniusieńkiego, tańcującego z zataczaniem się w szlafroku po pokoju.

— *Que faites vous, M. Pohlen?* — pytają.

— *J'aide à exciter une transpiration* — była odpowiedź.

Okazało się, że anglik całą wazę ponczu sam jeden wypróżnił.

Co do Goltza, był on w młodości lekarzem u księcia Jabłonowskiego, ojca księcia Stanisława, pana majętnego i rozrzutnego. Lubił te czasy zawsze wspominać i zawsze go one w dobry humor wprawiały, ale że w opowiadaniach swoich zwykł był egzagierować i prawił nieraz duby smolone, przeto mu powszechnie nie wierzono. Miewał téż często swoje kaprysy: i tak, choć zwykle bezinteresowny i leczył wszystkich darmo najczęściéj własnemi lekarstwami, raz, kiedy niebezpiecznie zachorowała księżna marszałkowa Lubomirska, nie chciał inaczéj przejechać czterech mil, oddzielających Łańcut od Sieniawy, póki mu nie przysłano tysiąc dukatów. —Bogata—mówił—chce żyć, niech za ubogich płaci. Jadał zawsze u siebie, bardzo smaczne potrawy, które mu przyrządzano, i na nie konwalescentów zapraszał, mówiąc: tobie już lekarstwa nie pomogą, tylko dobre żywienie.

W innym rodzaju był pierwszy sekretarz księcia, pan Skowroński. Ten między innemi miał w tym czasie dwa szczególne zdarzenia. Był wówczas słynny rabuś Bogusławski. Ten przez niesłychane dowody zręczności i śmiałości popełniał liczne kradzieże, a przez rozległe z towarzyszami związki, zawsze zdołał uciec z więzienia, ile go razy pojmano. Raz wpadłszy do Puław, zaszedł do mieszkania Skowrońskiego. Otworzył jego biurko, poprzeczytywał różne korespondencye i wziął tylko sto dukatów, choć pieniędzy było znacznie więcéj. Na biurku zostawił kartkę do Skowrońskiego téj treści: Dziwi się mocno, że sekretarz księcia, posiadający rozmaite jego tajemnice, tak mało jest dbały o korespondencye jemu powierzone, iż je można z łatwością znaleść i odczytać, jak on to uczynił. Żeby mu dać naukę i ukarać za tę nieostrożność zabiera mu sto dukatów.

Kiedym mieszkał w r. 1811 w Lublinie, po raz może dwudziesty Bogusławskiego owego schwytano. Więzienie jego urządzono ze szczególną troskliwością, aby znowu nie uciekł. Kurytarz główny opatrzono dwoistemi drzwiami, z których jedne żelazne na rygle, tak jak okna były zamykane. Te ostatnie opatrzono dubeltową kratą i zamurowano tak, żeby człowiek przez otwór przecisnąć się nie mógł. Bogusławskiemu okuto ręce i nogi i prócz tego postawiono

szyldwacha pod jego oknem na dole, aby ciągłe dawał na niego baczenie, a inspektor codzień obowiązany był celę jego rewidować. W ogrodzie Wizytkowskim, w którego klasztorze znajdowało się to więzienie, stał mały domek na skład naczyń ogrodowych przeznaczony. Pewnego wieczora, około godziny 10 w lecie, straż ogniowa daje znać, że domek ten się pali. Pośpieszono na ratunek i choć buda ta spłonęła, z powodu odległości od budynków obszerniejszym pożarem nie zagroziła. W czasie tym jednak Bogusławski zdołał przepiłować kajdany, rozwalił mur w oknie, wyłamał kraty i uciekł, żelaznym drągiem szyldwacha ogłuszywszy. Późniéj go znowu złapano i osadzono już nie w Lublinie, gdzie miał dużo spólników, ale w Chęcinach, i tam życia dokonał.

Drugi wypadek, jaki miał miejsce z panem Skowrońskim, był następujący. Posłano go do Gdańska dla odebrania 11,000 dukatów. Sumę tę uzyskawszy, w baryłkę ją zapakował, w koszyku w nogach swoich umieścił i do Puław dążył. I on i służący zasnęli tak mocno, że dwie stacye przespali i dopiéro na trzeciéj Skowroński przebudziwszy się dostrzegł, że baryłki nie masz. Wszelkie poszukiwania były daremne i do Puław bez pieniędzy wrócił. Parę lat minęło i już zapomniano o téj stracie, kiedy książę odebrał list od słynnego Magieta, rabina w Kozienicach, uchodzącego u żydów za świętego, w którym mu on donosi, że zguba się odzyskała i że można ją odebrać pod następującemi warunkami: 1) że książę złodziejom wybaczy; 2) że będzie się kontentował odzyskaniem tylko 10,000 dukatów, gdyż jeden uroniono; 3) że dopytywać się nie będzie rabina, jakimi sposobami kradzież tę odkrył. Książę na warunki przystał i pieniądze mu wypłacono. Wtedy książę postanowił sam osobiście odwiedzić Magieta.

Wraz z p. Ciesielskim byłem wizyty téj świadkiem. Kozienice wówczas inną jak obecnie miały postać. W Długiéj ulicy od strony Puław, stały jeszcze porządne domki mieszkalne fabrykantów broni, których Stanisław August tutaj sprowadził. Rynek ogromny, jakby w najcelniejszych miastach otaczały karczmy przez architekta Kublickiego stawiane, ale do właściwego użytku nie zdatne. Okna bowiem miały potężne, a izby obszerne a wysokie, w zimie nie były możliwe do ogrzania. Reszta miasta, prócz pałacu królewskiego, który zamykał rynek, była to mięszanina domków drewnianych, szczupłych, brudnych, błotniste tworzących ulice, w których komunikacye utrzymywano za pomocą porozrzucanych dylów.

Za przybyciem naszém do Kozienic w licznéj asystencyi, gdyż książę nigdy nie puszczał się w drogę bez orszaku, udaliśmy się do mieszkania Magieta, którego domek znajdował się w pośród brud-

nych uliczek. Za nami postępował tłum żydów, ze znakami największego zadowolenia, że *feldzeugmeister* wojsk austryackich i taki wielki potentat idzie odwiedzać ich świętego. Radość tę wyrażono najrozmaitszemi sposobami. Jedni krzyczeli, drudzy śpiewali, inni tańcowali. Żydówki i bachory płakały ze szczęścia. W pośród tego hałaśliwego zgiełku weszliśmy do Magieta, wprost z sieni do dużéj izby, gdzie za przepierzeniem leżał święty na piramidzie betów. Byłto staruszek, mający około 90 lat wieku, całkiem biało ubrany, z białą jak śnieg brodą, sięgającą mu aż do pasa. Twarz miał drobną, chudą i pełną zmarszczek. Książę przybliżywszy się do łoża, zaczął mówić po polsku. Magiet kiwnął głową, ale nic nie odpowiedział. Książę myśląc że po polsku nie umié, użył języka niemieckiego — toż samo milczenie. Odezwał się więc feldmarszałek po hebrajsku, bo i ten język znał bardzo dobrze, ale znowu ten sam skutek. Widząc więc niepodobieństwo wyciągnięcia od świętego choćby najmniejszego słowa, wróciliśmy do karczmy na obiad. Odprowadzały nas znowu jak poprzednio tłumy żydów, a ich entuzyazm teraz manifestował się także i na cześć rabina.—Nasz Magiet, co to za mądry—powtarzano ciągle, i nie wiem, czy to uparte jego milczenie za dowód mądrości brano. W każdym razie był to człowiek dobroczynny. Z całego kraju toczyły się ciągle do Kozienic bryki z ofiarami dla świętego. On je wszystkie przyjmował, a co piątek, co tylko wpłynęło, między ubogich rozdawał. Oprócz datków pieniężnych ofiary te wynosiły od 80 do 200 korcy zboża tygodniowo.

Później już dowiedziano się, że pieniądze te widząc podróżnych śpiących, wykradł pocztylion i w krzaki je schował. Następnie porzucił służbę, ożenił się i tysiąc dukatów wydał na założenie gospodarstwa. Lecz jakim sposobem Magiet do niego trafił i jak resztę odzyskał, to pozostało tajemnicą.

W lecie 1803 r. książę wybrał się tak jak zwykle do Bardyowa, a marszałek Potocki, moja matka i wiele innych osób towarzyszyliśmy księżnie do Lubienia. Ja i młody Goltz, jako lekarz nadworny, podróż tę i tam i nazad odbyliśmy konno. Księżnę wtenczas opanowała pasya łowienia ryb na wędkę — rozrywka, która i mnie wielce zajmowała. Miałem doskonałe angielskie wędki, te więc, jak i zapas glist, starannie z ziemią w słoikach pielęgnowanych poszły naprzód z furgonami.

Lubień, wieś tak jak wszystkie ruskie, bardzo jest osiadła, a należała do arcybiskupstwa lwowskiego, którego pasterzem a zatém i jéj posiadaczem był podówczas ksiądz Kicki, brat pana koniuszego koronnego, i Augusta, starosty krasnystawskiego, zamianowanego

późniéj kasztelanem. Jechaliśmy zwykłym traktem na Zamość, Tomaszów, Rawę, Żółkiew i ztąd na Janów do Lubienia.

W Żółkwi w kościele z ciekawością oglądałem obrazy pędzla d'Altamont, przedstawiające zwycięztwo Jana Sobieskiego i nagrobki familii Daniłowiczów i Stanisława Żółkiewskiego.

W Lubieniu są wody siarczane, łazienki przy źródle i ogródek, wtedy tylko co założony. Na drugim końcu wsi cerkiew, a naprzeciw niéj karczma, taka jak wszystkie karczmy polskie. Ulokowanie sie przy podobnym niedostatku budowli niełatwe. Zajęto całą karczmę dla księżnéj, pani Matuszewiczowéj i mojéj matki. Ze stajni za pomocą dywanów utworzono salon, w którym dawano obiady, wieczerze a nawet i fety. Reszta towarzystwa rozlokowała się po chałupach włościańskich, sypiając na sianie i obywając się bez stolików i stołków.

W Lubieniu cały dzień odzywały się albo dzwony cerkiewne, albo głos sąsiadki naszéj pani Dydyńskiéj w ruladach na wszystkie gamy. Ta pani w istocie dobrze śpiewała, a muzykę lubiła namiętnie. Nie była już wtedy piérwszéj młodości, chuda, czerniawa i ospowata, ładną tylko miała kibić. Jak w towarzystwach nieuchronną było rzeczą słuchać mnóstwa aryj i aryetek, które się z jéj gardła, jak z rogu obfitości sypały, tak u siebie ciągle odbywając studya, uszy nasze nielitościwie męczyła.

Są na świecie rozmaite w obu płciach nawyknienia i nałogi. Tak w Puławach bywała pani Chrzanowska, osoba majętna, która przywiązała się do baranka, czy owieczki, z takiem zamiłowaniem, że się stał nieodstępnym jéj towarzyszem. Woziła go z sobą w karecie, mieszkał w jéj sypialni, a skoro tylko nie miała go przy sobie, porywały ją o los jego macierzyńskie niepokoje i porzucała towarzystwo, aby bieżéć do niego. Pani Olędzka znowu, ta co późniéj w Dreźnie z mężem osiadła, miała gęś, z którą rozłączyć się nie była w stanie. Wodziła ją sama na wstążeczce na paszę i całe życie nią tylko zatrudniona była.

Uchodzą anglicy za oryginałów, ale właściwie powiedziawszy, nie brakuje ich w żadnym narodzie, a u nas pod koniec XVIII w. było ich pod dostatkiem. Pan Uniatycki naprzykład, z obawy aby oddech ludzki nie zarażał otaczającéj go atmosfery zbytnią ilością azotu, w kościele swym parafijalnym modlił się pod ogromnym kloszem szklannym, a w pokojach swych siadywał, przedzielony od familii ścianą szklaną. Pan Dulski, o którego usterkach nawet i w pamiętnikach trudno opowiadać, miał ogromną służbę z samych pięknych dziewcząt wiejskich dobraną, a usługa odbywała się w taki sposób, jak to opowiedziano w książce *Moyen de parvenir*, ulubionem

dziele królowéj szwedzkiéj Krystyny, które jéj piękna hrabianka Sparre czytywała. A cóż dopiéro ów pan starosta Kaniowski, który buzdyganem uderzywszy żyda i zabiwszy go, gdy od wojewody Żaby otrzymał za to wymówkę, kazał mu ich zawieść całą furę, oddając za jednego. Podobnież ów Brzostowski, starosta puński, o którego pustotach dziś jeszcze opowiadają w Dreznie. Kiedy mieszkał w hotelu Polskim na *Schlossgasse*, na dole, najął przeciwległe po drugiéj stronie ulicy pokoje i wywierciwszy dziurki w ścianach, poprzeciągał sznurki, za pociągnięciem których wywracał przechodzących. Gorzéj jeszcze dał się we znaki, kiedy wieczorami dzwonił do drzwi i wyglądających przez lufciki Niemców osmarowywał smołą.

Owóż i w Lubieniu tego lata było dwie osobistości w podobnym guście: pan Grabianka i senator Iliński.

Pierwszy illuminat, swedenborgista, długo we Francyi przemieszkując i na francuza prawie przerobiony, posiadał w całym układzie swoim coś osobliwszego. Mistyczność w mowie, nadzwyczajna ruchliwość i szczególne przysłowie: *jak się zowiesz*, co parę słów powtarzane, czyniły go odznaczającym. Lubił wino burgundzkie i znajdował, że to, które mu podawano u księżnéj, ma jak się zowiesz, *un délicieux bouquet*. Raz u stołu chciał, aby mu tego wina podano, wola więc na usługującego kozaka—„Słyszysz, jak się zowiesz“—„Wasyl, J. W. panie,“ odpowiada sługa. P. Grabianka nie był cierpliwy. Widać że to zaleta iluminatom nie potrzebna, a kiedy się zbytnio rozgniewał, zwykle nic więcéj jak swoje „jak się zowiesz“ powiedzićć nie umiał. Powtarza więc bez przerwy swoje przysłowie, a kozak kłaniając się, daje jednę odpowiedź: „Wasyl JW. panie.“ Wszyscy się śmieli, kozak uciekł i pan Grabianka, dopiéro wysapawszy się, zdołał powiedzićć, że mu o wino chodziło.

Senator Iliński był to człowiek bardzo dumny. Posiadał na Wołyniu dobra Romanów, którym nazwę tę dać miał w tym celu, żeby ona znaczyla *Roma nova*, to pewna, że w tym nowym Rzymie prowadził życie z przepychem, nie odpowiadającym zasobom majątkowym. Prócz licznéj muzyki, utrzymywał trupę aktorów włoskich, kupił słynnego ogiera angielskiego Dyomeda, za którego zapłacił 10.000 dukatów. Koń ten jadał w marmurowym żłobie, a sztychy wyobrażające jego kształty i rysy po całym świecie rozsyłano. Temi rozmaitemi nadużyciami majątek mocno nadwerężył.

W Lubieniu, na swoje imieniny, umyślił w ogrodzie obok łazienek wyprawić fetę. Była więc naprzód pod namiotem herbata, lody, frukta, ciasta i tym podobne przysmaki. Muzyka rozmaite utwory przygrywała, a skoro się zmierzchło, senator zprzed oczu gości zniknął, ale w jednéj chwili ogródek tysiącem świateł zabłysnął. Gra-

bianka *jak się zowiesz* powstał i zaproponował księżnéj i towarzystwu, żeby zwiedzić iluminacyą. Ogródek, jak już mówiłem, był mały i młodemi krzaczkami zapełniony. Lecz czemuż nie podoła ludzka myśl, wytrwałością i funduszami wsparta? Przedstawiają się naszemu oku majestatyczne dęby, stuletnie świerki, a wszystko to na płótnie pomalowane i bogato oświetlone. Tu herby hrabiów Ilińskich z lampionów ułożone, owdzie hrabiowskie mitry, wyobrażenia orderów, ktoremi był zaszczycony, cyfry i gdzieniegdzie skromny napis *vivat*!—nie wiadomo czy dla gości, czy dla gospodarza przeznaczony. Błądząc po owym labiryncie, nagle stajemy obok zasłony. Muzyka daje się słyszéć, zasłona spada i okazuje się, że to będzie teatralna reprezentacya. Afiszów nie rozdano, aktorów jeszcze nie widać, będzie to więc opera, komedya, krotochwila, balet? każdy ginie w domysłach. Nikt jednak nie zgadł i siurpryza była zupełna. W pierwszym akcie cesarz Paweł dowiaduje się od Ilińskiego o śmierci Katarzyny, a gdy pyta jakiéj nagrody chce za złożone powinszowania, on odpowiada, że prosi o zwolnienie więźniów polskich. Iliński w szambelańskim mundurze sam grał tę rolę. W 2 akcie cesarz Paweł odwiedza Kościuszkę i marszałka Potockiego, który był pomiędzy spektatorami na tém przedstawieniu.

Z Lubienia powracaliśmy znowu na Zamość i tu część towarzystwa została z księżną, oczekującą na rozwiązanie swéj córki, pani Stanisławowéj Zamojskiéj. Urodziła się córka i nazwano ją Celina. Późniéj wydana za Tytusa Działyńskiego. Byłem świadkiem jéj chrztu, jak i małżeństwa. Chrzest obchodzono suto i chociaż pałac w Zamościu co do mebli i ścian w zupełném był zaniedbaniu, za to kuchnia, cukiernia, służba, powozy, konie nic do życzenia nie pozostawiały. Cały dwór ze służby zagranicznéj złożony—anglicy i francuzi do składu jego należeli.

Bawiąc tam blizko dwa tygodnie, zrobiliśmy wycieczkę do Zwierzyńca, ulubionego mieszkania starszego brata, po którego bezpotomném zejściu Stanisław Zamojski ordynacyą odziedziczył. Pan ten był melancholik, pojął za małżonkę córkę pana Granowskiego, któren po księciu kanclerzu Czartoryskim starostwo Przybysławickie otrzymał, a w Lublinie podczas trybunałów niesłychane dokazywał rzeczy. Pomiędzy innemi przy pochodniach wyprawiał po ulicach przejażdżki w stroju Adamowym. Klemensów zaczęto dopiéro stawiać, a budowniczy francuz plany do pałacu i ogrodów ułożył i fabryką zawiadywał. Stanisław Zamojski sprowadził z Anglii i Paryża meble i to wszystko w pakach oczekiwało na wykończenie gmachu.

Zwierzyniec odpowiadał zupełnie charakterowi ówczesnego ordynata. Zewsząd otoczony odwiecznym sosnowym lasem, wśród piasków, nad las także nie miał innego ogrodu. Dwór stanowił drewniany dom bez piętra i kilka oficyn dla administracyi ordynackiéj, która dotąd tam przesiaduje. Część tych budynków zamieniono wkrótce na browar, wyrabiający porter, pierwszą tego rodzaju fabrykę w kraju, bo u Paca w Dowspudzie późniéj powstała. Na dziedzińcu od frontu pałacu staw, a na nim wysoka mała kapliczka, jedliną obsadzona. Wszystko to raczéj wyglądało na klasztor Kartuzów, niż na mieszkanie tak znakomitego obywatela.

Samo miasto Zamość, wówczas pięć razy większe i ozdobniejsze jak teraz, otoczone wałami, stanowiło niby fortecę, ale przyznać należy, że ta w zaniedbaniu zupełném zostawała. Nie orzeczono jeszcze podówczas do kogo istotnie i forteca i utrzymanie jéj należéć mają. Ordynaci utrzymywali, że jest ich wyłączną własnością i rząd Austryacki widać nie przywiązywał do niéj wielkiéj wartości. Upadały więc mury i osypywały się wały. Za fosami rozciągały się pięknie zabudowane przedmieścia, tu bowiem był cyrkuł, siedlisko starosty, kas i władz rządowych od r. 1772. Przedmieścia te w wojnie r. 1809 spalono i odtąd już więcéj nie powstały. Sam rynek w guście miast włoskich stawiamy, w kształcie czworoboku, w którym kamienice, tak jak w Padwie arkadami opatrzone, pozwalają w czasie deszczu lub skwaru pod osłoną cyrkulować ludności. Ratusz, jego wieża, a osobliwie zewnętrzne, prowadzące do niego schody, są istotnie bardzo piękne. Widać, że Jan Zamojski, założyciel miasta, akademii padawskiéj dawny wychowaniec, architekturę tę zaprowadził. Podówczas istniała tu już wprawdzie nie akademia ale szkoła wyższa, dobrze zaopatrzona w fundusze i w profesorów, która ściągała tu nie tylko uczniów, ale i ich rodziny. Wskutek tego Zamość współzawodniczył z Lublinem i równą z nim posiadał ludność. Akademia miała piękną bibliotekę, w któréj znajdował się najpiękniejszy, jaki widziałem rękopis Długosza Życia arcybiskupów Gnieźnieńskich na pargaminie, ozdobiony malowaniami, przedstawiającemi tych pasterzy i ich herby. Rękopis ten, jak i wiele innych rzadkości bibliograficznych przeszły na własność Ordynatów. Kościół katedralny (!) w Zamościu, w którego dzwonnicy jest dzwon bardzo wielki i z głosem donośnym, zawiera niejakie pamiątki, pomiędzy któremi celuje grób Jana Zamojskiego. Jest to płyta, na któréj literami brązowanemi napis bardzo krótki, bo zawierający tylko te wyrazy: *Hic situs est Johannes Zamoyski.* Najwłaściwszy to napis dla wielkiego męża, boć pochwały nieodpowiadałyby jego zasługom. Spoczywa tu także Szymon Simonides Będoński. W ołtarzu bocznym jest pyszny obraz

Zwiastowania N. M. P. Niektórzy sądzą, że to dzieło Rafaela. Nie dzielę tego zdania, bo korona N. Panny tak pracowicie wykończona, iż zdala zdaje się jakoby do obrazu była przybita. Złudzenie jest tak wielkie, że ja sam drabinę kazałem przystawiać, aby się przekonać, że jest malowaną. Podobnie szczegółów Rafael nie wykończał i zdaje mi się, że to dzieło szkoły weneckiéj a najprędzéj Bellina. Koloryt wówczas był arcy żywy, ale teraz po upływie lat pięćdziesięciu znacznie ucierpiał.

Przy chrzcie panny Celiny wstawiono beczkę wina węgierskiego i tę wypiliśmy na jéj weselu. Ale było wtenczas już tak stare, że musiała już liczne rachować lata, kiedy ją stawiano.

Za powrotem do Puław pozachodziły niejakie zmiany w towarzystwie, które się na zimę zebrało. Przybyła tu mianowicie panna Laura Potocka, córka jenerała brygady Jana Potockiego, dotąd wychowywana w Wiedniu wraz z księżniczką Sydonią de Ligne, późniejszą małżonką pana Franciszka Potockiego. Dowcip jéj i wesołość w potocznem życiu, nadały naszemu towarzystwu wiele uroku i pomiędzy przybyłą a moją siostrą zawiązała się serdeczna przyjaźń. Korzystając z jéj dobroci, chciałem się wyćwiczyć w języku niemieckim i zaczęliśmy czytywać razem Schillera *Maryą Stuart* i *Narzeczoną z Messyny*, ale niestety—nie wielkie w téj nauce postępy uczyniłem.

(d. c. n.)

PIONIEROWIE GOTYCYZMU W POLSCE.

ARCHITEKTURA CYSTERSKA I WPŁYW JÉJ POMNIKÓW NA GOTYCYZM KRAKOWSKI XIV WIEKU.

Gdyby prawdziwém było zdanie, że w rzeczach literatury i sztuki to jest wielkiém, co się podoba, świat miałby o wiele mniéj pracy i znaczna liczba współczesnych talentów, pouczających o prawach doskonałośoci, niepotrzebną-by się okazała. Powszechne głosowanie, ów niedawny ideał, mający dać najrzetelniejsze świadectwo o woli i uczuciach narodu, byłoby w sprawie sztuki sądem jedynie pewnym, bo opartym na sumie podobań i zastąpiłoby zadanie tych jednostek, które się tu za sędziów podawać usiłują. Ale jak zdania ludzi i ich przekonania muszą mimowolnie w sprawach publicznych godzić się z danemi okolicznościami i idą za siłą, tak w rzeczach sztuki, pomimo pozornie całéj wiary w zasadę ową podobania się, w wyrzeczeniu sądu o doskonałości dzieła, mimowolnie zwracać się ku pewnym wybitnym osobistościom i na ich zdaniu polegać będą. Siłę tę, która się w ten sposób narzuca powszechnemu głosowaniu, nietylko jednak stanowią owe wybitne jednostki, ale przynosi ją czas i osoby w nim wyrosłe. Jakże inaczéj wytłómaczyć, że to, co dla ogółu pewnéj epoki było pięknem w sztuce i ostatnim kresem jéj doskonałości, może dla następnéj wydać się smutném i jałowém; arcydzieła tamtych czasów, teraz ludzie pominą milczeniem. Każda epoka miała swoich wielkich mistrzów słowa, dłuta, pędzla, którzy entuzyazmowali współczesnych; zdawało się, że daléj sztuka iść nie może, a jednak nowe czasy przyniosły piękno odmiennego kierunku, przy którém bladło poprzednie. Czyż naprawdę to ostatnie było doskonalszém, któż tu osądzi? miałożby braknąć światu właściwéj miary sądu po za kaprysami epok? Skoro sąd zależy od chwili, w któréj go wydano, i osoby zdanie wypowiadającéj, skądże się biorą arcydzieła

sztuki, które zawsze są doskonałemi i nieśmiertelnie są piękne? Oto jest zadanie tych jednostek, które mając rzetelne poczucie warunków piękna téj lub owéj sztuki, jéj wymogów i natury, stojąc po za granicami panujących pojęć piękna, narzucają światu swój sąd. Nie zawsze jednostki te będą panami téj siły w sprawie sztuki współczesnéj; siła podobania się zwyciężyć tu nieraz musi wymagania warunków doskonałości, ale pozostanie im zawsze spokojny sąd o dziełach przeszłości. Z głębokich studyów tych ostatnich wyniknie znajomość warunków doskonałości; na pomnikach, które przeszły korzystnie sąd pokoleń znawczych, wyuczy się jednostka odróżniać dzieła sztuki, których piękność nie prędko zagaśnie od tych, które poklask pewnéj epoki zyskują. Są więc doskonałości dzieł sztuki chwilowe, przemijające, które porywają współczesnych, dla których przedstawiają się jasno, zrozumiale; są piękności nieśmiertelne, które dla ogółu zrozumiałemi od razu nie będą, bo przemawiają językiem odmiennym. Zetknięcia się tak bliskiego, jak dziś, z utworami sztuki niebywało nigdy, ale téż nigdy nie umiano z miłością tego, co rozumiemy, co w duchu wieku jest, połączyć z poszanowaniem dla niezrozumianego od ogółu, co potrzebuje objaśnienia. Mówimy tu o dziełach przeszłości, o arcydziełach sztuki. Dowód to, że nauczycieli więcéj jak dawniéj a duch czasu mniéj krępuje sąd, gdyż znajomość warunków doskonałości zdaje się być powszechniejszą. Wolno téż nam sobie powiedzieć: że choć jesteśmy bezstylowém pokoleniem, dał nam Bóg czystsze oczy, niżli tym co stylowo zapisawszy się w dziejach, niewidzieli nic więcéj po nad swoje pojęcia piękna.

Przyszedłszy raz do przekonania, że sztuka dzisiejsza jest tym gmachem, na którego budowę składały się przeszłe wieki — niejednéj wskazówki w sądzie szukamy, cofając się wstecz do źródła. Wierzymy dziś silnie, że rozwój każdéj ze sztuk pięknych jest jakby potokiem, który z jednego wypływając źródła płynie bez przerwy dopływając aż ku nam. W drodze czasem zatrzyma się, zdaje się na chwilę, że wody jego wyschły, więc bieg jego ginie; jakiś jednak drobny kropelkowy strumyczek niedostrzeżenie drogę sobie robi, aby rozbudzony wytrysnął potężniejszym prądem. Jeżeli wspaniałemi są chwile, gdy strumień ten burzy się, pędząc i roztrącając wszystko po drodze — to chwile pozornéj ciszy śledzi cierpliwie badacz, bo wie, że one życie niosą. W potoku sztuk pięknych znajdą się epoki gieniuszów, których dzieła dziś nas budzić będą jak świeże objawy piękna— wskazywać nam będą drogi, oświecać źródła artystycznéj wiedzy; czasy, w których objawy sztuk zaledwie dostrzedz się dają, objaśnią genezę wielkich epok a te, które na rodzinnéj wyrosły niwie, będą przedmiotem narodowéj dumy. Jednostka, któréj przy-

padło wydawać sąd o dziełach sztuki wyższy po nad chwilę obecną, oglądać się ciągle po za siebie musi, by z pośród przemijających pojęć piękna wyróżnić te, do których miara warunków rzetelnych przyłożyć się daje. To poszukiwanie praw rozwoju sztuki stworzyło nową umiejętność—*archeologią sztuki*, w której na tle epok wystąpią dzieła piękna; z tego wyniknie pogląd na współczesne utwory niezamącony duchem wieku. Owa to umiejętność ofiaruje bezstylowemu pokoleniu skarby przeszłych stylów do użytku, pouczając o warunkach kierunków rozlicznych piękna. Historya sztuki chłodzi entuzyazm ku niezasługującym nań utworom chwili—rządzi zdaniem kierowników opinii. Znanym też jest ten postęp, jaki przynoszą dzisiejsze studya pomników sztuki przeszłości—wtajemniczenie się w ducha dzieł piękna nie jest też bez korzyści dla sztuki dzisiejszéj. W miejsce niedawnéj uczoności antykwarskiéj i suchego rozwiązywania zagadek sztuki, dla której publiczność musiała być obojętną i lekceważyć to, co nie leżało w mierze jéj sądu i jéj upodobania, posiadamy badaczy z ciepłem, a dzięki nowéj szkole, sztuka przeszłości przestaje być martwą literą dla ogółu. Przesądy panujące z obu stron u uczniów i nauczycieli usunęło gorętsze traktowanie spraw przeszłości—uczony przestał być pedantem nieposiadającym uczucia piękna, ale przestawszy zadziwiać erudycyą, szuka genezy piękna dla pożytku na dzisiaj.

Od chwili, jak świat z téj strony Alp schylił głowę przed majestatem włoskiéj sztuki odrodzenia, aż do końca zeszłego niemal wieku, Europa nie miała innéj miary dla sądu sztuk plastycznych, jak miarę włoską. Z wysokich horyzontów zeszła sztuka nieznacznie na drogi upadku. Zatraciła poczucie warunków swoich architektura, malarstwo usiłowało zastąpić się dekoracyą a rzeźba daleko odeszła od wzorów renesansu, ale gust włoski jak mara zaciężył nad światem; sztuka staje się produktem nie rachującym się ani z uczuciami narodowemi, ani z innemi pojęciami piękna przeszłości. Długie usiłowania średniowiecza na polu sztuki, odrębne szkoły północnéj Europy, szkoły narodowe wyrosłe na rozmiłowaniu się w znamionach swojskich, poszły też w poniewierkę. Dowiedzieliśmy się o nich niedawno dzięki odrodzeniu literatury i sztuki, szkoła romantyczna drugiéj ćwierci bieżącego wieku ma w tém zasługę.

Jeżeli równouprawnienie wszelkiego rodzaju piękna w sztukach plastycznych podniosło znaczenie zabytków średniowiecza, to odrodzona umiejętność badawcza stosuje się równie chętnie do pomników klasycyzmu, jak epoki odrodzenia, starego wschodu i wieków średnich; zagląda w łono ziemi, wydobywa ztamtąd choćby najdrobniejsze objawy sztuki i zapisuje w księgach historyi sztuki. Nie jest

to już amatorstwo lubujące się w ciekawych okazach, ale nauka seryo poszukująca praw rozwoju sztuk, badająca zarówno najdrobniejsze uderzenia pulsu, którym objawia się życie ich, jak wielkie światła, które olśniewały majestatem arcydzieł. Praca nad średniowieczem krajów z téj strony Alp, studyowanie chwil, w których z resztek wpływów klasycznych i z nieznacznych pierwiastków sztuki barbarzyńców, wyłonił się początek średniowiecznego piękna, będzie tą, któréj uczeni zeszłych wieków nie tknęli, a dostala się uczonym w czasach dzisiejszych, które umiały odnaleść metody, rozgrzebać zakryte tajemnice twórczości artystycznéj nieznanych Rzymianom światów. Nie dziw téż, że utworzył się już obszerny dział literatury współczesnéj, przynoszący na tém polu niemały zaszczyt uczonemu światu. Mnożą się badacze specyalnie w téj lub owéj gałęzi sztuki, każdy kąt staréj Europy aż głęboko w granice Azyi wydaje dzielnych pracowników na polu poszukiwań dzieł sztuki a relacye ich zapełniają karty licznych specyalnych publikacyj artystycznych.

Kto raz dotknął się tego natłoku rozpraw, monografij, studyów i traktatów o sztuce średniowiecznéj, temu znane trudności z jakiemi rachować się musi dzisiejszy badacz, który nie gardzi i najmniejszą oznaką sztuki zastosowanéj do ubiorów i sprzętów. Czasy naiwności w sądzeniu o zabytkach średniowiecza minęły, legendy o pochodzeniu tego lub owego pomnika nie dadzą się już stósować tak łatwo a cały aparat naukowy musi być użyty, jeżeli poważne słowo ma się wyrzec, czy o takim *skarbie Michałkowskim*, czy niedawno znalezionéj *srebrnéj szkatułce katedry krakowskiéj*, *o kielichach Dąbrówki* w Trzemesznie lub *Bolesławowskim szczerbcu*. Aparat naukowy do średniowiecza to nie bagatelna sprawa, aby się niém łatwo posługiwać; spoczywa on zarówno w tekstach barbarzyńskich annalistów, jak w zapiskach bizantyńskich i rzymskich pisarzy, w badaniach wykopalisk i rozmaitych technik, w przepisach liturgii wschodniéj i zachodniéj, w porównaniach rozrzuconych pomników. Aparat ten zgromadzony jest w tysiącach rozpraw, w publikacyach kosztownych, nie zawsze badaczowi przystępnych.

Prace te, które przynoszą zaszczyt erudycyi naszych wieków, od ogółu rozumianemi nie są i nie mogą wszyscy pojąć dlaczego to, co zdaniem ich niepięknem jest, co się im niepodoba, tyle zajęcia obudza, niezajmują się téż albo bardzo mało imionami mężów, którzy pracom tego rodzaju oddają się. Ale jest jedna część tych studyów zrozumialsza, bo praktyczny na dziś pożytek przynosząca, to jest ta która odnosi się do zabytków *budownictwa*. Bądź co bądź, tu ogół publiczności pojął, czem są piękności architektury średniowiecza, widokiem nietylko pomników ale utworów nowych w tym cha-

rakterze sztuki wznoszonych. Nie ma jeszcze pół wieku jak uznanie dla arcydzieł architektury romańskiéj i ostrołukowéj zrównoważyło się z dawną czcią dla Vigniolów i Palladiuszów a zaledwie lat 25 jak umiejętność zabrała się do ściślejszych studyów pomników i wyprowadzenia zasad, któremi się kierują. Można przewidziéć, że studya te są na ukończeniu, ale że nie wszystko jeszcze jest jasném, że pozostaje wiele pracy, to najlepszy dowód, że są jeszcze obszary Europy, w których mało na tém polu zrobiono. Bądź co bądź, literatura architektury średniowiecznéj jest dziś nadzwyczaj bogatą. Francya ze swoim Violet-le-Duc'em stoi w tych pracach najwyżéj — po nich idą Niemcy i Anglia.

Jeżeli gdzie zastosować się nie da ów pseudo aksyomat, że *to jest pięknem co się podoba*, to niezawodnie wobec pomników architektury, a że to jest prawdą, to poświadczy zadanie nasze, które ma właśnie pouczyć nas o dziełach, na które dotąd uwagi nie zwróciliśmy, choć u nas są w kraju. Ależ architektura jest z natury swéj trudną do zrozumienia przez ogół, który gotów jéj zaprzeczyć tytułu sztuki, jeżeli nie posiada warunków malarstwa, które stoi dziś jako miara pojęć piękna. Właśnie téż dlatego, że nierozumiemy dobrze warunków architektury jako sztuki pięknéj, pozwolę sobie w krótkich słowach pouczyć czém ona jest w ogóle, a w stosunku do stylów średniowieczą jak się wykształciła.

Jeżeli każde dzieło ludzkie, które podpada pod nasz wzrok, przemawia do nas swą formą i mówi o przeznaczeniu swém, to to, które nas porywa, więzi duszę naszą, przenosi w sferę oderwanych myśli, jest dziełem sztuki. Środki i materyał, jakich użył twórca dzieła, mogą nam być nieznane — obojętne to zresztą — słyszymy tylko głos do nas wołający, głos piękny, który nas wabi. Wrażenie wewnętrzne, mniéj lub więcéj silne, ale przyciągające ku sobie, jest wywołane dziełami, które noszą nazwę *sztuk pięknych plastycznych;* należą do nich przedewszystkiém malarstwo, rzeźba i architektura. Najpoważniejszą, nastrajającą się do najwyższych zadań człowieka, wiążącą się z życiem społeczeństwa, to życie przedłużającą w długie lata, jest niezawodnie *architektura*. W utworach jéj odbija się duch czasu, potrzeby społeczeństwa, wyobrażenia religijne, stopień kultury i stosunki klimatyczne. Dzieła architektury powstają trudem, lat wiele składa tu pracę swą i tysiące robotników, a jednak skończone o trudzie nie świadczą, pokrywa ją lekka szata piękna, przed oczyma stają organizmy jakby rószczką czarodziejską wywołane. Profanowana użytkiem codziennym, spowszedniała ciągłém z nią obcowaniem, wyrasta co chwila arcydziełami, a choć najrealniejsza bo ma do czynienia z prawami statyki, z siłą ciążenia, z warunkami prozaicznemi sto-

sowności do celu, umie środkami czysto idealnemi zyskać potęgę muzyki, posługiwać się malowniczością i posiąść właściwość posągu. Z nagromadzonych kamiennych brył ma wyrość gmach, który ma wszelkie warunki organicznéj istoty, formy składają się na wyrażenie życia organicznego, ciężar olbrzymi tych mas nieprzestrasza bo mistrz umiał formami wyrazić takie elastyczne podpory, zaznaczyć odpowiednim językiem kształtów konflikta sił naprzeciw działających, że w téj równowadze leży życie. Świat podziwia dzieło architektury, ale niezawsze umie sobie zdać sprawę z wad i piękności jego: wszak przyznajemy się łatwo do nieznajomości w tym względzie. Nic trudniejszego jak spotkać się po za pismami specyalnemi z rzetelną krytyką téj sztuki a przecież zdawałoby się, że sztukom pięknym krytyków niebrak. Do krytyki architektury trzeba być powołanym: jako sztuka najpoważniejsza, lekko traktować się nie da. Gotowe śliczne malowidło przedstawić nam może przyroda, pejzaże ożywione stafażami, grupy dorodnych postaci mogą mimowolnie utworzyć obraz czekający na malarza, iżby go powtórzył pędzlem, niejednokrotnie wołamy: co to za posągowa postać. Prawda, że mistrzowstwem będzie, ująć to życie, te prawdę natury na płaskiém płótnie—zamknąć temi czterma liniami, iżby obraz stanowił sam w sobie całość; — nieprzeczę, że i tu praca mistrzów i tradycya wieków składały się na ustalenie warunków malarstwa, by do téj siły twórczéj, co stwarza obrazy jakich niema w naturze, przyjść; ale bądź co bądź, miara sądu o doskonałości dzieł tych sztuk jest w każdym z nas, skoro pierwowzory nieobce a serce odgaduje, co ta muzyka form i barw znaczy. Ale inna rzecz jest z trzecią sztuką plastyczną, z ową architekturą: ona jest czysto ludzkim tworem, nie bierze wzorów z natury, bo owe malownicze skaliste doliny, groty i jaskinie są zbyt bezładne, iżby mogły wyprowadzić z siebie sztukę najwyższego ładu i porządku i jéj dowcipne motywa. Wszystko tu wymyślił i stworzył człowiek a począł pracę w tak odległéj przeszłości, że w piramidach Egipskich, w tém najstarszém swém dziele, odsunęła się ona znacznie od pierwszych niemowlęcych kroków.

Trzy są warunki w każdém dziele budownictwa z natury swéj sobie wrogie, których rozwiązanie w kierunku piękna stanowi o monumentalności; jeżeli to zadanie rozwiąże się w formie nowéj nieznanéj, zdolnéj do wytwarzania dalszego w podobny sposób a jednak z zachowaniem swobody indywidualnéj twórcy, będziemy mieli to co się nazywa stylem. Warunki związane zaś są tak ze społeczeństwem, jego myślami i naturą kraju, że téj szkoły w budownictwie nie stworzy jeden mistrz, ani wymyśli, ale własnością pozostanie epoki, narodu i jego kultury. Pierwszy lepszy traktat o architekturze

pouczy, że warunkami temi są: odpowiedniość gmachu do przeznaczenia, z którym łączą się warunki wytrzymałości i trwałości i piękna, że gdy kto warunki artystyczne stawia wyżéj po nad warunki potrzeby i natury konstrukcyi, stworzy dzieło, które nie zyska nieśmiertelności. Trudności konstrukcyjne rozwiązują się znajomością praw statyki, to matematyka, z któréj ma wyniknąć piękność form i ich znaczenie. Kto raz zrozumie, że ta równowaga sił, jaką utrzymuje się olbrzymia katedra kolońska, ta jéj przezroczystość koronkowa wnętrza jest wynikiem zmyślnéj i obrachowanéj konstrukcyi, która wywołała estetyczne motywa sztuki, ten nie będzie przypisywał téj sztuce powodowania się tylko wzniesionym do artyzmu duchem wieku. Będzie Partenon na Akropolu ateńskim również arcydziełem opartém na zasadzie konstrukcyi, bo z potrzeby otoczenia podściełeniem celli wyniknie kolumnada a jéj kamienny sufit z kalymacyami tak olbrzymi nie utrzymałby się, gdyby nie podpiérały go kolumny. Tu kolumna jest motywem piękna, wynikłym również z konstrukcyi. Różnice piękności znajdą się w zasadzie konstrukcyjnéj u obu tych pomników: w Kolonii zasada *sklepieniowa* wywołała inne, w Partenonie *architrawowa* odmienne motywa piękna. Z odpowiedniości do przeznaczenia wyrasta wybór materyału i forma ogólna gmachu, z użytego materyału—konstrukcya, z jednego i drugiego—motywa architektoniczne piękna. Na podstawie zgody tych trzech warunków ma wyrosnąć forma piękna gmachu, ale to nie dosyć; potrzeba aby on był całością zamkniętą w sobie organicznie, do któréj, jak do skończonéj postaci ludzkiéj, bezkarnie nic dodać, nic ująć nie można. Aby był organizmem, potrzebuje środków do powiązania z sobą części, rozdzielenia, uwidocznienia działania sił, zamarkowania początku lub końca; do tego służy natura pewnych form. Wyrażenie temi formami życia konstrukcyjnego stanowi motyw architektoniczny.

Semper w swojém nieśmiertelném dziele *o stylu* wyjaśnia cudownie to znaczenie form, ten ich wyraz w granicach jak je pojmowała sztuka dobrych epok, a jedno opowiadanie o konsekwencyi form kolumny doryckiéj mogłoby nas, gdyby tu było miejsce po temu, obeznać z pojęciem najwyższém piękna na téj zasadzie zdobytego. To pewna, że zgoda formy z przeznaczeniem stanowić będzie zawsze o stylowości.

Jakkolwiek zdawałoby się, że tylko poddanie się prawom statyki, i z niéj wyprowadzone formy, proporcye i najdrobniejsze motywa wywołuje piękny organizm architektoniczny, to jednak sama imitacya podobnéj konstrukcyi może wytworzyć cudowne życie budowy. To jest zadanie architektury rzymskiéj a w części i renesansu: owe pilastrowania, belkowania, rustyki i blokowania pałaców włoskich epoki

odrodzenia, które stoją imitacyą życia konstrukcyjnego. W złych epokach formami kierować będzie płocha malowniczość, nierachująca się z konstrukcyą i naturą materyału, ale posługująca się grą form częstokroć pięknych, a szczęśliwą będzie, jeżeli czas przyniesie to nastrojenie części do całości harmonijne, które miano stylu zyskać musi, ową harmonię, która nawet w epoce barokka da dzieła wdzięczne.

Znaleść wyrażenie działania sił statycznych za pomocą form, wymyślić takie formy w ogóle i szczegółach, któreby mówiły: ta część dźwiga, a jak ona dźwiga lekko, elastycznie!—inna obciąża w miarę—oto wyrażenie spotkania się ciążenia z podporą zaznaczone członkami o formach, które o tém zetknięciu się wyraźnie mówią; zostawić tym wyrażeniom spotykania się sił spodem wyraz wyrostu, górą—obciążenie; znaleść środki ograniczenia i zamknięcia części, oddzielenia ich w takty, w zdania, w członki, bez naciągania warunków stosowności i konstrukcyi, owszem z nich je wyciągając—oto co nazywamy motywem, środkiem estetycznym architektury skończonego stylu, jakimkolwiek on jest.

Nie jest to szemat dany ale zasada, którą gieniusz swobodnie posługiwać się będzie w miarę proporcyj, których zastosowanie pozostanie zawsze jego udziałem; on potrafi wyszukać tak subtelne, tak szlachetne cieniowanie linij i brył, zgięć i krzywizn, iż po wielu wiekach dziwić się wypadnie takiéj głębokiéj, znajomości efektu, jaka kierowała owemi tak zwanemi krzywiznami Partenonu. W olbrzymiéj budowie mistrz waży efekt subtelnościami, których oko zaledwie wstanie jest dostrzedz.

Właściwa ornamentacya architektoniczna—owe w kamieniu kute ozdoby roślinnego świata mają mieć wyznaczone miejsce wyjaśniając motywa i podnosząc ich znaczenie. Jak Grek ma ozdoby, które członkom przegiętym nadają wyraz jeszcze silniejszy a bogatszy,—jak jego kapitele korynckie liściami akantusowemi śmiało wystrzeliwającemi z trzonu kolumny, a tak przyciśniętemi z góry, wyrażają cudownie konflikt między podporą, jaką jest kolumna, a architrawem, ma niemniéj gotycyzm swoje pinakle, żabki, kwiatony, które będą wyrazem pokonanéj walki konstrukcyjnéj i jako tryumfatorki wystrzelą u wierzchu gmachu. Płaskie ornamentacye groteskowe kaplicy Zygmuntowskiéj wyrażą tę lekkość pól, które sprowadzają ogzymsowane ramy filunków do znaczenia konstrukcyjnego.

Z jakich światów bierze architektura *motywa ornamentacyi*, co jest właściwością każdego jéj rodzaju, w to wchodzić nie zamyślamy; chcieliśmy tylko zaznaczyć jéj stosunek do architektury, aby objaśnić, że może budowa być bardzo ozdobioną, a piękną nie będzie, jeżeli odpowiedniego ustosunkowania nie zachowa.

Pokazuje się z tego, że istnieje pewne prawo w pojęciu piękna architektonicznego i że to, co nazywany złą epoką, upadkiem stylu, da się wytłómaczyć—niestosowaniem się do praw. Sąd o dziele architektury ze stanowiska estetyki wydanym być może, ale oprzéć się musi na znajomości konstrukcyi i warunków stylowych.

Wiek przeszły uznawał w praktyce téj sztuki jedyne rozwiązanie przez powtarzanie motywów architektury klasycznéj wedle szematu, do jakiego w dalszéj ewolucyi gienialnych wzorów odrodzenia przyszedł. Umiał on (choćby wziąć śliczny pałac Łazienkowski jako dowód) i w tych ciasnych, spowszedniałych szrankach tworzyć rzeczy piękne. Studya nad pomnikami starej Grecyi przez Stuarta i Reweta, gieniusz Winkelmana objaśniający ich znaczenie, są zapowiedzią tego nowego odrodzenia się sztuk pięknych, w którego następstwie przyjdzie dopiéro świat dzisiejszy do uznania innych szczęśliwych rozwiązań warunków architektury, do uznania architektury średniowiecznéj, która zapomnianą była od czasu renesansu. Cóż uszlachetniło pojęcie form, co związało je z duchem twórców w przeciwstawieniu do barokka i bezduszności, jeżeli nie studyum klasycznéj sztuki Winkelmana—nie Dawid—nie powrót do wiary przodków i to obudzenie się romantyzmu, które pociągnęło za sobą miłość do historyi własnego kraju i jego legendowéj poezyi. Ten wielki przewrót wyobrażeń, który się w obliczu naszych dziadów odbył, musiał wpłynąć na zmianę pojęć o pięknie w architekturze. Poczęło się uwielbieniem dla staroświetczyzny—poezya wzięła w opiekę dawne gmachy średniowieczne lub ich ruiny, zbierają się pamiątki tamtego świata niby szczęśliwszego. W migocącém błędném świetle księżyca zarysowują się światu iglice gotyckiego kościoła z pomnikami rycerzy, po których obliczach ślizga się siny odblask światła—ruiny klasztoru i zamku zapełniają się w opowieściach postaciami przeszłości. Powoli tłumy te opuszczają gmachy—ludzie spoglądają na dzieła architektury przy słonecznem świetle, rozpatrują się w nich co raz bliżéj i znajdują dzieła średniowieczne loicznémi i nad podziw pięknemi. Przekonano się, że one same są poezyą, są dziełami sztuki i nie boją się światła. Dziś przykładamy do nich skalpel anatomizujący, pytając skąd się wzięły i jakiemi zasadami wyrosły.

Drobne napozór pomniki architektury średniowiecznéj urastają do znaczenia w téj sprawie rozświecania tajemnic téj sztuki. Każdy naród, u którego pełném korytem płynie artyzm, poszukuje pierwiastków, rodowodu w średniowieczu, skrzętnie bada i zapisuje objawy swego poczucia piękna i trudy w jego ukształceniu. Oto powód tych studyów nad pomnikami architektury średniowiecznéj, które wypiastował kościół chrześciański i kultura idąca z nim w parze;—studya te

rozpoczęte zaledwie lat temu 40-ści na seryo, zjawiają się dotąd w postaci wyczerpujących monografij pomników, rekonstrukcyi tychże i traktatów o zasadach. Dziś ze śmiechem wspominamy jakie odpowiedzi dawał sobie świat na pytania co do istoty i powstania architektury ostrołukowéj, bo tém wielce się zajmowano. Te dziecinne błądzenia, te czasem dowcipne domysły, wzbudzają w dzisiejszych badaczach politowanie. Jeszcze niedawno Niemcy uważali styl ostrołukowy, za swój narodowy charakter sztuki, polegając na wyrażeniu włoskiém, *maniera tedesca;* drzewa krzyżujące się germańskich lasów miały dać początek ostrołukowi. Inni szukać będą genezy gotycyzmu w piramidach egipskich, w sztuce Islamu, w mistyce kościelnéj, gotowi do zapisania tu zasługi na karb scholastyki. Skądże to poszło, jeżeli nie z braku pojęć warunków architektury; brano linie charakterystyczne stylu za zasadę sądu, zapominając, że podstawą każdego nowego stylu jest nowy system konstrukcyi. Zapomniano, że sztuka ta nie jest swobodnym utworem fantazyi, ale spowitą więzami z wymaganiami konstrukcyi, z życiem narodu, z warunkami nowego materyału, a najdowcipniejszy rozmysł nie stworzy nowego stylu architektonicznego w kierunku tylko estetycznym.

W chwili kiedy uczeni badacze pojęli nareszcie, że czas zająć się na seryo pomnikami średniowiecza, znaleźli się w pośród masy nieznanego sobie materyału. Pomijając katedry i kościoły po stolicach i głównych miastach Francyi, Anglii i Niemiec, przekonali się, że jest tysiące pomników rozrzuconych po wsiach i miastach drugorzędnych, że są dawne klasztorne, mieszkalne i forteczne budowle. Oznaczenie krytyczne daty każdego z pomników szło z początku bardzo trudno w walce z fałszywemi orzeczeniami przeszłości lub z braku znajomości różnicy między datami erekcyi pomnika a jego budową; a jednak tylko ścisłe oznaczenie dat mogło poprowadzić do zrozumienia rozwoju architektury średniowiecznéj i tych tajemniczych pragnień mistrzów, które są zawsze bodźcem do postępu. Studya pomników prowadzono teraz nie lekkim od oka sądem, ale pomiarami dokładnemi z myślą o epokach budowy pomnika. Teraz znaleziono przez porównanie, różnice szkół w ogólnéj charakterystyce romanizmu i gotycyzmu, leżące tak w konstrukcyi jak w formach estetycznych; zrozumiano wpływ materyału, charakter indywidualny artystów. Powoli badania te wyrosły w umiejętność, a jako poważny kierunek naukowy, zajęły historya budownictwa i nauka o stylach katedry uniwersyteckie i politechniczne. Ależ to dopiéro roku 1850 mógł najznakomitszy badacz niemiecki *Mertens* wyrzec, że sprawa architektury średniowiecznéj dopiero teraz stoi na tym punkcie, iż jéj zapewnione jest imie umiejętności; snać przedtem była gadaniną

jak się często u nas jeszcze zdarza. Dzisiaj każdy pomnik takiéj architektury romańskiéj, wnosząc światło w historyą jéj rozwoju, równe ma znaczenie, czy on należy do wybitnych dzieł piękna, czy téż podrzędnym jest utworem—byleby nosił ślady właściwego piękna, właściwéj konstrukcyi. W studyach tych znajdzie miejsce i wiejski kościołek Wielkopolski i ruina zamczyska, bo one rzucają światło na działanie sztuki miejscowéj w epoce, w któréj komunikacya nie łatwa a architektury po szkołach nie uczą. Nie jest téż to epoka, w któréj stosy rysunków i publikacyj dozwalają architektowi czerpać motywa i za swoje podawać, jak to ma miejsce w obecnéj chwili.

Jeżeli pomniki architektury romańskiéj takie, jak katedra w *Spirze*, w *Wormacyi*, w *Moguncyi*, kościoły *Hildesheimu*, *Quedlinburga*, w *Laach*, w *Caen*, w *Bajonnie*, w *Clermont*, *Jumièges* i tyle podobnych przedstawiają nam się jak organizmy architektoniczne pięknie a oryginalnie pomyślane, to stanowisko ich wobec kultury, bądź co bądź nizkiéj XI i XII wieku, będzie dla każdego zdumiewającém. Zkąd się wziął ten umysł estetyczny w społeczeństwach, które o czemś inném miały myśléć jak o sztuce, będzie zagadką, którą duchem wieku wytłómaczyć zawsze będzie trudno. Wolimy z nowszymi autorami przyznać, że to jest zasługą pewnéj części społeczeństwa związanego w rodzaj stowarzyszenia, że to przynależy zakonowi Benedyktyńskiemu pod opieką Cluny zostającemu. Są epoki, w których ludzkość nie ma dość czasu i dosyć wiedzy, aby zajmować się architekturą jako sztuką piękną; w pierwszym brzasku wieków średnich, duch zdobywców rycerski, niespokojny, może tworzyć z nagromadzonych szczegółów swéj ornamentacyi technikę odrębną, przedmioty artystyczne jak złote czary, klamry i ozdoby szat, ale żeby się miał zabrać do ścisłych studyów budownictwa wątpić należy. W téj epoce bazylika łacińska i bizantyńskie dośrodkowe budownictwo żyją jeszcze oddźwiękiem rzymskich i wschodnich budowli. Do rzetelnego odpowiedzenia warunkom organizmu—budowom ich daleko. Ale w drugiéj połowie średniowiecza, od X-o wieku, znajdzie się już odpowiednie schronienie dla samodzielnéj pracy umysłowéj—będą to klasztory kluniastów, gdzie przechowa się tradycya tak potrzebna do każdéj, która na doświadczenie polega, sztuki. Budowniczym północnych krajów, promotorem romanizmu jest téż mnich, benedyktyn. Jeżeli kluniastom słusznie przyznać musimy za Violet-le-Duc'em utrwalenie charakteru północnego romanizmu rozwojem konstrukcyi sklepień, jeżeli oni to zbadali prawa mechaniki drogą doświadczeń a więc kosztem walących się gmachów—to początek tego stylu sięga daléj w tył i złożą się nań pierwiastki nowe sztuki barbarzyńców jak i bizantynizm z tradycyą staro-rzymską; w miarę zasobów miejsco-

wych piękna urabia się téż wcześnie w odrębne szkoły. W ostatnich czasach badacze spostrzegli się, że wszystkie dotychczas znane wpływy na początek romanizmu niewiele więcéj po nad motywa ornamentacyi dostarczyć mogły—że zasada konstrukcyi musiała znaleść wzory odpowiednie w budowlach gdzieś istniejących, z któremi się kluniaści spotkali.

Powoli bowiem zapominał świat o zasadach, któremi kierowala się Grecya w budowie świątyń swych, przeszły one wprawdzie w architekturę rzymską, ale niedługo przejdą w bezduszny szemat, zginie pojęcie organizmu całości, znaczenie proporcyi, myśl o stosunku form. To co uchodziło dotąd za przejście między upadłą architekturą rzymską a romanizmem nie rachuje się do tyla z warunkami rzetelnemi architektury,—owe bazyliki włoskie, owe budowle dośrodkowe Bizancyum,—że świat uczony musiał przeczuwać, iż gdzieś przeciągnęła się czynność sztuki w warunkach czystszych a wzory jéj posłużyły Benedyktynom do nawiązania nici w pojęciach organizmu i konstrukcyi architektonicznéj. Sprawa rozświeconą ostatecznie została przez wydawnictwo w roku 1867 pomników *Syryi środkowéj* pana Melchiora de Voguë. Mało kto do téj epoki wiedział, że w pustyniach téj okolicy znajdują się skarby dla badaczy architektury starochrześciańskiéj kościelnéj i świeckiéj od 2-go do 7 wieku naszéj ery. Znajdują się one w dwu grupach—pierwszą stanowią pomniki *Hauranu* na południu, drugie leżą w trójkącie między *Alepem*, *Apameą* i *Antyochią*. Sto miast lepiéj dochowanych jak Pompeja znajdzie się tu na przestrzeni od 15 do 20 mil, a ich budowle wiążą się z sobą jednym charakterem stylowym, odrębnym od tego wszystkiego cokolwiek do téj epoki należało we Włoszech i w Bizancyum. Miasta te to siedziby społeczeństwa chrześciańskiego—spotykamy się téż tutaj nie z owém kataumbowém, cierpiącém, nieśmiałém ale przeciwnie z pełném życia bogatém, artystyczném, mieszkającém w domach budowanych z ogromnych ciosów, z galeryami i zakrytemi balkonami, przy których były ogrody, winnice, prasy do wina, piwnice z beczkami z kamienia, z ogromnemi podziemnemi kuchniami, stajniami. W miastach są place otoczone kolumnadą, łaźnie, kościoły z wspaniałemi arkadami i wieżami, grobowce. Napisy i ozdoby w kamieniu kute znajdują się licznie a wśród nich monogramy Chrystusa, symbole, krzyże, sentencye pobożne. Wszystkie te miasta opuszczono na raz zapewne za napadu Mahometan—odtąd nie tknięto niczego...

Sławne są kościoły w *Qualó-Luze*, w *Turman'n'e* w *Kalat-Seman* w *Rueja*—arcydzieła godne naśladowania.

Pod względem stylowym znajdujemy tu pojawienie się nowych zasad, które przetwarzając sztukę greko-rzymską, miały przygotować romanizm. Bo jeżeli w architekturze klasycznéj trzymano się formuły i, bez względu na rozmiary materyału, robiono gmachy większe lub mniejsze, powiększając szematycznie lub zmniejszając rozmiary jego—architekci *greko-syryjscy*, przyjmując zasadę porządków greckich, używali ich z większą logiką, odrzucając członki niepotrzebne a stosując rozmiary nie do skali proporcyonalnej, ale do natury i wielkości materyału, do przeznaczenia budowy. Otwory będą zawsze jednych rozmiarów bez względu na proporcye budowy, gdyż architekt chce, aby węgary były monolitami; jeżeli kolumna była za krótką, dawali jej podstawę lub podwyższali arkadę — łuki mieścili wprost na kapitelach. Oni pierwsi użyli ze względów konstrukcyjnych *wsporników*, jeżeli światło było za wielkie dla płyt, któremi były pokryte sufity. Ściany, wiązania, bramy, okna są z kamienia dowcipnie konstruowane, łuk arkada będzie jedyną kombinacyą do związania kamieniem dwu podstaw oddalonych— szeregi takich łuków będą dźwigać na sobie bloki tworzące sufit, gdyż drzewa brak był na wiązania dachowe. Dla podtrzymania parcia budowano szkarpy, a ta masa płyt, szkarp tworzyła rodzaj szkieletu tak, że ściany dzielcze odgrywają skromną role dopełniaczy. Tutaj kopuła odnalazła owe pendentify i stąd pewno przeszła do Bizancyum.

„Dziwna zaiste, mówi Melchior de Voguë, kiedy na zachodzie upadało powoli poczucie sztuki pod naciskiem barbarzyńców, tu na Wschodzie, w Syryi, istniała szkoła, utrzymująca dobre tradycye i odmładzająca je świeżemi pomysłami.“

Spotkanie się architektów benedyktyńskich z temi zasobami artystycznéj wiedzy przypada na epokę rozwijającego się romanizmu.

Przeniesienie tego zdrowego elementu architektnry na północ Francyi i Niemiec przypisują słusznie wojnom krzyżowym. Na wyprawy te, jak wiadomo, nie tylko samo udaje się rycerstwo, ale towarzyszy im tłum kupców, rękodzielników i znaczna liczba mnichów, W r. 1098 krzyżowcy zdobywają Antyochyą, utrzymują się oni w niéj do r. 1268. Codzienny widok pomników architektury syryjskiéj musiał wdrożyć to poczucie logiki architektonicznéj, te zasady konstrukcyi, które trzeba było tylko przenieść do rodzinnego kraju i związać z usiłowaniami chwili miejscowemi.

Co najwięcéj potwierdza dziś ten znaczny wpływ pomników Syryi i Cylicyi, to niezawodnie ornamentacya romańskich kościołów Francyi. Aż do XI wieku ornametowano w sposób barbarzyński, naśladując niedołężnie rzeźby gallo-rzymskie, ale już w pierwszych

chwilach krucyat rozwija się rzeźba i ornament kuty z taką siłą, że obfitością motywów przewyższa liczbę wzorów jakie krzyżowcy mogli znaleść w Syryi. Jeżeli bizantyński ornament, panujący tak długo w sztuce włoskiéj, jest płaskim, chudym, konwencyjnym, jeżeli wymaga środków przynoszących koloryzacyą, to w części zawojowanéj w pobliżu Syryi znalazły się z czasów chrześciaństwa piękne kute ornamentacye, przeważnie roślinne. Że są one podobne do tych jakie w XII wieku znajdujemy we Francyi, łatwo przekonać się, rzuciwszy okiem na ogłoszone przez pana de Voguë zebrane w miejscowościach *Dana*, *Mudżeleja*, *Serdżilia*, *El Barah*, *Deir-seta*, *Kefr-kileh*, *Kalat-sema* itp. ornamentacye węgarów drzwi, kapiteli pilastrów i kolumn z emblematami chrześciańskiemi w architekturze zarówno kościelnéj jak świeckiéj.

Są to zwykle wielkie liście ząbkowane, energicznie wycinane a rowkowane głęboko, aby otrzymać efekt światłocienia. Obok téj flory konwencyjnéj ale posiadającéj organizm roślinności, już to w skrętach rozpostartéj po węgarach drzwi lub w rzędach zdobiących liśćmi kapitele,—będą sploty geometryczne z kół linij giętych lub prostych tworzone, normujące tę roślinność, utrzymujące ją w granicach rytmu monumentalnego. Sucha ta i subtelna ornamentacya zachowała pewną naturę dawnéj attyckiéj szkoły. Artyście towarzyszącemu krzyżowcom otwarła ona drogę do naśladownictwa, a w połączeniu z domowemi pierwiastkami piękna wytwarzają pełną świeżości ornamentacyą romańską XII wieku.

Są wynalazki na świecie wielkie wynalazki, które na nowe tory wprowadzają ludzkość, wielkie—jeżeli przychodzą w porę, w któréj przeszłość przysposobiła ludzkość do ich przyjęcia, do korzystania z nich; ale jeżeli gieniusz ludzki jest tu dobrodziejem od czasu do czasu, jak nazwać tych pracowników, co w sprawie oderwanéj od realnego pożytku ludzkiego, w sprawie w któréj sława najmniejszą rolę grać może, stale i bez przerwy przez pokolenia idą w wytkniętym kierunku doskonalić piękno w architekturze. Potężni jako władcy nauki swego czasu, gonią za ideałami, do których urzeczywistnienia potrzebują pomocy drugich rąk i pieniędzy. W narodach chrześciańskich, w społeczeństwach na poły barbarzyńskich znaleźli się ludzie co okryci kapturem mnicha, sami jedni wśród ciemnoty dowiadywać się będą o prawach statyki, przechowując święte poczucie praw estetycznych.

Do niedawna gotycyzm wydawał się czemś tak odrębnem od romanizmu—piękne jego motywa tak odmiennemi od tych jakich tamten używa, że nic dziwnego iż świat, lat temu zaledwie trzydzieści, szukał dla gotycyzmu osobnych punktów wyjścia. W miarę rozpa-

trywania się w pomnikach, dostrzeżono i datami udowodniono ten powolny postęp w kształceniu budowy kościołów, którego przewodnia myśl na tém polegała, aby zyskać rozmiary największe, układ naw i kaplic około prezbiteryum bogatszy i przedewszystkiém rozwiązać sprawę budowy sklepień na podstawie jakiejkolwiek formy, nie koniecznie kwadratowéj. Jeżeli do tego dodamy uczucie estetyczne, dążące do coraz większéj przewagi otworów nad ścianami—to w końcu te stopniowe usiłowania stworzą w północnéj Francyi a głównie w budowie kościoła opackiego w St. Denis zasadę gotycyzmu. Konstrukcya sklepień pierwsza użyła łuku złamanego jako punktu wyjścia w chwili kiedy właściwe pojęcia piękna i ornamentacyi szło za prądem, panującego romanizmu.

Szereg pomników w tym charakterze przejściowym, znamionuje chwilę, w któréj w tym lub owym kraju zjawia się ziarno kiełkujące gotycyzmu, mające wyrosnąć w kwiat bujny pracą miejscową lub korzystaniem z usiłowań obcych.

Historya sztuki to zadanie przyznaje, już dziś bezzaprzeczenia, innym zakonnikom z reguły św. Benedykta—owym Cystersom, których pracom na ziemiach Polski chcemy bliżéj się przypatrzyć.

Niespodziewali się zapewne poważni autorowie XVII i XVIII wieku piszący dzieje zakonu Cystersów, owe ogromne wolumina, w których siliła się erudycya na podniesienie znaczenia tego co upadło—że do zasług, jakie Cystersi u świata zyskali, policzą się ich prace w architekturze. Annaliści i historycy zakonu zbierający listki na wieniec sławy bogatych rozwielmożnionych opactw jak *Manrique*, *Jongelinus*, *Sartorius*, *Martene* i tylu innych, szukali sławy Cystersów w godnościach kościelnych, jakie zajmowali, w stosunkach z możnymi świata i zasługach dla kościoła; pisząc panegiryki raczéj aniżeli wnikając w głębię zadania, do jakiego powołanym został zakon ten pierwotnie. Wielcy panowie w epoce genealogii i herbarzy radzi byli wykazać się rozkrzewieniem rodu swego po całym obszarze Europy, swojemi wielkościami naukowemi i politycznémi. Przyznać się do chłopskich zajęć, do olbrzymiéj pracy kultury kraju materyalnéj, do przemysłu i rękodzieł, do barbarzyńskiego budowania romańskiego, nie bardzo wypadało w XVIII wieku. Historya kultury średniowiecznéj, owoc studyów dzisiejszych, rozpatrująca się bezstronnie w tych ziarnach, które rzucane w glebę urodzajną zrodziły dzisiejszą cywilizacyą, dostrzegła w ostatnich dopiero latach, że najdzielniejszymi pracownikami na roli i w sztuce byli Cystersi od XI do XIII wieku; że to było ich niemal powołaniem; że żywot ich pożyteczny skończył się na lat wiele przed reformacyą a przedłużony stracił charakter pierwotny, gdyż zadanie skończono. I dzisiaj bogatą jest litera-

tura cystersowska: są-to już prace rozświecające lata właściwéj chwały zakonu, monografie ich opactw, tych oaz pracy średniowiecza, monografie i rozbiory ich pomników architektury, przepisów któremi się kierowano. Nasza literatura ma kilka robót tego rodzaju.

Żywot twardy ascetyczny, pobożność niekłamana oto co się podoba społeczeństwom północnym i co daje respekt u rycerza i księcia, a poszanowanie u tłumów. Podstawa ta moralna daje lepiéj uczuć dobrodziejstwa materyalne, jakie pracą ciężką dostają się światu. Asceta rolnik i rękodzielnik nieszukający zysku, tylko pożytku realnego jest do pożądania zawsze. Takimi są Cystersi, takimi chciał ich mieć wielki *święty Bernard*, takimi znali ich książęta nasi polscy, gdy wcześnie bardzo postarali się o tych dzielnych mnichów, których kraj w epoce podziałów opustoszały a lesisty potrzebował. Ludzi politycznych patrzących daléj niebrakło między tymi szorstkimi książętami XII wieku, a nie jeden rycerz znaczenie Cystersów rozumiał. Skąd się wzięli Cystersi—jaka ich reguła i dzieje a stosunek do kraju naszego w średniowieczu pokrótce przypomnę.

Zakon Cystersów powstał we Francyi w XI wieku, zrodziła go myśl reformy, taż sama jaka na 100 lat przedtém odrodziła Benedyktynów kluniackich. Upadek téj to ostatniéj reguły skłonił *opata Roberta od ś-go Michała* z Tonnere z rodu książąt burgundzkich, iż się usunął na puszczę pod *Molesmes* z kilkoma braćmi, obserwując ścisłą regułę benedyktyńską, ale i stąd się oddalił szukając jeszcze surowszego życia. Znalazłszy stosowne ustronie w Citeaux czyli Cistertium, wystawił obok źródeł drewniane oratorium i kilka chat. Było to w marcu 1089 roku i to jest początek Cystersów, którzy w téj chwili noszą jeszcze czarny benedyktyński ubiór. Dopiéro za następcy *Roberta*, opata *Albericha* spisany regulamin życia klasztornego, *mnichów z Molesmu pochodzących*, który r. 1100 papież potwierdza, i po raz pierwszy ubiór czarny zamieniają Cystersi na biały, zostawiając *mozettę* (przodkowa część kaptura) i szkaplerz czarnego koloru. Za trzeciego opata Anglika *Stefana Hardinga*, w chwili najwyższéj obserwancyi surowéj reguły, zjawia się *hrabia Bernard* z *Chatillonu* z 30 towarzyszami żądając przyjęcia do zakonu. Potęga wymowy tego świętego męża skłania wielu do przyjęcia reguły tak, że w tym samym roku 1113 pozostały cztery filije i opactwa w la Ferté, w Pontigny, w Clairvaux i w Morimondzie. Ś-go Bernarda powołano na opata w Clairvaux (Claravallis) a wielka ta postać średniowieczna, ów głosiciel krucyat, może być uważana za głównego fundatora zakonu. Jego to gieniuszowi zawdzięczają Cystersi rozumne zastosowanie re-

guły św. Benedykta w przepisach zwanych *kartą chrześciańskiéj miłości*, przyjętych przez pięć pierwszych opactw w r. 1119, daléj w *księdze obyczajów cysterskich* itp.

U Cystersów zasady demokratyczne, monarchiczne i arystokratyczne zlewają się w jedno. Głową całego zakonu, wszystkich klasztorów po całym świecie jest każdorazowy opat w *Citeaux*, ale nie może on działać samoistnie, bo jego prawa ograniczają reprezentanci czterech najstarszych francuzkich klasztorów powyżéj wspomnianych. Sąd najwyższy stanowiło owych pięciu opatów, z których każdy dobierał sobie czterech definitorów. Corocznie zbierali się opaci klasztorów świata do Citeaux na *generalną kapitułę*, któréj uchwały przypominają urządzenie konstytucyjne dzisiejsze.

Najciekawszém w urządzeniu cysterskiém jest ten stosunek klasztoru do klasztoru, który tworzy tak zwane filiacie. U Benedyktynów każden z nich stoi niezależnie od siebie, podlegając tylko opatowi w Cluny—opat ich jest monarchą. U Cysterów wszystkie pochodząc pośrednio lub bezpośrednio od pięciu starszych francuzkich, przedstawiają filiacie Opat klasztoru, z którego przenieśli się zakonnicy dla założenia nowego tj. filii, jest tego nowego *opatem—ojcem*: on wizytuje ten klasztor—opiekuje się nim, bo to jego obowiązek święty. Ztąd tak zwane generacye klasztorne oznaczone liczbą pokoleń wyprowadzonych od Cistercium, tak np. nasze opactwo w Mogile należy do 7 generacyi, bo wyszło z klasztoru w ,Lubiążu, ten—z Porty, klasztor w Porta Coeli zrodziło opactwo Walkenried, to pochodzi z klasztoru Altencamp, dokąd przyszli zakonnicy z Morymondu, córki Cistercium. Naturalnie że pochodzenie to dowodzi, iż nie mogli być w Mogile inni zakonnicy jak Niemcy; związek z Francyą łagodzi ich stosunki germańskie w Polsce.

Ktoby chciał poznać dokładnie wewnętrzne urządzenie i obyczaj zakonu tego, znajdzie szczegóły w księgach powyżéj zacytowanych i uchwałach kapituł generalnych, które wydano w Paryżu 1670 roku — zwykło się na nie powoływać w sprawie architektury. Dodamy, że Cystersi nie mieszali się do spraw parafialnych i poddali się pod posłuszeństwo biskupa dyecezyi; wybranemu opatowi biskup miejscowy błogosławił.

Niewiele lat temu jak całe szeregi pięknych budowli kościelnych całe komplety zabudowań mieszkalnych przypomniały się światu artystycznemu jako pamiątki średniowieczne po Cystersach. Utwory te nie dosyć cenione mają pewien stały układ, pewne stałe warunki architektoniczne, wspólne odległym okolicom Europy. Te stare klasztorne zakłady Cystersów, zwykle opuszczone od mieszkańców, częściéj dogorywające w ruinach, malujące lepiéj niż piśmienne źró-

dła obyczaj Cystersów, ich zajęcia pouczające o zasłudze na niwie budownictwa. Rozpatrywanie się w nich do niedawna było na porządku dziennym we Francyi i Niemczech, dziś przychodzimy do tych, które na naszéj ziemi zostały.

Cystersi przybywali do Polski z Niemiec, ale daleko więcéj wprost z Francyi rodzinnego gniazda; największa liczba ich klasztorów jest córkami Morymondu a stanęły w XII, więcéj jeszcze w XIII wieku. Prócz dat założenia tego lub owego opactwa nie zawsze pewnych, nazwiska fundatora, kilku imion opatów, szczegółów uposażenia, historya i dyplomataryusze nie wiele więcéj nas pouczają. Cystersi polscy, jako społeczeństwo obce, nie zajmują w dziejach XII i XIII wieku stanowiska politycznego, zadanie ich odnosi się do kultury kraju, a o to, więc o ich dzieje, pytać się trzeba ziemi okolicznéj klasztorów i miejscowéj topografii, czynność na polu sztuk zaznaczy się téż budowlami kościelnemi i klasztornemi; mamy tu jednak zawsze na myśli chwile, w których Cystersi spełniają swoje posłannictwo, zatém XII, XIII i XIV wieku.

Mało znany autor XVII wieku, profesor cysterski *Sigismundus* w dziele swém *Tabula omnium monasteriorum*, wydaném w Poznaniu u Wolraba r. 1614, zanotował nam daty erekcyi, pochodzenie i przynależność do dyecezyi wszystkich 15 klasztorów polskich. Dostały się tu i Oliva i Pelplin, ale braknie starych szląskich, które do dziejów sztuki w Polsce należéć powinny. Dozwalamy sobie rozdzielić je na kilka grup ze stanowiska dyecezyi, do któréj należą, a głównie ze względu na możliwe wpływy miejscowéj architektury przed przybyciem Cystersów tu panującéj. Jest bowiem dowiedzioném, że Cystersi jakkolwiek przynoszą pojęcie budownicze z gniazda skąd przychodzą, to miejscowy obyczaj reprezentują rękodzielnicy użyci przy budowie kościoła i klasztorów. Takie grupy stanowić mogą klasztory pomorskie, należące do dyecezyi dawnéj włocławskiéj: *Oliwa* i *Pelplin* z tradycyą budowli z kamieni eratycznych; drugą tworzą opactwa wielkopolskie jak: *Ląd*, *Łekno* czyli *Wągrowiec*, *Obra*, *Paradyż*, *Byszew*, *Bledzew*, *Przemęt*, zaliczające się do dyecezyi gnieźnieńskiéj i poznańskiéj; trzecią grupę stanowią klasztory małopolskie jak: *Jędrzejów*, *Koprzywnica*, *Wąchock*, *Mogiła*, *Szczyrzyc*, wszystkie w dyecezyi krakowskiéj; do czwartéj zaliczyć można szląskie z *Lubiążem* na czele: *Henryków*, *Kamieniec*, *Ruda*, *Grysów*, *Jemielnica*.

Każda z tych grup stanowi do pewnego stopnia szkołę budownictwa w końcu XII a głównie na początku XIII wieku, jak skoro każdy prawie klasztor o tę porę buduje z nowa swe gmachy kościelne i mieszkalne, a każda z tych grup ma niezawodnie wpływ na rozwój miejscowéj architektury.

W pomnikach architektury cysterskiéj tych czterech grup znaleźlibyśmy niezawodnie wspaniały materyał dla dziejów sztuki na obszarze ziem dawnéj Polski, gdyby znalazły się one w pierwotnéj swéj szacie, świadczyły formami o epokach średniowiecza i gdyby studya nad niemi publikowane były. Przedewszystkiém, najwięcéj interesującemi naukę są budowy cysterskie z epoki przejścia romanizmu w gotycyzm, a gdzie są i które tego rodzaju z polskich, dopiéro studya wyjaśnićby nam powinny. Ale studyów zbiorowych tych pomników dotąd żadna nie wygotowała literatura, a mała liczba monografij opactw niezawsze nacechowana jest poglądem na sztukę, tak że sprawa architektury klasztornéj cysterskiéj w Polsce jest dopiéro do zbadania i wypada badaczowi za każdym pomnikiem jeździć. Że takie wycieczki niezawsze przynieść mogą rezultat żądany i że w miejsce upragnionego zabytku romanizmu znajdzie się nową budowę z zeszłego wieku, to niech poświadczą: *Ląd*, *Wągrowiec*, *Henryków*, *Kamieniec*, *Grysow* a w części nasz kościół Jędrzejowski. Inne opactwa jak: w *Oliwie*, w *Pelplinie* w *Lubiążu* więcéj już są znane w nauce, bo literatura niemiecka niemi się zajęła, ale pierwsze przerobione w XIV wieku, drugie dziełem XV w., a Lubiąż jeden, najmniéj znany, zachowa charakter epoki przejścia.

Wędrówkę mającą na celu zbadanie pomników architektury cysterskiéj, rozpoczętą od Mogiły, prowadzi autor niniejszego bez przerwy i w ostatnich czasach studya jego zaokrągliły się w pewną całość. Grupa opactw *Małopolski* jest mu téż zupełnie znaną, bo z miarą i ołówkiem w ręku splondrowaną, i o téj téż wolno mu słowo wyrzec. Radby prócz Sulejowa zaliczyć do niéj i najstarszy Ląd, choć oba opactwa należą do Wielkopolski, gdy Ląd prócz części klasztoru zachował coś średniowiecznego.

Pozostawiając sobie nadal miejsce w sprawozdaniach akademickiéj komisyi do historyi sztuki w Polsce na naukowe suche wywody, objaśnione szczegółowemi pomiarowemi rysunkami, z takim trudem na miejscu zdjętemi, odnoszące się do klasztorów w Wąchocku i Koprzywnicy, chcę w sposób przystępniejszy przedstawić rezultat swych badań czytelnikom „Ateneum“ nad grupą tą Małopolski, która bądź co bądź ma szczęśliwiéj niż inne grupy dochowane pomniki architektury średniowiecznéj. Jędrzejów, Wąchock, Koprzywnica, Sulejów, Mogiła zachowały całe części budowli z dobréj epoki a przedewszystkiém są dobremi typami cysterskiemi.

Na tle obrazu, który nam tak mistrzowsko skreślił Szajnocha, a szeroko roztoczył ostatnią swą nieoszacowaną pracą prof. Smolka w Mieszku Starym, na tém tle lesistém, pełném moczarów i bagien, występują nasze klasztory małopolskie przy końcu XII wieku. W po-

śród nielicznych dworców i wsi o kilku chatach, przez bory torują sobie drogę Cystersi francuzcy, powołani to przez biskupów, to piastowskich książąt. Mają oni objąć w posiadłość darowane im ziemie a wedle uchwały kapituły generalnéj r. 1134 nowy klasztor ma zamieszkać od razu 12 mnichów. Reguła zabraniala im osiadać w mieście, w pobliżu wsi lub zamku, wybór odpowiedniego miejsca pod klasztor nie był rzeczą łatwą. Ciągnęli Cystersi w doliny na spokojny, rolnictwu oddany żywot w pobliżu darowanych ziem *Rusława* nad Pilicą, w darowizny *Bogoryów* nad Wisłą przy Sandomierzu, w dziedzictwo *biskupa Janika* wrocławskiego w pobliżu dzisiejszego Jędrzejowa; znajdą się w puszczach leśnych nad rzeką Kamienną bo ich tam uposaża *Gedeon biskup*, zbliżą się pod mury stolicy za Iwona, ale nie osiądą odrazu. Wiodący mnichów opaci muszą porozumiéć się z dwoma innymi a tylko za ich zgodą następuje potwierdzenie wyszukanego miejsca; wtedy dopiéro zabierano się do urządzenia tymczasowego z drzewa budynku. Musiał tu być kościołek do modlitwy, sypialnia, refektarz, izba gościnna i mieszkanie furtyana, wszystko to pokryte słomą. Takie prowizoryum miało pouczyć czyli obrana okolica jest najodpowiedniejszém pomieszczeniem, czy da możność do zaprowadzenia tych porządków, które podstawę ich pracy stanowiły. Chętnie téż przenoszą się ze wsi Kamienny do Wąchocka, z Mogilnicy do Sulejowa (1), z Kacic do Mogiły, kiedy im na stałe przyjdzie się zabudować. Tak z nadań dóbr, jak badaniem dzisiejszéj choć zmienionéj topografii miejscowości dochodzimy do przekonania, że były to jak w Koprzywnicy i Jędrzejowie lesiste puszcze, pełne mokrzadeł, strug i źródeł, gdzie dopiéro przemysł miał zyskać grunta orne, gdzie trzeba było osuszać okolicę i zakładać wsie, lub jak w Sulejowie i Wąchocku, gdzie lesiste puszcze trzebić pod rolę należało. Ślady osuszenia pól pod Mogiłą są dotąd widoczne. Zdawałoby się więc, iż choć o tém milczą dyplomataryusze klasztorne, powoływano do Małopolski Cystersów jako postępowych rolników i oddawano im najgorsze grunta. Wybór miejsca pod klasztor stały wymagał pierwéj zagospodarowania się, a chociaż środki pieniężne zebrano, nie śpieszono się z ostateczną budową klasztoru, dopóki nie wypróbowano czyli miejsce odpowiada wymogom dłuższego pobytu. Do zmiany miejsca potrzeba było pozwolenia kapituły generalnéj.

Z księżmi francuskimi przyjść tu musieli konwersy. Byli to braciszkowie, niby pół mnicha w ubiorze zakonnym, obowiązani do

---

(1) Domysłu o przeniesieniu Cystersów z Mogilnicy do Sulejowa nie potwierdzają dokumenta: dopiero w r. 1249 klasztór sulejowski wszedł w posiadanie Mogilnicy. Ob. Kod. Mazow. 339. (*Przyp. Red.*).

posłuszeństwa i celibatu, bez widoków otrzymania wyższych święceń dostępnych innym klerykom. W regule św. Benedykta nie ma śladu urządzenia podobnéj pomocy, — u Cystersów zaś mieli konwersi powierzoną pracę około roli i posług najprostszych. Widzimy u Cystersów połączenie, zajęć uczonego, artysty, mnicha, chłopa i ekonoma, a ztąd zmysł do dobréj gospodarki.

Ktokolwiek zbliża się do miasteczka Sulejowa, jadąc od Piotrkowa, kto posunie się o parę wiorst z Jędrzejowa ku zachodowi, kto zajrzy do Wąchocka i Mogiły, spotka się z obszernemi zabudowaniami i ogrodami, otoczonemi do około murami i basztami, w pośrodku dostrzeże krzyże murowanego kościoła. Ten kompleks zabudowań, te obszerne place i ogrody za murem, to odsunięcie od miasteczka, wszystko to zgodne z charakterem i naturą starych cysterskich osad i jest wspólném wszystkim ich klasztorom po świecie. Obszar zajęty pod klasztor, liczba budynków zależne będą od stanowiska jakie zajmował i charakteru zajęć mnichów po za sprawą kultu. Jeżeli plan ogólny nakreśliła jeszcze reguła św. Benedykta w IX wieku na onym pargaminie zachowanym dotąd w archiwum *Opactwa San Gallen*, to plan ten modyfikował się w miarę potrzeby. Sądząc z tego co pozostało, nasze wszystkie klasztory, nie wyjmując największego Jędrzejowskiego, mają charakter przeważnie zastosowany do rolnictwa i przemysłu rolniczego— uprawa nauki nie wchodziła w ich zakres zajęć, jak bywało w opactwie Claravallis lub Cistercium. Poucza nas o tém obszar zajęty i budynki klasztorne. Za planem tych dwu głośnych opactw cysterskich we Francyi a w tradycyi benedyktyńskiego rozkładu budowli i urządzenia wewnętrznego idą wszystkie nasze klasztory małopolskie. Plan składa się z dwóch dzielnic odrębnych, otoczonych murem z basztami i wieżami fortecznemi. Jedyna brama prowadzi, lub są ślady, że prowadziła do klasztorów naszych, jak to było w Claravallis. Dwie strony życia cystersa średniowiecznego, *ascetyzm* i praca ręczna około roli i przemysłu gospodarskiego, wyrobiły ten rozdział planu w odrębne kompleksy budowli. Pierwszy od wejścia po za bramą—to dział stosunku ze światem i gospodarczy pod opieką braci *konwersów*, tu znaleść się powinny zabudowania gościnne i gospodarcze, niby na jakim wzorowym folwarku zamożnego dziedzica olbrzymich włości. Druga część zabudowana monumentalniéj, obejmuje kościół i mieszkania księży, dogodne zadosyćuczynienie ich obyczajom, gdzie znajdzie się wszystko czego potrzeba do zadań ascetyzmu, zarządu i naukowéj pracy, gdzie wymagane jest odosobnienie od codziennych materyalnych zajęć a duch ma się wznosić ku Bogu, jak u Kartuzów lub krakowskich dzisiejszych Kamedułów na Bielanach.

Dopóki zadanie Cystersów stoi jasno i praktykuje się w surowości, układ ten bez względu na style zachowanym będzie, zmieni go zwolnienie reguły, zapomnienie posłannictwa i chwila, gdy ze wspólnéj sypialni przeniosą się mnichy do wygodnych własnych cel, umyślnie do starego gmachu przyczepionych. Na nieszczęście myśl udogodnienia życia zbyt zapanowała od XVII wieku w naszych opactwach, tak że nie wszędzie odszukać się daje to, czego pragniemy — ślady średniowiecza. Pocznijmy naprzód od rozpatrzenia się jeszcze w położeniu naszych klasztorów i w tém rozpolowieniu planu, o którém mówimy. Wszystkim im prawie jest wspólném sadowienie się w pobliżu rzek a główniéj źródeł i takie rozpołożenie gmachów, aby strumień żywéj wody przepływał przez dziedziniec gospodarczy klasztoru. Znajdzież im się miejsce tak szczęśliwe jak w Wąchocku, gdzie o kilkaset kroków bije tak silne źródło, że z niego wychodzący potok daje się zaraz użyć na motor pracy,—czyli téż sąsiednie źródło dość słabe, i wypadnie sprowadzić wodę na dziedziniec sztucznèm korytem z odleglejszego miejsca, jak w Jędrzejowie, gdzie w pobliżu będące źródło, tak zwany *stok św. Barbary*, zasila stawy, do których woda przypływa przez klasztor ze wsi Sudołu o pół mili odległego i w następstwie utworzy rzeczkę Brynicę, — czy jak w Sulejowie ów strumień nieznanego mi nazwiska, wpadający dziś do Pilicy przy klasztorze, a który dawniéj płynął przez obręb klasztorny, — Cystersi nasi miejsca takie obiorą na klasztor. W Koprzywnicy rzeczka Koprzywianka, dążąc ku Wiśle przez klasztor, obraca młyny do dziś dnia na dziedzińcu dawnym; w Mogile brak źródeł, ale zrobiono rzekę sztuczną, tak zwane koryto robocze Dłubni, dla zasilenia stawów i młyna na dziedzińcu.

Z pięciu naszych klasztorów dwa tylko zachowały dawny swój obręb, to jest do okola otoczone są murem Sulejowski i Jędrzejowski, inne są tylko w części, albo téż mury te niemają charakteru średniowiecznego. Sądzę że w Wąchocku obszar pierwotny rozciągał się i na grunt dzisiejszego miasteczka.

Klasztory w epoce średniowiecznéj były obronnemi; mur z krenelażami, baszty i brama forteczna ze zwodzonym mostem znalazły się tu jak przy zamkach i miastach. Otóż jak Francya pokazuje swe obronne cysterskie opactwa w *Sept-Fonds* w Bourbonnais, w *Benissons-Dieu* w dyecezyi Lyońskiéj w *Maubuisson* przy Pontoise, my możemy się pochwalić Sulejowem. Pominąwszy główną wieżę w murze okalającym odpowiednio wysokim i grubym, który nosi ślady krenelaży, wieżę w charakterze raczéj kościelnym a w stylu XVII wieku, mamy pięć baszt średniowiecznych, to okrągłych, to czworokątnych z hurdicyami, które lubo do XIV co najdaléj wieku w posadach a na-

wet wzniesieniach odnieść wypada, to niemniéj przynoszą one dowód starszego obyczaju. W klasztorze Jędrzejowskim mury są niskie, baszty niewielkie, ale charakter .zamkniętego obronnego siedliska niemniéj jest widocznym. W Wąchocku dotąd spotykamy budynek piętrowy z bramą wjazdową na dawny dziedziniec klasztorny; brama z obszerną sienią któréj śmiało można przypisać znaczenie obronne i dodać most zwodzony. Jeden téż Sulejów zachował po za murem ów rozdział planu na część przodkową gospodarczą i część zakonną. W Jędrzejowie po zabudowaniach gospodarczych pozostał tylko plac obszerny pusty, w Wąchocku i Koprzywnicy reszty tu i owdzie świecą. Za nim wejdziemy na dziedziniec klasztorny, zatrzymajmy się u bramy: zamkniętą ona jest w średniowieczu, otwiera ją gościnność.

Jeżeli w krajach o wyższéj od naszego kulturze klasztory były miejscem przytułku dla podróżnych w takim XII, XIII wieku, a rozstawione wśród sąsiednich pól figury przydrożne a często i tak zwane *latarnie zmarłych* wskazywały wśród zawiei lub ciemności nocnych drogę do tego przytułku, to wątpić niemożna, że takiemi schronieniami były w tych czasach i nasze małopolskie klasztory. Pobyt Kazimierza W. w Koprzywnicy, po wypadku w Przedborzu, tuż w pobliżu Sandomierza, okazuje, że gościnność i opieka znajdowała się tu większą niż w domu kasztelana na zamku Sandomierskim. Nie może to być fakt oderwany; ale historya w tak drobne sprawy nie wdaje się, iżby nam łatwo było innemi dowodami fakt, że klasztory były u nas gościnami, zaznaczyć. To pewna, że jak w klasztorach francuzkich XII wieku, tak i w naszych, tuż przy bramie jest pomieszczenie dla gości obok mieszkania furtyana a bywały i kaplice dla podróżnych. Myślę, że ta bramka z pięterkiem w Wąchocku takie miała przeznaczenie, ma ona cztery lokalności i stajnię niewielką. Wedle obyczaju Cystersów, gdy podróżny zakołatał do bramy, brat furtyan wstawał, mówiąc: *Deo gratias*, i szedł otwierać przychodniowi w milczeniu, prócz słowa powitania *Benedicite*, które wymawiał klęczący. Zawiadomiony opat powinien był wyjść do gościa i wprowadzić go do kaplicy przy bramie. Po krótkiéj modlitwie opat powierzał podróżnego osobnemu braciszkowi, który miał obowiązek dać schronienie jemu, jego służbie i koniowi. Opat zasadzał gościa do swego stołu.

Taką bramą wstępuje się na dziedziniec klasztorny w Sulejowie. Jak okiem zasięgnąć na prawo i lewo ciągną się przy murze stare budowle, niskie bezpiętrowe i piętrowe, budowane z kamienia lub cegły, wiążące się z basztami. To dawne *grangiae* czyli spichrze, stajnie dla wołów (krów Cystersi nie trzymali), warsztaty kołodziej-

skie i ślusarskie, browary, blech świec, środkiem placu przepływał potok poruszający młyny, folusze, tartaki. Otóż ani potoku dziś tu niema, ani śladu fabryk, ale pusty plac za wielkim jest w obrębie tym, aby niewolno było pomyśleć, że niegdyś był zapełniony. Koryto strumienia daje się odnaléść. W Jędrzejowie za pamięci dziadów naszych nie brakło zabudowań gospodarczych na takim dziedzińcu a dotąd woda go przepływa. Skromny to strumyk dzisiaj ledwie sączący swe wody.

W *Koprzywnicy* w ruinach stoją zabudowania gospodarcze, ale młyn na *Koprzywiance* czynny dotąd, w murach swych i arkadzie głównéj sięga co najmniéj XIV wieku.

(*d. c. n.*) *Władysław Łuszczkiewicz.*

DOZORY BÓŻNICZE

W KRÓLESTWIE POLSKIEM.

Opłakane wypadki zaburzeń ulicznych mimowoli zwróciły uwagę na jednę z instytucyj wyznaniowych żydowskich, mianowicie na dozory bóżnicze. Nie od rzeczy będzie zatém zastanowić się bliżéj nad organizacyą tych władz, zbadać ich gospodarstwo i przekonać się, jak rozwija się samorząd, przysługujący gminom żydowskim. Główną jednak napotykaną tu przeszkodą jest brak danych statystycznych dla całego kraju; postanowiliśmy tedy przyjrzéć się trzem gminom żydowskim, położonym w powiecie Mławskim, a mianowicie: Radzanowu, Kuczborkowi i Szreńskowi. Nie myślimy bynajmniéj z danych odnoszących się do trzech tych okręgów, wyprowadzać, ogólnych wniosków; sądzimy jednak, że i ta mała wiązanka faktów potrafi rzucić pewne światło na całą tę sprawę.

Zanim przystąpimy do zbadania gospodarstwa trzech wymienionych gmin, zastanówmy się nad prawnym ustrojem dozorów bóżniczych.

Poprzednikami dozorów były oslawione kahały, zniesione w myśl art. 1 post. król. z d. 1 stycznia 1822 r. (1). Ustanowione w ich miejsce dozory bóżnicze otrzymały nazwę swą na wzór dozorów kościelnych w wyznaniu rzymsko-katolickiém. W wydanych postanowieniach objaśnienia takiego nie spotykamy; lecz o ile się zdaje, pierwotną myślą prawodawcy było skierować działalność dozorów do utrzymania bóżnic.

Obecny ustrój dozorów opiera się na prawach, wydanych za czasów Królestwa kongresowego i małe zaledwie zmiany poczyniono w czasach późniejszych.

(1) D. P. T. 7, str. 276.

Zasadniczemi rozporządzeniami prawodawczemi są tu: postanowienie namiestnika z d. 20 marca 1821 r. a głównie cyrkularz komisyi rządowéj wyznań religijnych i oświecenia publicznego z d. 24 kwietnia 1821 r. (*patrz Prz. odn. się do czyn. rz. gub. i nacz. pow. Wydział wyznań. Rok 1866 str. 148 i 150*).

W myśl tych przepisów, a także zgodnie z decyzyą b. Rady Adm. Kr. Pol. z d. 7 września 1830 r. (*D. P. T. 13 str. 147*) dozór bóżniczy składa się z rabina lub tymczasowego jego zastępcy i trzech członków, dozorcami bóżnicznymi zwanych. Osoby te są wybierane na przeciąg lat trzech przez zgromadzenia parafian tj. mieszkańców wyznania mojżeszowego, opłacających prawem określone składki na utrzymanie instytucyj wyznaniowych. W miejscowościach, gdzie do parafii żydowskiéj należy wielu mieszkańców, osiadłych po wsiach, jeden z dozorców musi być koniecznie z ich liczby wybrany, (*por. cyrk, z d. 29 grudnia 1829*).

Zatwierdzanie rabinów i członków dozoru należy do osobistego rozporządzenia gubernatora w rządzie gubernialnym, (*patrz dodatkowe przepisy do ustawy o zarz. guber. i powiatowym w guberniach Król. Pols. D. P. T. 68 str. 29*). Pokrewieństwo dozorów bóżniczych z kościelnemi uwydatnia się przy rozbiorze składu obu tych władz.

Dozory kościelne, z mocy post. królewskiego z d. 25 grudnia/6 stycznia 1823/4 roku (*D. P. T. 8 str. 320*) składają się z dwóch rodzajów członków: z należących do nich z urzędu, ze względu na zajmowane stanowisko i z wybieralnych. Do pierwszych należą: kolator dziedzic i dziekan miejscowy, do drugich zaś: trzéj inni parafianie, powoływani do spełniania obowiązków swych przez wybór członków parafii, do których zaliczają się wszyscy katolicy, mający prawo udziału w zebraniach gminnych, nie wyłączając sędziów pokoju, osób stanu duchownego i urzędników policyi powiatowéj, posiadających określoną prawnie przestrzeń gruntu.

Widzimy tedy, że skład obu dozorów jest wielce do siebie zbliżony. Członków wybieralnych jest jednakowa liczba, a prócz tego tu i tam spotykamy przedstawiciela władzy duchownéj.

Dozorcy bóżniczni korzystają z pewnych ulg, które równoważą niejako tę okoliczność, iż czynności swoje spełniają bezpłatnie. Tu należy przedewszystkiém zwolnienie członków dozorów bóżniczych od składek etatowych w czasie pełnienia obowiązków.

Źródło tego przywileju spoczywa w początkowéj niechęci żydów do dozorów bóżniczych.

Dozory w porównaniu z kahałami, posiadały niewielkie znaczenie, a to ostatnie wydawało się ludności żydowskiéj już z tego względu mniejszém, iż cała instytucya dozorów bóżniczych określoną była

przez pewne stałe przepisy. Rezultatem takiego usposobienia mas żydowskich, było uchylanie się od przyjmowania obowiązków dozorców; władze starały się usunąć tę trudność i b. komisya wyznań religijnych i ośw. publ. rozporządzeniem z d. 17 lutego 1826 r. postanowiła, iż każdy żyd, na członka dozoru wybrany, wolnym zostaje od składki bożniczéj przez czas sprawowania téj funkcyi, a nadto w ciągu trzech lat po opuszczeniu swych obowiązków wolnym będzie od podobnéj składki.

Z biegiem czasu ludność żydowska zaczęła z większą ufnością spoglądać na instytucyą dozorów bóżniczych. Podług opinii komisyi spraw wewnętrznych (*p. cyrk. z d. 31 marca/12 kwietnia 1849 r.*) środek powyższy głównym był do téj zmiany bodźcem. Żydzi chętniej zaczęli się ubiegać o udział w dozorach.

„Wprawdzie w początkach, powiada komisya, konkurencya ta była powiększéj części ze strony żydów mniéj zamożnych, którzy w wyborze na członków dozorów zakładali tylko interes materyalny, to jest wolność od składki przez lat sześć, z postępem wszakże czasu zaczęli wchodzić do dozorów żydzi najzamożniejsi i ucywilizowani, którzy zniesienie kahałów i zaprowadzenie w ich miejsce dozorów znajdując rzeczywiście dla interesów gmin swych współwyznawców nader pożytecznem—z drugiéj zaś strony, chcąc w przewodniczeniu gminom szukać dla siebie zasług i pewnego znaczenia, nie tylko chętnie podejmują się obowiązków dozorców, ale nawet, po większéj części, obok dobrowolnego uiszczania zwyczajnych na rzecz gminy składek, od opłacania których zacytowane wyżéj rozporządzenie czyni ich wolnemi, niosą jeszcze częstokroć znaczne na potrzeby gmin ofiary.“

Nie ulega wątpliwości, iż, wspominając o żywiole ucywilizowanym, komisya spraw wewnętrznych mogła mieć na myśli tylko większe miasta, gdyż w mniejszych ludność żydowska składała się wówczas, jak i obecnie, z mas całkiem nieoświeconych.

Członkowie dozoru kościelnego z podobnego przywileju niekorzystają. Jeżeli dzisiaj, wobec zniesionych składek obowiązkowych na utrzymanie kościoła, rzecz ta stala się naturalną, to już poprzedni stan rzeczy wskazuje na mniejsze przywileje członków dozorów kościelnych.

Prócz zwolnienia od składek, dozorcy otrzymują pierwszeństwo przy czytaniu rodałów itp.

Rozejrzawszy się pokrótce w organizacyi dozorów bóżniczych, przejdźmy do ich czynności.

Czynności dozorów zostały określone przez szereg postanowień i przepisów. Art. 1 post. namiestnika z d. 20 marca 1821 r. orzeka,

iż dozór bóżniczy winien układać corocznie etat wydatków na utrzymanie bóżnicy, szkoły, rabina i ubogich parafii, a także etat funduszu mającego pokryć rzeczone wydatki. Postanowienie b. Rady Administracyjnéj z d. 7 września 1830 roku (*p. D. P. T. 13 str. 147*) włożyło obowiązek na dozory co do czuwania, aby księgi prowadzone przez rabinów, tak zwane zapisowe, utrzymywane były porządnie. Daléj cyrkularz kom. spraw wew. z d. 11 listopada 1843 r. (*Przepisy etc. str. 164*) powierzył dozorom zawiadywanie cmentarzami i funduszem otrzymywanym z pokładnego. Postanowienie komitetu urz. z d. 14 (26) czerwca 1868 r. (*D. P. T. 68 str. 337*) nadało dozorom prawo mianowania i uwalniania szkolników, rzezaków, pukaczy i innéj niższéj służby przy bóżnicach.

Z rzędu tych osób, na mocy uchwały komitetu do spraw Królestwa Polskiego z d. 11 maja 1873 r. rzezacy zostali usunięci, a ich wybór łącznie z całą służbą przy zarzynaniu bydła i ptaków na koszer pozostawiono osobom, życzącym sobie handlować mięsem koszerném za obopólną zgodą z wymienionemi osobami.

Wreszcie ukaz z d. 19 czerwca 1870 r. (*D. P. T. 70 str. 199*) oddał opiekę nad ubogimi starozakonnymi a także zawiadywanie domami schronienia dla nich urządzonemi—dozorom bóżniczym.

Wszystkie wymienione czynności wykonywają dozory w powołanych trzech okręgach bóżniczych. Mamy pod ręką etaty dochodów i wydatków za czas od r. 1863 do 1883; etaty są sporządzane co lat trzy, tak że ten okres czasu obejmuje siedm etatów. Jak wiemy, zawiadywanie cmentarzy wchodzi w obręb działań dozorów, otóż w okręgu Radzanowskim za cały ten czas znajdujemy dochodu

z pokładnego	Rs. 1	kop. 77 $^1/_2$
w okręgu Szreńskim	„ 1	„ 66
„ „ Kuczborskim	„	„ 50

Osada Radzanowo liczy żydów 584, Szreńsk 1100, Kuczbork 560. Nie mamy danych o liczbie zejść, w każdym jednak razie, przy zestawieniu ludności z dochodem z tego źródła uderzyć musi niezwykła szczupłość jego. Domów schronienia w trzech wymienionych osadach niema wcale, a opieka nad ubogimi, jak zobaczymy niżé j, zaj muje miejsce bardzo podrzędne.

Wszystkie czynności dozorów noszą na sobie cechę gospodarczą, tak że nawet nadzór nad szkołą odnosi się wyłącznie do materyalnego jéj utrzymania.

Jedyną czynnością, wychodzącą po za sferę gospodarczych interesów wyznaniowych, jest nadzór nad księgami zapisowemi, utrzymywanemi przez rabinów, którzy do nich zapisują, wszystkie urodzenia małżeństwa i zejścia.

Aczkolwiek dozory bóżnicze nie mogą podług prawa wkraczać w sferę moralnych interesów, jednak i tak prawo nadaje im większy samorząd, niż podobnym dozorom kościelnym. Różnicę tę zauważyć można i w trzech wspomnianych dozorach, jakkolwiek uwydatniają one małą bardzo działalność. Rozkład obowiązkowéj składki, wydzierżawianie kąpieli religijnéj— są to czynności, których prawodawca dozorom kościelnym nie powierzył.

Dozory kościelne czuwają tylko nad kościołami, cmentarzami i nad wszystkiém, co z niemi w ścisłym jest związku. Obowiązane są one dbać o utrzymanie kościoła w należytym porządku, mieć dozór nad wszelkiemi zabudowaniami kościelnemi, ogłaszać warunki licytacyjne i t. p. (*por. post. b. Rady Administracyjnéj z d. 15/27 marca 1863 r. D. P. T. 61, str. 163*). Działalność dozorów kościelnych jest dziś znacznie skrępowaną, z powodu zniesienia wszelkich prawie składek obowiązkowych, wnoszonych przez parafijan. Dozory kościelne obowiązane są nadto ściągać część obowiązkową z majątku duchownych na rzecz kościoła.

Z całéj sfery działalności dozorów bóżniczych na szczególną baczność zasługuje kwestya budżetowa i związana z nią sprawa dochodów i rozchodów bóżniczych. Podług brzmienia punktu 2-go cyrkularza b. komisyi wyznań religijnych i oświecenia publicznego z d. 24 kwietnia 1821 r. (*Przepisy i t. d. str. 150*), dozorcy bóżniczni przy układaniu budżetu powinni stosować się do życzenia większéj części współparafian.

Pomimo tak wyraźnie zastrzeżonego warunku, nie jest on wcale w rzeczywistości zachowywany. Dozory bóżnicze wogóle postępują tu zupełnie arbitralnie, uważając się za nieograniczenie upoważnione do wszystkich bez wyjątku czynności. I w rozpatrywanych okręgach bóżniczych rzeczy mają się tak samo. O ile nam wiadomo, i tam nie odbywają się żadne zgromadzenia parafialne, na których kwestya budżetowa byłaby rozbieraną.

Dochody okręgów czyli parafij bóżniczych pochodzą z dwu kategoryi: *a*) z opłat od obrządków religijnych i *b*) ze składek od parafian (*p. 3 Cyrk. z d. 24 kwietnia 1821 r.*). Opłaty pierwsze zostały wyszczególnione w cyrkularzu b. komisyi wyznań religijnych i oświecenia publicz. z d. 26 września 1822 r. (*Przepisy etc. str. 200*), są one następujące:

1) opłaty od łaźni;
2) „ „ ślubów;
3) „ „ obrzezania;
4) „ „ pogrzebów;
5) „ z króbki;

6) opłaty od wkupna do bóżnicy;
7) „ „ zakupienia pierwszeństwa miejsc przed torą;
8) „ „ wydzierżawienia ławek w bóżnicy;
9) ofiary składane przed sądnym dniem, zielonemi świątkami etc.
10) „ od rajskiego jabłka;
11) „ „ czytania rodału;
12) składki na mąkę wielkanocną;
13) dochód z przedaży wosku pozostałego po sądnym dniu;
14) „ z kollekt;
15) „ ze skarbonki.

Opłaty te nie wyczerpują wszystkich jakie mogą być ustanowione. Podług brzmienia powyższego cyrkularza, mogą być inne jeszcze opłaty, stosownie do zwyczajów miejscowych. W ostatnich czasach komitet urządzający cyrkularzem z d. 30 września 1870 r. potwierdził treść powyższego rozporządzenia. Przy tak dowolném ustanawianiu różnorodnych opłat, prawodawca zalecił zachowanie jednego tylko warunku, a mianowicie, iż opłaty powyższe stosować się winny do wysokości składki etatowéj t. j. rozmiary ich winny odpowiadać pojedyńczym klasom parafian.

Rozbierane przez nas okręgi bóżnicze nie znają wszystkich powyższych opłat. Wogólności dochody kasy bóżniczéj są w etacie podzielone na stałe i niestałe. Zwraca jednak na siebie uwagę ta okoliczność, iż jednostajności co do podziału dochodów niema w tych okręgach. Etat Radzanowski zalicza do dochodów stałych:

1) dzierżawę czytania rodałów,
2) dzierżawę kąpieli religijnéj,
3) dochód z pokładnego;

do dochodów zaś niestałych — tylko składkę bóżniczą.

Etat Szreński dochód z pokładnego zalicza do dochodów niestałych, wreszcie etat Kuczborski przyjmuje ten sam porządek, co i Szreński, zaliczając do dochodów niestałych ofiary dobrowolne na pogrzebach. Prócz tych dwu kategoryj dochodów, etaty Szreński i Kuczborski obejmują jeszcze dochody oczekiwane, które nazwę taką noszą z tego względu, iż rzeczywiście nie zostały osiągnięte. Widzimy tu niektóre z opłat, powyżéj przez nas wymienionych.

Etat Szreński zalicza tu:

		rs.	kop.
1)	z dobrowolnych ofiar przy czytaniu rodałów .	rs. 1	kop. 50
2)	z dochodu ze skarbonki.	„ 2	„ 30
3)	z ofiar na pogrzebach	„ 1	„ 80
4)	„ przy urodzeniach i ślubach	„ 1	„ 40
5)	„ zbieranych po domach	„ 1	„ 60
	do przeniesienia	rs. 8	kop. 60

	z przeniesienia	rs. 8	kop. 60
6) z ofiar maskir neszumes (zaduszki)	. . . . . .	„ 2	„ 10
7) „ dawanych w naturze	. . . .	„ 2	„ 50
	Łącznie	rs. 13	kop. 20

Etat Kuczborski:

1) z ofiar przy urodzeniach i ślubach	. . . . .	rs. —	kop. 50
2) „ codziennie zbieranych przy nabożeńst.		„ —	„ 50
3) „ przy czytaniu rodałów	. . . .	„ —	„ 50
4) „ zbieranych po domach	. . . .	„ 1	„ —
5) „ maskir neszumes (zaduszki)	. . . . .	„ 1	„ —
6) „ dawanych w naturze: z drzewa, świec itp.		„ 1	„ —
	Łącznie	rs. 4	kop. 50

Tak więc bardzo niewielka liczba opłat religijnych figuruje w etatach trzech rozbieranych okręgów. Zwracając się do cyfr, widzimy, iż dzierżawa z czytania rodałów przyniosła:

1) w okręgu Radzanowskim rs. 6 corocznie za cały okres.

2) w okręgu Szreńskim w latach: 186³/₅ rs. 16 kop. 38, — 186⁶/₈ rs. 16 k. 38,—186⁹/₇₁ rs. 16 k. 38,—187²/₄ rs. 16 k. 75,—187⁵/₇ rs. 19,—18⁷⁸/₈₀ rs. 19, — 188¹/₃ rs. 19.

3) w okręgu Kuczborskim w latach: 186³/₅ rs. 2 kop. 62, — 186⁶/₈ rs. 2 kop. 62, — 186⁹/₇₁ rs. 2 kop. 62, — 187²/₄ rs. 2 kop. 62, — 187⁵/₇ rs. 2 k. 62, — 18⁷⁸/₈₀ rs. 6 k. 61, — 188¹/₃ rs. 6 k. 61.

Drugie z kolei źródło dochodu jest dzierżawa kąpieli religijnéj, mykwą zwanéj. Przyniosła ona:

1) w okręgu Radzanowskim we wszystkich trzechleciach rs. 3 kop. 90; w ostatnim tylko etacie na lata 188¹/₃ dochód z tego źródła nie figuruje wcale, a to z tego powodu, iż dopiéro niedawno kąpiel religijna w osadzie Radzanowie ukończoną została.

2) w okręgu Szreńskim dochód z tego źródła wynosił w trzechleciach: 186³/₅, 186⁶/₈ i 18⁶⁹/₇₁ rs. 21 kop. 60, — w 187²/₄ r. rs. 22 kop. 50,—a w r. 187⁵/₇, 18⁷⁸/₈₀ i 188¹/₃ rs. 105 kop. 15. Jak widzimy, od r. 1875 dochód z kąpieli wzrósł bardzo znacznie; jaka tego przyczyna, nie wiemy, lecz o ile się zdaje, w Szreńsku zbudowano wówczas nową mykwę.

3) w okręgu Kuczborskim wreszcie w pierwszych trzechleciach kasa bóżnicza pobierała tytułem dzierżawy po rs. 3 kop. 50 rocznie, w następnych dwóch po rs. 4 kop. 16, wreszcie od r. 18⁷⁸/₈₀ rs. 7 k. 60, a od r. 188¹/₃ rs. 7 kop. 74.

Dochód z pokładnego jest we wszystkich okręgach również nieznaczny, jak i z poprzednich dwóch źródeł. W parafii Radzanowskiéj pozostał się niezmiennym za cały rozpatrywany okres, a miano-

wicie rs. 1 kop. 77½,—w Szreńskiéj tylko rs. 1 kop. 66,—w Kuczborskiéj najmniéj bo kop. 50.

Do kategoryi tychże dochodów należy zaliczyć wykazane w etacie okręgu Kuczborskiego ofiary na pogrzebach w ilości rs. 2 za cały rozbierany okres czasu.

Oto wszystkie dochody, które do rzędu opłat za obrządki religijne należą. Stanowią one, jak widzimy, we wszystkich trzech okręgach kwoty bardzo nieznaczne. Tak bowiem w okręgu Radzanowskim stanowiły one przez cały okres czasu od roku 1863 do r. 1883 w pojedyńczych trzechleciach rs. 11 kop. 67½, wyjąwszy ostatniego za lata 188¹/₃, gdy dochód tego źródła wynosił tylko rs. 7 kop. 77½. Stosunek procentowy opłat do ogólnych dochodów etatowych, przy łącznéj kwocie w ostatnich trzechleciach za lata: 18⁶³/₇₄ rs. 193 k. 50, od r. 1875 do 1880 rs. 234 kop. 32½ i za lata 188¹/₃ rs. 386 kop. 12½, wynosił 6,03%, 4,13% i 2,01%.

W okręgu Szreńskim łączna kwota opłat religijnych wynosiła:

za lata	1863—71	po rs.	39—64 rocznie
„ „	1872—74	„ „	40—91 „
„ „	1875—83	„ „	125—71 „

Ogólny zaś dochód stanowił:

od roku	1863—1871	po rs.	249—64 rocznie
„ „	1872—1874	„ „	349—37½ „
„ „	1875—1877	„ „	449—33½ „
„ „	1878—1880	„ „	262—32 „
„ „	1881—1883	„ „	472—32 „

Stosunek zatém procentowy wynosił:

w latach	1863—71	— 16%
„	1872-74	— 11,7%
„	1875—77	— 28%
„	1878-80	— 47,9%
„	1881—83	— 26,6%

Wreszcie w okręgu Kuczborskim stosunek opłat religijnych do ogółu dochodów tak się przedstawia:

Od roku	1863—71	wynosiły opłaty po rs.	8—62 rocznie
„ „	1872—77	„ „ „ „	9—28 „
„ „	1878—80	„ „ „ „	16—71 „
„ „	1881—83	„ „ „ „	16—85 „

co przy ogólnym dochodzie:

od roku	1863—71	rs.	188—62 rocznie
„ „	1872—74	„	174—28 „

od roku 1875—77 „ 173—87 rocznie
„ „ 1878—80 „ 184—15 „
„ „ 1881—83 „ 268—94 „

wynosiło w odsetkach:

za czas od roku 1863—71 — 4,5%
„ „ „ „ 1872—74 — 5,3%
„ „ „ „ 1875—77 — 5,2%
„ „ „ „ 1878—80 — 9,1%
„ „ „ „ 1881—83 — 6,3%

Największy stosunek procentowy przedstawia zatém okręg bóżniczy Szreński, co się zresztą łatwo tłómaczy większém zaludnieniem tego miasteczka i stosunkowo znaczniejszą zamożnością mieszkańców. Zdaje się, że nizki stosunek opłat religijnych do ogółu dochodów jest faktem powszechnym we wszystkich małych miasteczkach, a i w większych, do których i Szreńsk należy, nie sięga ona nawet 50%.

Wobec tego, główne źródło, pokrywające wydatki gmin bóżniczych, stanowią obowiązkowe składki, przez parafian uiszczane. Podług punktu 6 cytowanego już przez nas kilkakrotnie cyrkularza z d. 24 kwietnia 1821 r. fundusz, brakujący po odtrąceniu opłat od obrządków, winien być pokryty przez składki. W tym celu dozory bóżnicze obowiązane są spisać wszystkich ojców familij, parafią składających, a następnie podzielić ich na pięć klas, stosownie do majątku, przyczem do klasy piątéj zaliczają się żydzi, ubodzy, żyjący z jałmużny, którzy żadnéj składki gminnéj nie opłacają. Cała potrzebna kwota zostaje rozłożoną na dziesięć części, z których jednę opłaca klasa 4, dwie klasa 3, trzy—druga, a 4 części wnosi klasa 1 t. j. najbogatszych parafian. Pomimo tak postawionego przepisu co do podziału składki między członkami okręgów bóżniczych, cyrkularz kom. wyznań relig. i ośw. publ. z dnia 5 maja 1827 r. (*Przepisy etc. str. 204*) znacznie rozszerzył pod tym względem atrybucye dozorów bóżniczych. Podług brzmienia wymienionego przepisu, dozorom bóżniczym służy prawo dowolnego podziału składek. Komisya uznała za konieczne zastosowanie takiego prawa wówczas, gdyby wobec małéj ilości członków należących do jednéj klasy, składka przypadająca na pojedyńczego parafianina mogła być wyższą niż w klasie starszéj.

Zawsze jednak w każdym poszczególnym wypadku postępowanie dozoru bóżniczego musi być przez rząd gubernialny aprobowaném. W końcu należy jeszcze co do składek nadmienić, iż osoby wyznania mojżeszowego, prowadzące proceder w kilku miejscach, cho-

ciażby ciągłego i stałego zamieszkania w żadném z nich nie miały, powinny być oddzielnie z każdego procederu do opłat, narówni z innemi, w stosunku do dochodów, pociągane.

Zwracając się do trzech naszych okręgów, widzimy, iż w gminie Radzanowskiéj ogólny dochód ze składek za czas od roku 1863 do r. 1874 pozostawał bez zmiany w ilości rs. 181 kop. 82½ rocznie od r. 1875 do r. 1880 rs. 222 kop. 65 i wreszcie od r. 1881—83 rs. 386 kop. 12½. Stosunek składek do ogółu dochodów wynosił:

od roku 1863—1874 — 94%
„ „ 1875—1880 — 95%
„ „ 1881—1883 — 98%

Od r. 1863 do dnia dzisiejszego roczne składki wzrosły o rs. 204 kop. 30 czyli o 112,2%.

W Szreńskim okręgu suma ogólna składek wynosiła:

od roku 1863—71 po rs. 210 rocznie
„ „ 1872—74 „ „ 308—46½ rocznie
„ „ 1875—77 „ „ 323—62½ „
„ „ 1878—80 „ „ 131—61 „
„ „ 1881—83 „ „ 346—61 „

Stosunek procentowy stanowił:

od roku 1863—71 — 84%
„ „ 1872—74 — 88,3%
„ „ 1875—77 — 72%
„ „ 1878—80 — 52,1%
„ „ 1881—83 — 73,7%

Nagła zniżka składek w ciągu trzechlecia od r. 1878—80 tłumaczy się zmniejszeniem potrzeb, spowodowaném usunięciem rabina. Nowemu jednak rabinowi wyznaczono w następném trzechleciu pensyę o rs. 100 wyższą. Pociągnęło to za sobą nowe podniesienie składek etatowych. Wreszcie w parafii Kuczborskiéj składki wynosiły:

od roku 1863—71 po rs. 180— rocznie
„ „ 1872—74 „ „ 165— „
„ „ 1875—77 „ „ 164—59 „
„ „ 1878—80 „ „ 167—44 „
„ „ 1881—83 „ „ 252—9 „

Stosunek procentowy do ogółu dochodów wynosił:

od roku 1863—71 — 95,5%
„ „ 1872—74 — 94,7%

od roku 1875—77 — 94,8%
„ „ 1878—80 — 90,9%
„ „ 1881—83 — 93,7%

W tym okręgu wzrost składek był nieznaczny, wynosił on bowiem od r. 1863 do r. 1883 rs. 72 kop. 9, czyli 40% albo roczne powiększenie wynosiło zaledwie 2%.

Tak więc składki obowiązkowe stanowią główną rubrykę dochodów parafijalnych. Regulują się zaś one potrzebami gminy a zwiększenie lub zmniejszenie ostatnich odbija się natychmiast na składkach. Obowiązkowość składek bóżniczych stanowi ważny bardzo przywiléj, który dawniéj przysługiwał i gminie rzymsko-katolickiéj, dziś zaś przypada w udziale tylko gminie administracyjnéj. Parafije katolickie pozbawione zostały prawa nakładania składek obowiązkowych w myśl art. 3 Ukazu z d. 14 (26) lipca 1864 r. (*D. P. T. 62, str. 283).* Składki mogą być wnoszone tylko za zgodą parafijan. Jedyny wyjątek stanowią składki uiszczane na zaspokojenie asekuracyi od zabudowań, co jest w związku z obowiązkowém ubezpieczeniem wszystkich bez wyjątku nieruchomości. Ważny przywiléj powyższy daje możność dozorom bóżniczym rozwijać instytucye wyznaniowe; lecz czy postęp jest tu widoczny, zobaczymy niżéj.

Przyjrzawszy się dochodom przejdźmy z kolei do rozbioru wydatków bóżniczych.—Przepisy prawne nie określiły ich ściśle.

Art. 1 post. b. Rady Administracyjnéj z d. 20 marca 1821 roku (*Przepisy etc. str. 149*) orzeka, iż parafije żydowskie winny ponosić wydatki na utrzymanie bóżnicy, szkoły rabina i ubogich parafij; komisya zaś Wyznań Relig. i Ośw. publ. w cyrkularzu swym z d. 24 kwietnia 1821 r. (*Przepisy etc. str. 150*) zaliczyła do powyższych rozchodów jeszcze utrzymanie szpitala dla ubogich i cmentarza. Daléj, w myśl uchwały b. Rady Administracyjnéj z d. 25 listopada (6 grudnia) 1841 r. członkowie okręgów bóżniczych winni się przykładać do utrzymywania szpitali wyznaniowych. Prócz tego okręgi nie posiadające takich szpitali, obowiązane są ponosić koszta kuracyi w tych szpitalach, do których oddają niezamożnych swych współwyznawców. Odpowiednia kwota musi być zamieszczona w projekcie budżetu bóżniczego: gdyby zaś suma etatowa była niedostateczną, nadzwyczajny rozchód winien być pokryty przez nową składkę.

Wysokość wydatków na utrzymanie bóżnicy, rabina, szpitala dla ubogich, cmentarza i t. p., zostaje oznaczoną przez dozór bóżniczy po porozumieniu się z większością członków gminy wyznania mojżeszowego.

Główną rubrykę wydatków stanowi pensya rabina.

W okręgu Radzanowskim pobierał on:

od roku 1863—80 po rs. 100 rocznie
„ „ 1881—83 „ „ 150 „

Stosunek pensyi rabina do ogółu wydatków wynosił w procentach:

od r. 1863 do r. 1874 — 51,7%
„ „ 1875 „ „ 1880 — 42,6%
„ „ 1881 „ „ 1883 — 36%

W okręgu Szreńskim rabin otrzymywał:

do r. 1863 — 71 po Rs. 150 rocznie
„ „ 1872 — 77 „ „ 200 „
„ „ 1881 — 83 „ „ 300 „

Stosunek procentowy do ogółu wydatków wynosił:

od r. 1873 — 71 — 60%
„ „ 1872 — 74 — 60%
„ „ 1875 — 77 — 44,5%

Wreszcie w Kuczborku pensya za cały okres wynosiła rs. 100 z wyjątkiem ostatniego trzechlecia, w którém doszła do rs. 150. Stanowiła ona w porównaniu z całym etatem wydatków.

od r. 1863 — 71 — 53%
„ „ 1872 — 77 — 52%
„ „ 1878 — 80 — 53%
„ „ 1881 — 83 — 55%

A zatém we wszystkich trzech okręgach pensya rabina wynosi prawie połowę ogólnych rozchodów, a nawet przewyższa takowę. Wszystkie zatém inne potrzeby pokrywa druga połowa dochodów.

Przyjrzyjmy się tym potrzebom, w tym celu przytaczamy etaty rozchodów trzech okręgów za czas od roku 1863 do roku 1883.

I. OKRĘG RADZANOWSKI.

Wyszczególnienie rozchodu	1863/5		1866/8		1869/71		1872/74		1875/7		1878/80		1881/3	
	Rsr.	k.	Rsr.	k.	Rsr.	k.	Rsr.	k.	Rsr.	k.	Rsr.	k.	Rsr.	k.
POZYCYA I.														
Na pensye:														
1. Rabinowi	100	—	100	—	100	—	100	—	100	—	100	—	150	—
2. Szkolnikowi	20	—	20	—	20	—	20	—	20	—	20	—	60	—
3. Urzędnikom rządu gubern.	2	28½	2	28½	2	28½	2	28½	2	28½	2	28½	2	28½
4. Kasyerowi 5% od dochodów	9	67½	9	67½	9	67½	9	67½	11	71½	11	71½	21	20½
5. Pisarzowi dozoru bóżnicz.	—	—	—	—	—	—	—	—	30	—	30	—	30	—
POZYCYA II.														
Na materyały piśmienne:														
6. Na materyały piśmienne dla dozoru bóżnicz.	5	—	5	—	5	—	5	—	5	—	5	—	10	—
7. Na Dz. praw	—	90	—	90	—	90	—	90	—	—	—	—	—	—
8. Abonament wiad. guber.	3	15	3	15	3	15	3	15	3	64	3	64	3	64
POZYCYA III.														
Na podatki:														
9. Na podatki z zabudowań bóżniczych	3	52½	3	52½	3	52½	3	52½	12	72	12	72	12	72
POZYCYA IV.														
Różne wydatki.														
0. Na ogrzewanie bóżnicy	22	69	22	69	22	69	22	69	22	69	22	69	70	—
1. Na leczenie ubogich żydów	20	—	20	—	20	—	20	—	20	—	20	—	20	—
POZYCYA V.														
2. Do rozporządzenia rządu gubernialnego	6	27½	6	27½	6	27½	6	27½	6	27½	6	27½	6	27
Łącznie	193	50	193	50	193	50	193	50	234	32½	234	32½	356	12½

II. OKRĘG SZREŃSKI.

Wyszczególnienie rozchodu.	1863/5		1866/8		1869/71		1872/4		1875/7		1878/80		1881/3	
	Rsr.	k.	Rsr.	k.	Rsr.	k.	Rsr.	k.	Rsr.	k.	Rsr.	k.	Rsr.	k.
POZYCYA I.														
Pensye:														
1. Rabinowi	150	—	150	—	150	—	200	—	200	—	—	—	300	—
2. Kasyerowi 5% od dochodów	12	48	12	48	12	48	18	97	23	75	23	75	23	75
3. Dla urzęd. rz. gubernialnego	4	43½	4	43½	4	43½	4	43½	4	43½	4	43½	4	43½
4. Pensya kaznodziei	—	—	—	—	—	—	—	—	90	—	90	—	—	—
POZYCYA II.														
Na materyały piśmienne:														
5. Kasyerowi i dozorowi	10	80	10	80	10	80	10	80	10	80	10	80	10	80
6. Abonament dz. praw.	—	90	—	90	—	90	—	90	—	—	—	—	—	—
7. Abonament wiad. gubern.	3	15	3	15	3	15	3	15	3	15	3	15	3	15
8. Pisarzowi	—	—	—	—	—	—	30	—	30	—	30	—	30	—
POZYCYA III.														
Na podatki:														
9. Składka ogniowa od bóż.	2	55	2	55	2	55	17	72	23	80	36	78½	36	78½
10. Kuracya biednych żydów w szpit. war.	20	—	20	—	20	—	20	—	20	—	20	—	20	—
POZYCYA IV.														
Na ogrzewanie:														
11. Na ogrzewanie bóżnicy	40	—	40	—	40	—	40	—	40	—	40	—	40	—
POZYCYA V.														
12. Do rozporządzenia rządu gubernialnego	5	32½	5	32½	5	32½	3	40	3	40	3	40	3	40
Łącznie	249	64	249	64	249	64	349	32½	449	33½	262	32	472	32

III. OKRĘG KUCZBORSKI.

Wyszczególnienie rozchodu	1863/5		1866/8		1869/71		1872/4		1875/7		1878/80		1881/3	
	Rsr.	k.	Rsr.	k.	Rsr.	k.	Rsr.	k.	Rsr.	k.	Rsr.	k.	Rsr.	k.
POZYCYA I.														
Na pensye:														
1. Rabinowi	100	—	100	—	100	—	100	—	100	—	100	—	150	—
2. Kasyerowi 5% od doch.	9	43	9	43	9	43	8	81	8	81	9	20	13	44
3. Pensya urzęd. rządu gubern.	1	45	1	45	1	45	1	45	1	45	1	45	1	45
POZYCYA II.														
Na podatki:														
4. Składka ogniowa i szarwar.	1	50	1	50	1	50	3	—	3	—	3	—	3	—
5. Lokal na bóż.	16	25	16	25	16	25	—	—	—	—	—	—	30	—
POZYCYA III.														
Wydatki kancelaryjne.														
6. Materyały piś. i blankiety	11	—	11	—	11	—	11	—	11	—	11	—	11	—
7. Abonament dz. praw	4	5	4	5	4	5	4	5	3	64	3	64	4	9
8. Pisarz. dozoru	—	—	—	—	—	—	13	—	13	—	24	—	24	—
9. Najem stróża	10	—	10	—	10	—	—	—	—	—	—	—	—	—
POZYCYA IV.														
10. Kuracya niezamoż. żydów	25	—	25	—	25	—	25	—	25	—	25	—	25	—
11. Do rozp. rządu gubern.	9	94	9	94	9	94	7	97	7	97	6	86	6	96
Łącznie	188	62	188	62	188	62	174	28	173	87	184	15	268	94

Zanim przejdziemy do rozbioru przytoczonych budżetów, należy się od nas kilka uwag co do niektórych pozycyj.

Przedewszystkiem spotykamy w rozchodach 5% od pobranych dochodów na rzecz kasyera. Pierwiastkowo czynności kasowe załatwiał kasyer miejski, za co w myśl cyrk. kom. wyznań z d. 3 stycznia 1827 r. i 3 lutego 1862 r. pobierał wynagrodzenie do wysokości 5% od pobranych istotnie dochodów. Gdy obecnie czynności kasowe mogą być wykonywane przez jednego z dozorców bóżniczych, ostatni ma prawo pobierać powyżéj oznaczone honoraryum.

Co się tyczy zapomogi, udzielanéj rządowi gubernialnemu a także pewnéj sumy na pensye dla urzędników, należy nadmienić, iż do czynności, związanych z okręgami bóżniczemi, oddawna byli ustanowieni w rządach gubernialnych królestwa, osobni urzędnicy, płatni przez same gminy żydowskie. Do r. 1861 coroczny wydatek na utrzymanie tych urzędników wynosił rs. 1635. W r. 1861 z rozporządzenia b. Rady Administr. z d. 11 kwietnia do sumy téj dodano jeszcze rs. 515. Cała ta kwota w ilości rs. 2.150 zostaje zamieszczaną w etacie ministeryum spraw wewnętrznych i figuruje jako dochód na pokrycie wydatków na pensye urzędników spełniających czynności kancelaryjne, odnoszące się do spraw bóżniczych, za wyłączeniem rządów gubernialnych: warszawskiego i kaliskiego (*Felkner str. 560 dochody bóżnicze*).

Przedstawione etaty trzech powyżéj przytoczonych okręgów bóżniczych nie mieszczą w sobie żadnego rozchodu na utrzymanie szkół. Rubryka taka wcale nie istnieje, a szkół żydowskich nie ma ani w Radzanowie, ani w Szreńsku, ani téż w Kuczborku.

Z kolei, dobroczynne cele bardzo słabo są uwzględnione. Jedyna pozycya, którą tu wymienić można, jest kwota przeznaczona na leczenie niezamożnych chorych. W rozchodach okręgu Radzanowskiego figuruje na ten cel sumą rs. 20 co stanowi zaledwie 5,2% ogólnych wydatków tego dozoru. Takaż kwota zamieszczoną jest w budżecie Szreńskim; w tym okręgu stosunek powyższy wynosi zaledwie 4,2%. Najwyższą kwotę z trzech rozbieranych okręgów przeznacza na ten cel dozór kuczborski, a mianowicie rs. 25 co w porównaniu z ogółem rozchodów stanowi 9,3%. Należy zauważyć, że gdy na inne potrzeby wszystkie 3 okręgi podwyższały cyfrę wydatku, pozycya leczenia chorych pozostawała bez zmiany.

Cały budżet rozchodów we wszystkich trzech okręgach odznacza się jednostajnością za cały ten okres czasu. Zwiększenie wydatków dotyczyło tylko pensyi rabina, podatków, ogrzewania bóżnicy. Okręg kuczborski nie ma nawet własnego domu modlitwy, lecz wynajmuje lokal.

Tak więc postępu nie widać tam wcale; co było w r. 1863 to z małemi zmianami pozostało i na r. 1882.

Nie wiemy czy we wszystkich okręgach bóżniczych Królestwa podobne gospodarstwo istnieje; inaczéj można by wątpić o potrzebie tak ważnego przywileju, jakim są składki obowiązkowe. Nie należymy do zwolenników samorządu popierającego dobroczynność wyznaniową, szkoły wyznaniowe, sądzimy jednak, że jeśli on istnieje, należałoby go wyzyskać dla celów ogólnokrajowych. Takiego jednak dążenia powołane okręgi bóżnicze nie wykazują.

Do składu dozorów bóżniczych, jakeśmy to wyżéj nadmienili należą rabini. Ze względu na stanowisko, jakie ci ostatni w osadach zajmują, rozbierzmy prawa, na których się wspiera instytucya rabinatu. Prawodawca przy określaniu warunków pod względem mianowania rabinów cofnął się ogromnie wstecz.

Celem kształcenia rabinów urządzoną była w Warszawie oddzielna szkoła rabinów. Ustawa z dnia 13 października 1857 r. orzekła, iż uczniowie, kończący w niéj kurs specyalny mogli być mianowani na urzędy rabinów i podrabinów, prócz tego postanowiono, że osoby niepobierające nauk w szkole rabinów, a pragnące otrzymać rzeczone obowiązki, powinny w tym zakładzie złożyć przepisany egzamin.

Na téj zasadzie, i zgodnie z wydanemi przez komisyą rządową przepisami kandydaci, wybierani przez gminy żydowskie na rabinów i podrabinów, nie inaczéj mogli być zatwierdzani na tych urzędach jak na podstawie zaświadczenia zwierzchności szkoły rabinów, że złożyli przepisany egzamin i że posiadają odpowiednie wiadomości, z wskazanych ustawą nauk duchownych i świeckich.

Tak było do roku 1862, gdy szkoła rabinów została zamkniętą. W obec tego komisya spraw wewn. i duchownych wydała nowe przepisy w dniu 16 (28) grudnia 1864 r. Podług nich, kandydaci, wybierani zgodnie z przyjętym porządkiem przez gminy żydowskie na rabinów i podrabinów mogą być czasowo przeznaczani do wykonywania tych obowiązków na podstawie świadectwa głównego rabina każdego miasta gubernialnego, przekonywającego o posiadaniu przez nich koniecznych do tego wiadomości duchownych, jak również poświadczenia właściwéj władzy policyjnéj o zasługującém na zaufanie ich postępowaniu pod względem politycznym.

Nie potrzeba bliższych komentarzy, aby już z powyższego przekonać się, iż przy tak skromnych formalnościach żadnéj gwarancyi co do warunków moralnych kandydata być nie może. Rabin miasta gubernialnego nie jest bynajmniéj powagą, mogącą stanowić o wartości intelektualnéj kandydata. Aby zmienić taki stan rzeczy, należałoby potworzyć seminarya rabiniczne, bez ukończenia których nikt nie mógłby obowiązków rabina pełnić. Oto *pium desiderium* w téj mierze, jedyny środek mogący przekształcić instytucyą rabinów i zmienić ją na pożyteczną krzewicielkę oświaty wśród współwyznawców swoich.

Henryk Konitz.

H. SIENKIEWICZ

W LISTACH Z PODRÓŻY

PO AMERYCE I OBRAZKACH AMERYKAŃSKICH.

W miarę ukazywania się utworów Sienkiewicza rosła sława autora, którego krytycy słusznie dziś zaliczają do grona pierwszorzędnych sił literackich. Główną jednak uwagę zwracano i zwracają do dziś dnia na nowelle jego wykazujące ujemne strony społeczeństwa polskiego i instytucyj krajowych (jak np. Humoreski, Szkice węglem, Janko muzykant, Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela i t. p.), co się z łatwością wytłómaczyć daje ogólnym kierunkiem nowszego ruchu na polu literatury i życia społecznego. Ale wyżéj wzmiankowanym nowellom nie ustępują zdaniem naszém i te utwory Sienkiewicza, co się pod inne kategorye podciągnąć dają, a z pośród których szczegółowo postaramy się rozebrać listy z podróży po Ameryce i śliczne obrazki, które natchnęła autorowi naszemu wspaniała przyroda Nowego świata.

Listy z podróży stosownie do całkowicie odmiennych wrażeń, jakie odbierał autor, mogą być podzielone na dwie odrębne części. Pierwsza opisuje przejazd przez Niemcy i Anglią, przeprawę Oceanem do Nowego świata, New-York i społeczeństwo amerykańskie (w VI rozdziale, II tomu); tu autor pozostaje w ciągłéj styczności ze światem i z ludźmi cywilizowanymi. Druga zaś część (począwszy od VII rozdziału w II tomie, a także IV, V „koleją dwóch oceanów") nosi widoczny ślad ogromnego wrażenia, jakie wywarły na umyśle podróżnika cudna dziewicza przyroda i zupełnie nowi ludzie tak odmienni od tych, których przedtem spotykał.

W pierwszéj części mamy przed sobą turystę dowcipnego, poetycznego, a jednocześnie pilnie badającego otaczający go świat i lu-

dzi,— humor przeplatany poetycznémi opisami przeważa w listach opisujących Niemcy, Anglią i przeprawę oceanem, uważna i sumienna krytyka w listach z Ameryki. Ale ani te ani drugie bliżéj zająć nas nie mogą, gdyż rozbiór ich musiałby polegać głównie na ocenieniu, o ile autor wiernie i trafnie zdał nam sprawę z tego co widział, ponieważ zaś rozpatrywać je zamierzamy nie z tego stanowiska, możemy więc przejść wprost do części drugiéj.

Tu przedstawia się oczom świat zupełnie nowy: zniknęły miasta, rojące się w nich tłumy ludzi, dymy fabryk, a natomiast stepy bez końca, dziewicze lasy i ludzie, ale niepodobni do cywilizowanych swych współbraci. Nie przestaje pomimo to autor opisywać przygód nastręczających się z właściwym sobie humorem i życiem; ładny daje nam obraz polowania w dzikich tych puszczach, porównywa Meksykanów z Yankesami, wiele téż mówi o stosunku Indyan do białych, ale po nad tém wszystkiém góruje wzniosłe, poetyczne, a jednocześnie tęskne uczucie, które wzbudził w duszy jego widok cudnéj, a ręką ludzką nietkniętéj przyrody; zmęczył go świat cywilizowany i wszystkie jego niedostatki i krzyżujące się nieustannie i powikłane stosunki ludzkie i wynikająca ztąd drobiazgowość życia powszedniego, które prowadzi za sobą, jako nieodzowny wynik, stopniowe zapominanie wszelkich wznioślejszych celów. Z radością oddala się on na łono przyrody, pragnie zapomnieć o własném „ja,“ a rozpłynąć się we wszechistnieniu. Jedném słowem charakterystyczną cechą téj części listów, tęsknota do zlania się z naturą. Daléj, gdy podróżnik nasz przebył Detroit, Chicago, rzekę Missisipi, Stan Jowa, roztoczyły się przed nim olbrzymie stepy Nebraski; tu głęboko wrażają się w pamięć czytelnika trzy stroniczki, natchnione majestatyczną ciszą stepów pogrążonych we śnie zimowym. Oto ustępy:

„Lubimy naprzykład morza, stepy, a jednak, według zwyczajnych prawideł estetyki, kładących spokojną harmonią, jako pierwszą zasadę piękności, nie masz w nich nic estetycznego. Cóż bowiem jest w téj bezbrzeżnéj równinie stepowéj? Nic. Pustka tylko. Szara dal zlewa się z niebem na krańcu widnokręgu — milczenie w około: głusza, śmierć prawie. A jednak step nęci i wabi. Chciałbyś siąść na koń i puścić się nim, i gonić i gonić; chciałbyś ot wykąpać się w nieskończoności i rozłożyć ręce na koniu i krzyczéć: hej! hej stepy! i zapamiętać się w nich i obłąkać i żyć.

„Czemże wytłómaczyć ten niepojęty urok? Oto właśnie dlatego, że tam tak pusto i bezbrzeżnie i nieskończenie, że tam wszystko jest tylko wszystkiem, że tam jednostkowe odrębne objawy życia nikną, że tam tylko *jedna*, *wielka dusza:* dlatego step tak nęci i pociąga.

Jesto niby odbrzask nirwany i wszech życia, a tęsknota za niem leży w ludzkiéj duszy.“

Poetyczne ustępy, tu i owdzie rozsiane w dwóch tych rozdziałach (IV i V), stają się coraz częstszémi w opisaniu pobytu w Anoheimskiéj dolinie, u skwatera Horrysona i przeprawy morskiéj z Los Angelos do San Francisco. Listy te jednak nie są nieprzerwanym hymnem w cześć Matki-Natury, bo w takim razie straciłyby cechę listów,—rozumny podróżnik powinien zastanawiać się i zdawać sprawę ze wszystkiego co widzi, obrazy zaś przyrody, chociażby najpiękniejsze, zraziłyby ostatecznie czytelnika swą jednostajnością, tymczasem urozmaicone opisami przygód i poglądami autora, większe wywołują wrażenie i dłużéj pozostają w pamięci, témbardziéj gdy je skreśla mistrzowskie pióro Sienkiewicza. W każdym razie po przeczytaniu téj części listów wyznać musimy, że przenika je nawskróś panteistyczne uczucie tęsknoty do natury, płynące ze zniechęcenia do ujemnych stron cywilizacyi.

„Czasem siadałem w małą łódź—powiada autor— i płynąłem do poblizkich ławic piaszczystych, odległych zaledwie o kilkaset stóp od brzegu. Tam siadłszy na piasku, wsłuchiwałem się w to życie ptasie, gwarne, wesołe i swobodne. Tysiące mew siedziało na jajach, inne kwiląc krążyły nad wodami: pelikany siadały tuż koło mnie, i pozakładawszy głowy na grzbiety, przypatrywały się filozoficznie wszystkiemu, jakby zastanawiając się nad porządkiem świata; wielkie kulony morskie brodziły po brzegach i zmykając kłusem przed nadchodzącą falą, zdawały się znów ją gonić, gdy wstępowała na głębiny: wszystko jednak przedewszystkiém szukało żeru: jeść, podtrzymać życie; jeść i jeść; oto jedyna praca i jedyna troska bezwiedna tego świata. Gdy się w to wpatrzysz, a wsłuchasz, wydaje ci się, że ta walka o istnienie, że ta staranność w podtrzymywaniu życia, ta dziwna energia niema w sobie nic indywidualnego: że to objaw jakiejś ogólnéj zasady, świadoméj siebie, czy nieświadoméj, ale stanowiącéj istotę wszech-życia.

„I znowu popadałem w ów panteizm, który tysiące lat temu śnił się już ludziom nad brzegami Gangesu, na górach Iranu i nad błękitnemi falami Archipelagu. Zdawało mi się, że ten świat ptaków i moje żółte wyspy piaszczyste i fale płynące z gwarem i łkaniem z niezmiernych przestrzeni, i wiatr, który porusza głupie, tłuste roślinki, rosnące na słonym gruncie: że to wszystko ma tylko jednę wielką duszę, że to jeden wielki Zews grecki, któremu podobało się wziąć na się szatę, zwaną przez nas światem zjawisk.“

Pomimo panteistycznych tych zachwytów, autor „całą duszą wyrywa się nieraz do Warszawy, między te stosunki literackie, wal-

ki prądów, myśli i osobistości nawet," — tęsknota ta wzmogła się po otrzymaniu pism warszawskich od Horaina. „Bywały chwile—powiada — w których myślałem, że mi to wszystko zbrzydło, w których czułem się zmęczony i utęskniony za naturą, ale teraz znów dawny nałóg odzywał się z niepojętą siłą."

W dalszych rozdziałach listów, w nowellach „Przez stepy" i „Orso" uczucia te, jak obaczymy niżéj, coraz mniéj znaczne, natomiast goni autor coraz więcéj za odpoczynkiem na łonie natury niepokalanéj jeszcze i wśród ludzi natury z charakterem odpowiednim olbrzymiemu otoczeniu warunkom, wśród których żyją. Widok ich zaciera przykre wrażenie, wstręt niemal, jaki budzą tak dalekie od naturalnéj prostoty stosunki towarzyskie w sferach cywilizowanych.

Pytamy teraz siebie skąd w duszy współczesnego pisarza te panteistyczne marzenia, ta chęć zapomnienia o własném istnieniu, a zlania się ze wszechbytem, to niezadowolenie ze świata, to szukanie idealnych ludzi na łonie natury, jedném słowem wszystkie te cechy, przypominające nam to pesymizm nowoczesnéj filozofii, to znów wzniosły sentymentalizm Roussa lub Schillera, lub idyllików wszystkich czasów i narodów, począwszy od Teokryta?

Odpowiedź znajdziemy, jeśli zdamy sobie sprawę z nastroju umysłowego w jakim znajdowała się inteligencya w chwili, gdy Sienkiewicz i kraj i świat stary opuszczał.

Po roku 1830 nastąpił wielki zwrot w literaturze: cierpienia narodu rozegzaltowały do najwyższego stopnia uczucia patryotyczne, pod wpływem których wieszcze nasi zapominając o ciemnych stronach narodu, a widząc wszystko w świetle promieni własnego spotęgowanego uczucia, stworzyli ideały szczytne, porywające, ale niestety niemożliwe przynajmniéj przy obecnych warunkach, a fałszywie pojęte przez współczesnych i dziś nawet mało rozumiane. Temu przypisać należy późniejszy chorobliwy rozrost poezyi na gruncie naszym płaczącéj, rozmarzonéj, z przekleństwem na świat i ludzi, a nieumiejącéj współczuć nowym pragnieniom i dążnościom.

Reakcya musiała nastąpić. Zwrócono się ku rzeczywistości, literatura przeniosła się z nadgwiazdnych krain do prozy życia powszedniego, zaczęto badać i poddawać krytyce wszystkie objawy życia społecznego i z nieubłaganą surowością wytykano błędy narodu, a w pracy téj równy brali udział konserwatyści (naprz. stańczycy) i postępowcy, klerykali i indyferenci, arystokraci i demokraci. Lecz przesada w jednym kierunku wywołuje drugą w kierunku przeciwległym; jeżeli nie rachujące się z rzeczywistością bujania po napowietrznych sferach rodzą usposobienie ku marzeniom, a wskutek tego niedołęztwo albo zgubny kierunek w działalności na polu prak-

tycznêm, to z drugiéj znów strony, przy coraz głębszêm zastanawianiu się i wnikaniu we wszystkie najdrobniejsze nawet fakta życia narodu w przeszłości i teraźniejszości, odkrywamy w nim coraz nowe ujemne strony; wady i niedostatki rosną w oczach naszych do olbrzymich rozmiarów, a maleją cnoty, wszystko zaś to z łatwością zpowodować może pewien pesymistyczny nastrój umysłu. Oto główna zła strona dzisiejszego kierunku, a skutki tego widzimy już w zasadach głoszonych przez stronnictwo zachowawcze czyli tak zwanych Stańczyków: polityka oparta na niedowierzaniu własnym siłom, wyczekująca niemal wszystkiego od rządów. Więcéj wprawdzie wiary w naród mają postępowcy, szukając zbawienia w rozpowszechnieniu i przyjęciu się zasad filozofii pozytywnéj; lecz i tu umysły płytkie, serca oschłe, wyobraźnie nieokiełznane pędzą ku krańcowéj i szkodliwéj jednostronności. Prawdziwy, dobrze zrozumiany pozytywizm nie lekceważy żadnych objawów, jakie życie z sobą przynosi (przekonanie to wygłaszali nieraz i u nas wyznawcy jego), nie potępia więc i strony uczuciowéj w naturze człowieka, oddając całą słuszność gorącym pragnieniom serca. Że jednak niektóre przedmioty tych pragnień — Bóg, nieśmiertelność — jako niepodlegające zmysłom, wykluczone z zakresu badań pozytywnych i pokryte bardzo naturalnêm milczeniem; stąd młode a lotne umysły w nagłêm przejściu od ślepéj wiary do rezonującéj tylko niewiary, zaczynają lekkomyślnie pomiatać wszystkiémi szczytnémi porywami ducha ku niedostępnym dla zmysłów sferom, stając rezolutnie pod sztandarem „ścisłych badań eksperymentalnych,“ w których nader często nie zagłębiają się wcale.

Wszystko to miało miejsce u nas, fałszywemu temu i jednostronnemu pozytywizmowi, zadawalniającemu jedynie wymagania rezonującego rozsądku przypisać należy ów brak zapału, ową oschłość prowadzącą ostatecznie do egoizmu, właściwe znacznej części dzisiejszéj, hołdującéj jakoby pozytywizmowi, młodzieży, gdy tymczasem od smutnych cech tych dalecy byli pierwsi apostołowie nowego kierunku na niwie naszej, tak dla nas sympatyczni zapałem, z jakim walczyli w imię zasad swoich.

Tak się przedstawia nam obecny stan literatury i umysłowości naszéj, nie może on zadość uczynić wymaganiom umysłu poetycznego nie mogącego zadowolnić się jedną negacyą, ale szukającego dodatnich ideałów. Lecz gdzie znaleźć? Nie wśród własnego narodu, bo on sobą nie rządzi a oprócz tego nieubłagana krytyka zerwała z niego zasłonę niewinnego męczennika za ludzkość całą, którą się lubił przykrywać i (niestety) zburzyła wiarę w złote marzenia Mickiewicza i Krasińskiego,—nie w Europie, gdyż zbyt małoznaczne

zachodzą różnice między umysłowym jéj stanem a usposobieniem autora. Uchodzi więc poeta na stepy amerykańskie, tam szuka wypocznienia, upaja się cudami i wdziękami ich i błogą znajduje pociechę w obcowaniu z ludźmi natury.

Z tego stanowiska zapatrywać się należy na rozbierane utwory Sienkiewicza.

Lecz niedokończyliśmy rozbioru listów, — widzieliśmy jakie uczucia wzbudziła w duszy autora amerykańska przyroda i napomknęliśmy, że w otoczeniu jéj szukał idealnych ludzi,—znalazł takiego w osobie skwatera Harrysona; rozdziały, w których Sienkiewicz opisuje swój pobyt u niego, należą niezaprzeczenie do najładniejszych w listach.

Podług prawa amerykańskiego, każdy obywatel Stanów Zjednoczonych może zająć 160 kw. akrów ziemi na niezaludnionych zachodnich obszarach, z warunkiem wypłacenia rządowi w przeciągu lat 10 po 1 $^1/_2$ dolara za akr. Tacy dobrowolni pustelnicy, osiedlający się tam z zamiarem obrobienia ziemi, zwą się skwaterami. Jednak pomimo tak dogodnych warunków, urodzajności gleby i zdrowego klimatu jest bardzo niewielu skwaterów, gdyż życie ich połączone z ogromnemi niebezpieczeństwami wymaga nadzwyczajnéj siły fizycznéj i hartu (duszy). Skwater ma zaciętych wrogów w saméj naturze i we włóczących się po puszczach awanturnikach i Indyanach. Sienkiewicz wymowny dał obraz z jak niesłychanemi trudnościami walczyć musi osadnik, nim wybuduje sobie chatę, bo choć drzewa nie brak „ale jak tu się i wziąć do niego, gdy canion szumi jedną puszczą stuletnich drzew o pniach na kilka stóp średnicy i o szczytach zagubionych gdzieś w chmurach“ itp. Co zaś do traperów, wokerosów i Indyan, z którymi ustawicznie się styka skwater, to żadne przepisy regulujące stosunki ludzkie nie dosięgają tych pustyń, a istnieje jedno straszliwe prawo *lynchu*. Podwójną walkę tę z naturą i ludźmi nie każdy wytrzyma, padają téż słabsi, „możnaby rzec, powiada autor, że cywilizacya wysyła swoich atletów, aby torowali jéj drogę na puszczy.“ Do rzędu atletów tych należy Dżon Harryson, przechodził on różne koleje, był farmerem, walczył w szeregach armii południowéj, zbankrutowawszy potém na fermie, udał się z żoną i resztkami mienia na Texas, lecz w drodze żona umarła, Meksykanie napadli i zabrali wszystko, on zaś został sam na stepie, przyłączywszy się potém do skwaterów i przeszedłszy zwycięzko wszystkie początkowe trudności ich zawodu, znalazł nareszcie wypocznienie w samotném siedlisku swojém i w twardéj, regularnéj i jednostajnéj pracy: „Jakkolwiek wykształcony na wzór innych amerykanów nie był jednakże z książkami obyty.“ „Ten prosty człowiek nie zapła-

dniał sam siebie filozoficzną czczością i nie rozumował. Rankiem brał siekierę i szedł w puszczę, potém z karabinem czołgał się w górzystych gardzielach, potém gotował strawę, opatrywał dobytek; nie miał może samowiedzy swego spokoju, ale owe codzienne sprawy jego żywota wydawały mu się dość ważnemi, aby warto było dla nich żyć. W ten sposób płynął mu dzień za dniem. Był to człowiek trzeźwy, jak wszyscy amerykanie, jak wrzeszcie wszyscy ludzie należący do ras nieprzeżytych. Samo życie mu wystarczyło, refleksye życiowe w głowie mu nie powstały. Pod jednym tylko względem samotność wycisnęła nań filozoficzną pieczątkę: oto niewiele sobie cenił pieniądze."

„Był jednak trochę posępny i małomówny. Taka małomówność w człowieku ze świata oznaczałaby zły i nieprzyjemny humor, ale u Harrysona było to tylko przyzwyczajenie, wynikłe z życia samotnego. Zmienność usposobienia bywa zwyczajnie wpływem rozdrażnionych nerwów i niestałego zdrowia, a skwaterowie nie znają co to nerwy, zdrowi zaś są jak dęby. Przytém ogólna, wrodzona amerykańskiemu ludowi, męzkość charakteru i zupełny brak drobiazgowości wyłącza w skwaterach dręczenie się błahostkami i poruszanie sobie żółci za lada powodem."

„Drugą cechą skwatera, wspólną samotnikom, była jego pobożność."

Zebrane wyciągi dają dokładny obraz skwatera. Wyżéj, w ustępach opisujących społeczeństwo stanów wschodnich i środkowych, podróżnik nasz szczególną zwracał uwagę na dodatnie jego strony, a mianowicie na demokratyzm cechujący obyczaje i instytucye jego, ale teraz urok, jaki wywierał nań skwater, potrafił nawet zatrzéć poprzednie wrażenia, gdyż i amerykańskie społeczeństwo, aczkolwiek chlubnie wyróżniające się pod wielu względami od europejskiego, zanadto w ustroju swym przypominało autorowi znienawidzony stary świat i jego stosunki.

Inne ustępy świadczą, jakiéj rozkoszy doznawał turysta w obcowaniu z mężem tak niepospolitego hartu duszy i energii, jak pragną wlać trochę ducha tego we własny naród. „O trudno mi nawet wypowiedzieć, woła on, jaki to młody, orli i jak pełen kipiących sił wewnętrznych jest naród—i jakbym chętnie przysłał tu po zdrowie pewne znajome mi społeczeństwo, w którém dobro społeczne jest zdawkową monetą... bez kursu, w którém wszystko zmalało, energia i praca jest frazesem, mężczyzni chorują na nerwy i bezkrwistość, a za to szermują językami, przędą i noszą swoim damom świeżo wyszłe z pieca plugawéj opinii plotki." Kontrast rzeczywiście smutny, owo „znajome społeczeństwo" schorzałe, bezduszne, bez wiary we własną

przyszłość i ów orli naród z zadaniem wielkiém, z przyszłością świetną i rwący się do niéj pełen ufności w siły swoje.

Nowe życie uzdrawia autora, cierpiącego i nad sobą i nad nizkim poziomem moralnym społeczeństwa, wśród którego żył i działał dotąd: Pisze tedy: „Zaczynało się też istotnie dla mnie życie nowe, w którém z czasem rozmiłowałem się do tego stopnia, że jeśli przyjdzie mi później zamienić je na inne, uczynię to ze smutkiem i z niechęcią“ lub: „jakaś nieprzezwyciężona siła zmuszała mnie ustawicznie, abym dzielił się z czytelnikami tą sielanką górską, tak oryginalną, że mnie samemu zdawała się urojeniem i jakby snem jakimś, a tak rzadko trafiającą się ludziom mego zawodu i tak zdrową, że była mi uspokojeniem wielkiém po życiu w mieście i niby początkiem drugiéj młodości zanim minęła pierwsza.“

To cośmy powiedzieli, dostatecznie charakteryzuje „listy“: z rozkoszą przenosiliśmy się myślą w dziewicze puszcze Ameryki i odtworzyliśmy przed sobą piękną postać Dżaka, lecz zadowolnić nas w zupełności to nie mogło. Choć czujemy o ile przewyższa nas Dżak pod względem energii, męzkości i wytrwałości w wypełnieniu powziętych zamiarów, jednak, co do rozwoju umysłowego, nie może on iść z nami w porównanie. Brak ten zapełnił autor w prześlicznym szkicu „Przez stepy“. Bohater obrazku tego, kapitan R. stoi z nami na równi pod względem wykształcenia umysłu i serca, żyjąc zaś w takiém mniéj więcéj otoczeniu i warunkach jak Dżak, nabrał rownéj z nim energii woli, straciwszy wszelkie ślady zniewieściałości właściwéj ludziom wychowanym w sferach cywilizowanych. Zauważmy jeszcze, że widzimy go w najpiękniejszéj chwili życia człowieka, gdy wszechświat cały brzmi mu cudnym hymnem miłości, gdy zaspokojoną została zrośnięta z duszą wieczna tęsknota do Boga i gdy spotęgowane uczucie, przeniknąwszy nawskróś istotę jego, napełnia go nieznaném wprzódy pragnieniem i siłą do wypełnienia wymarzonych ideałów,—jednćm słowem widzimy go w chwili, gdy się zakochał.

Streścimy śliczną nowellę tę i przekonamy się że mamy w niéj obraz rozwoju uczucia miłości pełny i wykończony pod względem artystycznym i psychologicznym: Często wyrażać się będziemy słowami autora, które najlepiéj rzecz oddadzą

Kapitan R. przybył do Ameryki w r. 1849 i rozpoczął w Luizyanie życie leśne, które zahartowało powoli jego siły; pomyślne walki i zajścia z Indyanami i Piratami na Missisipi rozniosły szeroko sławę jego, wskutek czego jedna z partyi emigrantów, udających się do Kalifornii wezwała go na dowódcę. Obowiązkowi temu nader było trudno podołać „ale—powiada kapitan—wytrwania i zachęty dodawała mi pewna para niebieskich oczu, spoglądająca na mnie z pod płóciennego da-

chu wozu ze szczególném zajęciem. Oczy te patrzące z pod czoła, ocienionego bujnym złotym włosem, należały do młodéj dziewczyny imieniem Lilian Moriss rodem z Massachuset z Bostonu. Była to istota delikatna, wiotka, o rysach drobnych i twarzy smutnéj pomimo iż prawie dziecinnéj.“ Przez pierwsze tygodnie stosunki ich ograniczały się na codziennych wymianach „good morning,“ potém litując się nad osamotnieniem biednéj dziewczynki, nie mającéj innego towarzystwa jak ciotki Attkius i Grosskenore, oddał jéj kilka małych usług i nieznaczne zrazu uczucie poczęło rosnąć gdy Rolf zauważył, że błękitne oczy przyjaciółki zwracały się nań ze szczególném zajęciem i sympatyą. Zresztą zobopólna ta sympatya była łatwa do wytłómaczenia, gdyż Rolfowi i Lilian, jednym w całym taborze, nie była obcą ogłada towarzyska. Ale „z początku, mówi bohater nasz, wyobraźnia moja więcéj była zajęta, niż serce, jednak myśl, że wśród tych obcych ludzi nie jestem zupełnie obcym, ale mam jednak maleńką duszę sympatyczną, zajmującą się mną trochę, lubéj dodała mi otuchy. Może to już i nie pochodziło z próżności, lecz z téj potrzeby, którą na ziemi człowiek czuje, aby nie rozpraszać myśli i serca na tak nieokreślone i ogólne przedmioty, jakiemi są lasy tylko i stepy, ale, aby te skupić na jednę żywą kochaną istotę i, *zamiast gubić się w jakichś oddaleniach i nieskończonościach, odnaleźć samego siebie w sercu blizkiém.*“

W tém właśnie Rolf stanowczo przewyższa Dżaka, podobne myśli nie przyszłyby ostatniemu nigdy do głowy, widok stepów nie budził w nim takich uczuć, a co do miłości, to nie wzniosłby się on nigdy do uznania w niéj duchowéj konieczności odnalezienia siebie samego tj. ideałów swoich w podobnéj istocie.

Daléj ślicznie opisuje poeta pierwsze oznaki miłości,—Rolf począł widzieć naturę w nowém, a nieznaném świetle: „Uczułem się tedy mniéj samotny i cała podróż nowych, nieznanych dotąd nabrała dla mnie powabów. Dawniéj, gdy karawana rozciągała się tak, jak wspomniałem, po stepie, iż ostatnie zaprzęgi nikły z oczu, widziałem w tém tylko brak ostrożności i nieporządek, za który gniewałem się mocno. Teraz, gdym zatrzymał się na jakiéj wyniosłości, widok tych wozów białych i pasiastych, oświetlonych słońcém i nurtujących nakształt okrętów w morzu traw, widok konnych i zbrojnych ludzi, rozrzuconych w malowniczym nieładzie obok pociągów napełniał duszę moję zachwytem i błogością. I nie wiem, zkąd mi się brały takie porównania, ale zdawało mi się, że to jakiś tabor biblijny, który ja, jakby patryarcha, wiodę do ziemi obiecanéj. Dzwonki na uprzężach mułów i śpiewne: *get ap!* woźniców wtórowały wtedy, jakby muzyka, myślom moim pobudzonym przez serce i przyrodzenie.“

„Ta dziewczyna z jasnémi włosami i słodkiém spojrzeniem ciągnęła mnie ku sobie z nieprzepartą jakąś siłą. Począłem o niéj myśléć po całych dniach, a nawet nocą, gdy, zmęczony objazdem straży i ochrypły od nawoływań: *All's right*! wszedłem wreszcie na wóz i owinąwszy się skórą bawolą zamykałem oczy aby zasnąć“—„zdawało mi się, że owe komary i moskity, brzęczące koło mnie, śpiewają mi bez ustanku do ucha imię: Lilian, Lilian!“ Prócz tego ogarnęła go dziwna nieśmiałość, a jednak nie zdawał sobie sprawy z uczucia, aż wypadek otworzył mu nareszcie oczy. Wypadkiem tym była pierwsza nieco poufniejsza i dłuższa rozmowa jego z Lilian, w któréj przychylna jéj wzianka o Henry Simpson zadrasnęła żywo kapitana, a gdy wskutek jego gniewnéj i przykréj odpowiedzi łzy pokazały się w oczach Lilian, to tak go serce ścisnęło, że, chwyciwszy jéj rękę począł żywo przepraszać, aż się dziewczynka uspokoiła. „Jakieś tkliwe uczucie opanowało mi serce. Szliśmy teraz znowu w milczeniu, ale było nam koło siebie dobrze i słodko. Tymczasem dzień schylił się ku wieczorowi; pogoda była śliczną, a w zmroczoném już trochę powietrzu tyle światła, że i cały step, i dalekie kępy drzew bawełnianych, i wozy w naszym taborze i sznury dzikich gęsi, ciągnące na północ po niebie wydawały się złote i różowe. Najmniejszy wiatr nie poruszał traw; zdaleka dochodził nas szum wodospadów, jakie w tém miejscu tworzyła rzeka Cedar, i rżenie koni ze strony obozu. Ten wieczór taki uroczy, ta kraina dziewicza i obecność przy mnie Lilian, wszystko to tak nastroiło mnie jakoś, że prawie dusza chciała wylecieć ze mnie i lecieć gdzieś aż do nieba. Myślałem sobie, że byłem jakby dzwon rozkołysany.“

Wieczorem z powodu pięknéj pogody ludzie postanowili wyprawić sobie piknik; śliczny następuje obraz tańców murzyńskich, po których zaczęto głośno domagać się od dowódcy speach'u. „W jednéj chwili wrzawa i odgłosy muzyki ucichły; ja zaś musiałem puścić ramię Lilian i wlazłszy na kozioł wozu zwróciłem się do obecnych. Gdym spojrzał z wysokości na te postacie oświetlone płomieniem ognisk, rosłe, barczyste, brodate z nożami za pasem i w kapeluszach z poobdzieranemi kaniami, zdawało mi się, że jestem na jakowemś teatrum, lub że zostałem dowódcą rozbójników. Ale były to poczciwe dzielne serca choć surowe; życie niejednego z tych ludzi było może burzliwe i wpółdzikie; tu jednak stanowiliśmy jakby świat maleńki od reszty społeczności oderwany i w sobie zawarty, na wspólne przeznaczony losy i wspólném niebezpieczeństwem zagrożony. Tu ramię musiało wspierać ramię, jeden czuł się drugiemu bratem, a one bezdroża i pustynie bez końca, któremi byliśmy otoczeni, nakazały owym hartownym górnikom miłować się wzajemnie. Wi-

dok Lilian, biednéj, bezbronnéj dziewczyny, spokojnéj wśród nich i bezpiecznéj, jak gdyby pod rodzicielskim dachem, napędził mi te myśli do głowy, więc wypowiedziałem wszystko tak jako właśnie czułem i jak przystało na żołnierza dowódcę, a zarazem brata wędrowców. Co chwila przerywali mi okrzykami: „hurra for Pole, hurra for captain, hurra for Big Rolf“—i klaskaniem w ręce; a co mnie już uszczęśliwiło najwięcéj, to gdym zobaczył między seciną tych ogorzałych potężnych dłoni, jednę parę malutkich rączek różowych od blasku ognia i latających, jakby para białych gołąbków. Wtedy naraz uczułem, że co mi tam pustynia, i dzikie zwierzęta, i Indyanie, i „outlowy“, krzyknąłem więc z zapałem wielkim, że: „dam sobie ze wszystkimi radę; pobiję kto mi w drogę wlezie i poprowadzę tabor choćby na koniec świata—i niech Bóg potępi moję prawą rękę, jeśli to nie jest prawda.“

Niepodobna opisać śliczniéj najpiękniejszy objaw świadomego już siebie uczucia miłości—wiarę we własne siły i energią do czynu,—ale poeta nie zakończył tém rozdziału, następują coraz ładniejsze ustępy malujące wszystkie przeobrażenia jakim ulega dusza, gdy opanowuje ją coraz głębiéj i silniéj rozkoszne a święte uczucie. Daléj jeszcze mamy opis najszczęśliwszych chwil w życiu bohaterów naszego obrazku,—gdy oboje kochali się nie tając już przed sobą uczuć swoich. Streścić stronic tych niepodobna, gdyż najdokładniejsze streszczenie nie potrafi oddać tego, co skreśliło pióro poety,—zresztą czytelnik sam stokroć lepiéj odczuje wszystkie piękności, niż krytyk zdoła to wyrazić: „Wieczorami idzie Ralf na odpoczynek z myślą, że jutro obaczy Lilian i codzień szczęśliwszy, codzień więcéj rozkochany. Dzień za dniem mknął tak szybko, że się zdawało mu, iż ranek stykał się wieczorem, jak dwa ogniwa w łańcuchu, uczył on Lilian czytać w wielkiéj księdze natury, razem odbywali konne przejażdżki po kwiecistych stepach, nauczył ją po polsku wyrazu „dzień dobry“ i „gdym ją słyszał wymawiającą w miłym duszy dźwięku to słowo, wydawała mi się jeszcze droższą, a wspomnienia kraju, rodziny i lat ubiegłych, i tego co było, i tego co przeszło, przelatywały właśnie jakoby nowy ocean, pustynię,—i nieraz chciało mi się ryknąć, ale żem się wstydził, więc tylko powiekami trzymałem łzy, co miały się wylać. Ona zaś, widząc, że mimo łez całe się serce we mnie rozpływa, powtarzała, jakoby szpaczek wyuczony: „dzień dobry, dzień dobry:“ I jakże tu nie miałem kochać nad wszystko tego mojego szpaczka.“

Prawdziwie upajające obrazy te znajdują zakończenie w scenie u jeziora, w zaroślach, gdzie Ralf pojmuje Lilian za żonę. „Lilian!—mówiłem daléj—moja jedyna, moja wybrana, moja żono! Gdym wy-

mówił to ostatnie słowo, dreszcz przebiegł ją od stóp do głowy, i nagle ręce, jakby w gorączce z jakąś niezwykłą siłą zarzuciła mi na szyję, powtarzając: —My dear, my dear, my husband! a potém wszystko znikło mi z oczu i zdawało mi się, że cała kula ziemska leci gdzieś z nami.....“ Wieczorem wziąwszy Lilian za rękę, stanął z nią wśród obozu i objawił zebranym towarzyszom, że bierze ją za żonę. „Od téj chwili byliśmy zaślubieni, odtąd to nie była moja kochanka, ale prawowita żona. I dobrze nam było obojgu z tą myślą — i dobrze mnie, bo w sercu zbudziło mi się nowe uczucie jakiéjś czci świętéj dla Lilian i dla siebie samego, jakiejś zacności i powagi wielkiéj, przez którą miłość wyszlachetniała i stała się błogosławioną.“

Śledziliśmy cały rozwój uczucia w duszy Ralfa, widzieliśmy pierwsze jego zaczątki, widzieliśmy, jak wzrastając powoli, zmieniało stopniowo usposobienie jego i jak coraz wznioślćj i poetyczniéj nastrajało go, jak wskutek wypadku przeszło nareszcie w świadomość i jak się odrazu przebudził w duszy Ralfa jakiś zapał i nieznana jakaś siła, płynące ze szczęścia wewnętrznego po odszukaniu upragnionego ideału, odczuliśmy z bohaterem naszym całą rozkosz jego i byliśmy świadkami jego iście rycerskiéj miłości, którą tak szczytnie pojmował. Potwierdza się więc wyżéj wyrzeczone zdanie, że, nie mówiąc o artystycznych zaletach powieści, mamy w niéj doskonały psychologiczny obraz rozwoju uczucia miłości, tembardziéj że charaktery bohaterów dopełniają się wzajemnie: z jednéj strony odwaga, męztwo i energia, z drugiéj bezgraniczna tkliwość i czułość, a u obydwóch równa szlachetność, wzniosłość umysłów.

Miłość pojęta w najświętszém znaczeniu wyrazu, jak już przekonaliśmy się z uczuć jakie ogarnęły Ralfa po spełnionym ślubie; zresztą świadczą o tém i inne ustępy. Lilian „raz położywszy swój biedny paluszek na biblią, którą czytywała codziennie, rzekła smutno:—Czytaj Ralf! — Spojrzałem, i mnie również dziwne jakieś uczucie ścisnęło za serce, gdym wyczytał „kto zmienił prawdę Boga na kłamstwo i uczcił, i służył stworzeniu więcéj niż Stwórcy, który jest błogosławiony na wieki.“ Ona zaś rzekła, gdym skończył: — Ale jeśli Bóg gniewa się za to, to wiem, że będzie tak dobry i mnie tylko ukarze. Uspokoiłem ją, powiedziawszy, że kochanie, to jest poprostu anioł, który z dwóch dusz ludzkich leci aż do Boga i chwałę Mu z ziemi przynosi.“ Potém, gdy choroba poczęła grasować po obozie, Lilian narażając zdrowie, uparła się pilnować chorych. „Ja, słaby człowiek, drżałem o nią duszą całą, alem jéj przecie nie mógł zabronić być chrześcianką.“

Z całéj powieści wieje jakiś przedziwny, że tak powiem, spokój idealny, smutno i tęskno Ralfowi żyć jednemu, wymarzył on sobie

i ukołysał ideały, lecz trudno zaspokoić duszę jedną myślą o nich, trudno zadowolnić się jedném pragnieniem uosabiającego owe ideały, a nieznanego Boga, którego sercem przeczuwa w stepach i lasach, w szumie wód i wyciu wichrów, — znalazłszy też wreszcie odbicie Bóstwa w podobnéj do siebie istocie, kochać ją poczyna całem jestestwem swojem, jutrzenka nowego życia świta mu, kochając ją kocha goręcéj niż kiedykolwiek wszechświat cały i ludzi wszystkich, widok jedynéj Najdroższéj tchnie weń cudną mowę o konieczności wzajemnego miłowania się ludzi; w naturze całéj widzi obraz ubóstwionéj Lilian, i ptastwo i muszki szepcą mu do ucha imię jéj; gdy uściska ją, wznosi oczy do góry, szukając, gdzieby przez gęstwę liści mógł spojrzeć na niebo, — albo wydaje mu się, że wszystko znika z oczu, a kula ziemska leci gdzieś z nimi!

Zakończenie tych prześlicznych, i taką świeżością i zacnością uczucia tchnących obrazów rozdziera duszę: z zielonych stepów wjeżdżają emigranci nasi w martwe i skaliste pustynie Utahu, przechodzą potém Newadę całą pod palącemi promieniami słońca i po gruncie, przesiąkniętym solą i potażem, zdala nęcą ich ułudne majaki, zwierzęta i ludzie padają ze zmęczenia, a zaraza zabiera jednę ofiarę po drugiéj; słabnąca powoli Lilian nie ustępuje jednak, lecz przechodząc z wozu do wozu pielęgnuje i niesie pociechę chorym; nareszcie wstępują na spalone stepy, gdzie śmierć spotyka Lilian—Ralf traci przytomność i zaledwie w miesiąc potém budzi się z choroby już w Kalifornii u znajomego osadnika. Ostatnie wiersze powieści tak proste, rzewne i wzniosłe stanowią może najładniejszy w niéj ustęp.

Niektórzy zarzucają Sienkiewiczowi, że taki smutny nadał koniec nowelli téj, ale w listach byliśmy świadkami, jak smutném okiem spoglądał autor na kraj swój, smutek rozlany również we wszystkich prawie utworach jego, i co tu dziwnego, — położenie ojczyzny, rozpaczliwe warunki wewnętrzne i zewnętrzne, niemoc nurtująca naród, przepaść cała, co przedziela ideał od rzeczywistości nie mogą nastroić fantazyi na ton wesoły. Wyjątek pod tym względem stanowi prześliczny „Orso“ co do treści bardziéj zbliżony do listów niż do obrazku „Przez stepy,“ gdyż dwóch ludzi ściganych przez los znajdują wytchnienie i szczęście wśród stepów na łonie przyrody w gościnnym canionie skwatera.

Pozostaje nam dla dokończenia porównać „Przez stepy“ z podobnym co do treści prześlicznym poematem Słowackiego „W Szwajcaryi.“ Od dawna już krytycy zwrócili uwagę i wykazali nieprzebrane piękności tego klejnotu poezyi naszéj, a najdokładniéj p. Tarnowski w ślicznych odczytach „W Szwajcaryi“ i „Ojcu zadżumio-

nych.“ Ale co się tyczy dopiéro co rozebranéj nowelli, to została ona stosunkowo dość chłodno przyjętą i prof. Tarnowski ledwie że nie zbył jéj milczeniem w prelekcyi o najnowszéj powieści polskiéj. Sympatyczniéj nieco odezwała się p. Kościałkowska, nie zawahawszy się porównać ją z poematem Słowackiego. Co do nas, chociaż przechylamy się do zdania p. Kościałkowskiéj (1), znajdujemy jednak, że zamało uwydatniła te cechy nowelli naszéj, które przeważają szalę na jéj stronę przy porównaniu z utworem Słowackiego. — „W Szwajcaryi“ eteryczna i napowietrzna postać kochanki nie zawiera w sobie nic realnego, w kochanku zaś mamy rozmarzonego poetę, tymczasem w tchnącéj takim realizmem i prawdą powieści Sienkiewicza charaktery obojga bohaterów, jakeśmy nadmienili, odpowiadają i równoważą się wzajemnie. Co więcéj u Słowackiego mamy kilka tylko, wprawdzie cudownych, ale luźnych szczegółów z dziejów miłości, gdy nowella nasza, jak już widzieliśmy,— to wykończony psychologicznie obraz najszczytniéj i najświęciéj pojętego uczucia miłości. Nakoniec, co do formy, to rzecz gustu, na nas jednak głębsze i silniejsze sprawia wrażenie prosty i prawdziwszy język Sienkiewicza, niż barwne, świetne i wyszukane obrazy Słowackiego (2).

Jednem słowem z rozbioru powyższego wynika, że listy z podróży i „Przez stepy“ tworzą harmonijną całość: panteistyczną tęsknotą tchnące opisy natury przeważają w pierwszéj części listów, w drugiéj na tle téj natury odmalowana postać człowieka z charakterem odpowiednim wspaniałemu otoczeniu, w którém żyje, lecz z umysłem mało stosunkowo wykształconym, a w rozebranym dopiero co obrazku taż sama dziewicza natura, a wśród niéj idealny człowiek z umysłem rozwiniętym niemniéj jak wola. Gdybyśmy wnioskować ztąd chcieli o obecnym stanie umysłowości naszéj, przyszlibyśmy do nader smutnych wyników, gdyż z jednéj strony mamy negacyą i chwiejne jakieś, a nieodpowiadające charakterowi narodowemu ideały (stańczycy — suchy pozytywizm młodzieży), z drugiéj zaś młody autor, pragnąc stworzyć coś dodatniego, uchodzi aż do innéj części świata i tam na łonie natury, a zdala od cywilizacyi szuka idealnych ludzi. Ale rozpaczliwy wniosek ten łagodzi znacznie ostatni utwór Sienkiewicza, znany każdemu „Latarnik,“ — jeżeli nie zadowolnił autora naszego negatywny kierunek w literaturze ojczystéj, to nie uspokoiły go również ideały, zasadzone nie na rodzimym gruncie.

---

(1) „Nasi nowelliści“ w *Niwie*, 1881.

(2) Pamiętać tylko potrzeba, że poemat Słowackiego wyszedł w r. 1837, a Sienkiewicza w r. 1880. (*Przyp. Red.*).

Wątek „Latarnika" stanowi wygórowana i do namiętności posunięta miłość ku ojczyznie, obrazek ten zanadto żywo stoi każdemu w pamięci, iżbyśmy go streszczać mieli, zwrócimy tylko uwagę czytelnika na ogromny kontrast, zachodzący między stanem duszy Skowińskiego w początku i w końcu nowelli: stary wojak, przecierpiawszy i przetuławszy się po wszystkich częściach świata przez lat 40, bez chwili spokoju, wiecznie prześladowany przez mściwe jakieś fatum, doszedł nareszcie do takiego stanu zniechęcenia do życia i odrętwienia, że jedna myśl o wypocznieniu zdala od świata i ludzi owładnęła jego istotą; znalazłszy wreszcie przystań taką w Aspinwalskiéj latarni, oddał się z rozkoszą nowemu życiu i zajęciom, które nie wprowadzały go już w styczność z ludźmi, doszedł w końcu do zupełnego prawie zapomnienia się, do stracenia poczucia własnego „ja." I cóż wyrywa go z tak błogiego stanu, którego tak pragną wszyscy zmęczeni życiem? Kilka wierszy z Mickiewicza. Żaden z wieszczów naszych nie wyraził uczuć patryotycznych z taką siłą. Dla przykładu porównajmy Skowińskiego z kilku bohaterami Mickiewiczowskiéj epoki. U Konrada z „Dziadów" wrodzoną miłość ku ojczyznie przytłumiła na czas jakiś miłość ku kobiecie, lecz cierpienia narodu nawróciły i rozegzaltowały go.

Wrażliwy i nerwowy Kordyan był zawsze patryotą, choć postronne wrażenia często zacierały to uczucie, które lada wypadek mógł wrócić (patrz ostatnia scena aktu II na szczycie Mont Blanc). Wacław Garczyńskiego długo szukał uczucia, któreby mogło go porwać i wrócić straconą równowagę umysłu, aż się przejął wreszcie miłością ku ojczyznie. Skowiński zaś nietylko, że nie szukał niczego, ale przeciwnie od wszystkiego uciekał dążąc jedynie do zapomnienia o własném istnieniu,— i z tego uśpienia ducha budzi go ani widok ojczyzny, ani cierpienia narodu, lecz tylko słów kilka w ojczystym skreślonych języku. Nie chcemy przez to powiedzieć, aby „Latarnik" przewyższał podobne pod względem treści utwory nieśmiertelnych mistrzów poezyi naszéj,—nie może to mieć miejsca choćby dlatego, że Sienkiewicz wyznaczył sobie zanadto ciasne zadanie, — chodziło mu jedynie o wskazanie bezgranicznéj siły uczuć patryotycznych, wtedy nawet, gdy się wydają być uśpionémi, wieszcze zaś nasi kazali prócz tego bohaterom swoim żyć i działać wśród narodu i przez usta ich wypowiadali własne przekonania o kraju i o środkach mogących go podźwignąć.

Pozostaje nam wyrazić gorące życzenie, aby „Latarnik" był zapowiedzią zwrotu w literaturze naszéj, bo przy takiéj tylko miłości ku ojczyznie nie będzie rozerwaną nić, co nas łączyć powinna ze szczytnemi ideałami, których wyrazem była poezya Mickiewiczow-

skiego okresu. Bliżsi będziemy w takim razie owéj idealnéj harmonii, kresu dążeń ludzi we wszystkich sferach działalności ich — gdyż z jednéj strony nauczyliśmy się już i wciąż jeszcze uczymy się trzeźwo zapatrywać się na wady i zalety narodu, a z drugiéj—kochać, wierzyć i własną działalnością przyśpieszać będziemy wypełnienie wiecznotrwałych ideałów, wygłaszanych przez usta wieszczów naszych, a będących koniecznym wynikiem całéj historyi i cywilizacyi naszéj. Nie będziemy wtedy uciekali aż na stepy Ameryki dla znalezienia idealnych ludzi, lecz szukać ich zaczniemy we własnym narodzie, wśród ludu więcéj może niż wśród warstw wykształconych, i znajdziemy ich, choć bolesne warunki historyczne zdołały już zatrzéć wiele pięknych a przyrodzonych stron w charakterze narodowym.

Maryjan Zdziechowski.

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Olbracht Łaski, Wojewoda Sieradzki.—Wizerunek historyczny na tle dziejów Polski XVI wieku przez Aleksandra Kraushara, 8-o min. Warszawa—Kraków 1882, tom I str. 272, tom II str. 300.

Dzieło p. Kraushara większe obudziło zajęcie, niż jakiekolwiek inne (choćby bardziéj naukowe i co do wartości wyższe), które w zakresie historyi polskiéj wydane zostało w ostatnich czasach, jak tego dowodem są liczne sprawozdania i recenzye o niém w naszych peryodycznych wydawnictwach. Gdy treść jego jest znaną, nie będę jéj powtarzał; gdy podniesiono już także, i to dosyć obszernie, zalety jego prawdziwe lub mniemane, w kilku słowach streszczę tylko pierwsze, to jest prawdziwe, a mianowicie, że odnalezienie wielu bardzo dokumentów, tyczących się Łaskiego, przedewszystkiém zaś z jego korespondencyi, wydostanie na światło dzienne masy wiadomości o nim, wyświecenie i objaśnienie niektórych kwestyj z jego życia lub działalności, spornych albo niejasnych, tudzież zebranie wszystkiego, co pan K. chciał czy mógł zebrać, w jednę całość obrazową i zajmującą—oto, co obok wielu dobrych chęci za zasługę autorowi poczytywać i na pochwałę jego dzieła powiedzieć należy. Na dosyć liczne i ważne błędy i wady dzieła mniéj zwracano uwagi, dlatego może, że nie umiano ich dostrzedz, lub téż nie miano możności zajrzeć do tychże źródeł, z których autor korzystał; ale to właśnie jest mi pobudką do zajęcia się wyłącznie niemi i podania w ten sposób źródłowego przyczynku do ocenienia wartości „Olbrachta Łaskiego.“

Przedewszystkiém uderza to, że autor wogóle staranniéj pisał tom pierwszy, niż drugi, w szczególności zaś i w pierwszym i w drugim nie z jednakową pilnością opracowywał pojedyncze rozdziały: w je-

dnych zauważyć można większą spójność myśli, umiejętniejsze przedstawienie, lepsze korzystanie i wyczerpanie źródeł, lepszy styl, większą potoczystość i gładkość (np. w I tomie rożdziały 2, 14, w II tomie rożdziały 13, 14) w innych zaś pospieszną i nawet mechaniczną pracę, surowe wyjątki z materyałów albo i całe in extenso dokumenty mniéj lub więcéj zręcznie ze sobą powiązane, co wszystko wygląda raczéj na rozumowane wydanie materyałów à la Waliszewski (Acta Joannis III), aniżeli na ich opracowanie (jak np. w I tomie rożdział 11-ty w drugiéj połowie, w tomie II rożdziały 2, 5, 22).

Kto zna wszystkie materyały, któremi autor rozporządzał, temu się wyda dosyć dziwném, że te mianowicie rożdziały, do których materyałów było mało, opracowane są lepiéj i gruntowniéj, te zaś, do których była obfitość materyałów (pierwsze trzy bezkrólewia), pozwalająca na zupełne i dokładne wyjaśnienie i przedstawienie działalności Olbrachta, te rożdziały, powtarzam, są w dziele p. K. najgorsze. Porządek chronologiczny jest bardzo dobry—ale autor trzyma się go zanadto ściśle, by wybrnąć z trudności; w tymże samym celu rozdrabia całość na małe rożdziałki, na czém traci przedstawienie, z czego powstaje zbyteczna rozciągłość. Tak np. bowiem rozdziały 2—5 w tomie I lepiéj było zlać w jeden, wyprawy mołdawskie również w jednym rozpatrzéć (przy czém może by autor domyślił się, kto był ostatecznie ich winowajcą); koniec rozdziału 12-go i 13-sty ściśle do siebie należą, przedelekcyjnéj intrygi w pierwszych trzech miesiącach 1573 r. lepiéj było nie podciągać pod rozdział „wybory"; w tomie II rozdziały 13—17 ze względu na treść główną są za rozwlekłe a mało dowiadujemy się z nich do tyla ważnego, żeby tak dużo wyznaczać im miejsca; rozdziały 12 i 18 równie w jeden mogłyby być zlane. Że wywiązanie się z zadania przy podziale materyi na tak małe rozdziały i przy ścisłym chronologicznym porządku było łatwiejsze, to pewna, ale mnie ono dowodzi, że autor biorąc się na taki sposób, nie zupełnie panował nad przedmiotem, co zresztą zaświadczają bardzo słabe i bardzo pobieżne ostateczne wnioski. Świadectwom współczesnych, choćby Kochanowskiego, pisanym pod wrażeniem chwili lubszczytnego faktu, ani można przydawać, jak to czyni autor, zbyt rozciągłego znaczenia, tém bardziéj w obec smutnych a wielu innych danych, ani w takiéj mierze uwzględniać przy ocenie charakteru i działalności całego życia wojewody. Zanadto wiele wagi przykłada również pan K. do dziedziczności i dla usprawiedliwienia swego poglądu buduje bezpodstawne analogie, zapominając o tém, że Jan, Hieronim, Stanisław służyli Węgrom, Austryi, Francyi; czy więc moralnie lub słusznie postępowali, jest to w pewnym stopniu rzecz dla nas obojętna—co do Olbrachta, to szło tutaj zawsze

o kraj własny! Usprawiedliwianie postępków złych ludzi szerokiemi instytucyami politycznemi jest w obecnym czasie modne, ale nie historyczne, a zgodne chyba z pojęciami Bismarcka. Wypowiadają wprawdzie takież zdania i nowsi historycy nasi, ale ci tylko, którzy historyą powołują na usługi polityki swojego stronnictwa. W ogóle, nie mogąc zbyt się rozszerzać nad innemi refleksyami autora, mniemam, że wywód p. Kraushara jest obroną adwokata, mającego klienta potępienia godnego, ale nie bezstronnym i gruntownym sądem historyka.

Autor powiada, że nam przedstawia wizerunek Łaskiego na tle dziejów Polski XVI wieku. Rozumiem, że potrzeba dobrze obznajmić się najprzód z literaturą historyczną, ażeby to tło wymalować w pewnym względzie nawet oryginalnie, przedewszystkiém zaś wymalować je tak, jak tego portretowana osoba wymaga, żeby ono służyło do uwidocznienia i zrozumienia lepszego jéj charakteru, do związania jéj działalności z całością dziejów epoki, w któréj żyła. Warunkom tym autor w należytéj mierze zadość nie uczynił, albowiem nie tylko nie skorzystał ze wszystkich prac (że wspomnę choćby tylko dzieła i rozprawy Umańca, Reimann'a Hirschberga, listy Commendoni'ego itd.), znajomość których byłaby mu użyteczną, ale nawet nie przyswoił sobie w ich całości rezultatów badań tych uczonych, których dzieła dosyć często cytuje. Ztąd to pochodzi, że autor w kreśleniu tła wpada w ogólniki, jest pobieżny lub nie należycie swobodny, że opowiadanie nie płynie mu gładko i potoczyście, ale ciągnie się ciężko i nużąco niekiedy dla czytelnika, w krótkich i jakby odrębywanych peryodach, w których autor przytacza tylko fakty, ale nie wyjaśnia wypadków w ich wzajemnym związku, kierunków lub ducha czasu; jeżeli zaś to ma miejsce, to wzięte jest zanadto bezpośrednio z jednego lub dwu autorów, do dzieł których w danéj chwili, pisząc ten lub ów rozdzial, autor „Olbrachta Łaskiego" bezpośrednio zaglądał, a nie jest owocem *uprzedniego* wczytania się w te dzieła, samodzielném przedstawieniem i odpowiedniém zastosowaniem rezultatu badań obcych, które zdobyte i przetrawione w głowie na usługi w każdéj chwili być powinny;—w przeciwnym razie pisanie monografii wygląda na mechaniczną robotę (tém bardziéj wobec innych jeszcze na to dowodów) np. zegarmistrza, który składa zegarek, ale kółek i śrubek sam nie robił. Osobliwie rozdziały 12, 16, 17, 18 w tomie I, 1, 2. 6, 7, 20 w tomia II liczne przedstawiają dowody tego, co powiedziano wyżéj.

Niedostateczną biegłością w literaturze historycznéj objaśniać należy i to, że widnokrąg poglądów autora nie jest należycie szeroki i punkt widzenia nie do tyla wysoki, by mógł dobrze objąć cały sze-

reg danych faktów, dopatrzéć się wszystkich i ostatecznych pobudek danych czynów lub przyczyn wypadków, i że robi wprost faktyczne błędy lub takie, które dowodzą, że nie rozumie politycznéj sytuacyi, stosunku i dążności téj lub owéj partyi albo stanu. Przytaczam kilka przykładów. Pan K., mówiąc o przyczynach szerzenia się w Polsce reformacyi (I. 35) milczy o najważniejszéj z nich: stanowisku duchowieństwa, jego sile, wpływach, stosunku do szlachty itd. Wyprawy mołdawskie objaśnia (I. 41) rozmaitemi ogólnikowemi przyczynami a nie dostrzega jedynéj i prawdziwéj (chociaż na nią mogło autora naprowadzić wiele danych)—Habsburgów austryackich, których polityki przewodnią nicią w XVI w. było fundować swoje wpływy w Polsce, gotować jéj trudności na północno wschodniéj granicy, pokłócić ją z Turcyą (właśnie przez podniecanie mołdawskich wypraw), ażeby tym sposobem zyskać w niéj sprzymierzeńca, z konieczności, dla swoich pretensyi w Węgrzech i pomoc przeciw Turkom, którym Austrya na żaden sposób rady dać nie mogła—tém można sobie wytłómaczyć i zrozumiéć powolność Zygmunta Augusta względem Turcyi i przywódzców wypraw i wiele innych jeszcze okoliczności. Nie tylko nie „większość", ale nikt nie przechylał się na stronę cesarza Maksymiliana w czasie pierwszego bezkrólewia (I. 169): o jego kandydaturze nie było wówczas mowy, nikt o niéj nie wspomniał nawet. *Suffrage universel* nie znaczy, zdaje się, „głosowanie osobiste każdego szlachcica"; autor umieścił to wyrażenie (I. 206) chyba dla tego, że ładnie wygląda i modnie brzmi, stosunkom bowiem polskim nie odpowiada, a notabene podał je zapewne za Traczewskim (Polskoje bezkorolewije, 352), który powiada nawet, że francuzi przyszli do Polski „spełnić swoją misyą—wprowadzić zatruwający suffrage universel"), zapomniawszy w zapale (nie wiem, czy i pan K. zwrócił na to uwagę), że suffrage universel po raz pierwszy zastosowany był we Francyi dopiero w 1848 roku. Zajście podczas koronacyi Henryka nie jest opisane wiernie (I. 231). Pan Powidaj ma racyą, gdy twierdzi, że Łaskiego biskupi nie nagabywali o bigamią z tego powodu, że byli ujęci jego gorliwością, że się stał zwolennikiem kościoła (II 252, nota). Autor „Olbrachta Łaskiego" przeczy temu, twierdząc, że fakt bigamii miał miejsce w r. 1574 a nawrócenie Łaskiego odbyło się w 1569; jest to prawdą, ale zdania pana P. nie zbija: na sejmie koronacyjnym powstał spór między stanami a Henrykiem o potwierdzenie konfederacyi religijnéj i król, podburzany przez nuncyusza Wincentego Laureo i jego maryonetkę, prymasa Uchańskiego, potwierdzenia odmówił, do czegoby nie przyszło, gdyby nuncyusz nie miał poparcia ze strony niektórych posłów i takich właśnie dygnitarzy jak Łaski—ręka więc myła rękę i sprawa o bigamią nie była popieraną

przez tych właśnie, którzy w imię swoich pretensyj powinni by być w niéj prokuratorami; kto wie, czy nie z tego powodu, w Paryżu jeszcze, Łaski powstawał przeciw konfederacyi, żeby sobie zaskarbić względy tych, którzyby mu najwięcéj potém pomagali do ukręcenia sprawie głowy. Jest to rzeczywiście smutnym objawem, że reakcya katolicka takich moralnie zgniłych ludzi utrzymywała na świeczniku, przebaczając im wszystko za to jedynie tylko, że gardłowali na korzyść kościoła w takich sprawach, w których kościół rościł sobie jurysdykcyą, a dla których właściwém forum był sejm, ale nie kongregacya soboru lub inny podobny trybunał. Drugim przykładem tego jest Krzysztof Warszewicki. To, co o nim publicznie mówił Zbąski, przynajmniéj w znacznéj części było prawdą, i po dokumenty Zbąski posłał do Włoch, ale ponieważ Warszewicki bronił sprawy Henryka, za którą był nuncyusz, przeto za pośrednictwem tego ostatniego kazano z Rzymu wyszukać akta procesu Warszewickiego o ową kradzież łańcucha i miano je spalić a tymczasem zabroniono komukolwiek wydawać ich kopii. Tę i podobne sprawki popełniał rzeczywiście *Krzysztof*, który dopiero w późnym wieku (1598 r.) został kanonikiem krakowskim; p. Kraushar przeczy Mosbachowi, ale gołosłownie (II. 100, nota) i nie ma wcale racyi; Stanisław Warszewicki był bratem Krzysztofa i jezuitą (por. listy Wincentego Laureo w archiwum Watykańskiém, Nunziatura di Polonia vol. 7). W tomie II str. 8 mylnie powiada p. K., że Henryk umknął do Francyi na pierwszą przez usłużnego Dudycza zakomunikowaną wiadomość: Dudycz wprawdzie pierwszy (jak widać z jego listów do cesarza Maksymiliana) udzielił mu wiadomość o śmierci Karola IX, ale dopiero na skutek wiadomości, otrzymanéj od matki w kilka godzin późniéj, mógł powziąć zamiar ucieczki. Wiadomość o wyznaczonych przez Maksymiliana „elekcyjnych (!?) kosztach“ (II 13, 46) odnosi się właściwie do roku 1576 a nie 1574, a zjazd Warszawski w tymże roku mylnie nazwany konwokacyjnym (II. 22). Papież nie zachowywał się neutralnie w czasie drugiéj elekcyi (II. 93), skoro jego nuncyusz zmuszony był potém opuścić Polskę. Niewiadomo od kogo Zborowski w II, 73 zjawia się odstępcą. Nie wie autor, jacy byli kandydaci partyi Piastowskiéj (II, 79). Partya cesarska nie składała się znowu z samych tylko warchołów, awanturników i karyerowiczów (II, 99), skoro byli w niéj Uchański, Mielecki, Ossoliński, Drohojowski, Kochanowski i paru innych, idących za nim z przekonania, mniejsza o to, stałego czy czasowego lub warunkowego. Zdanie autora, że Rzesza nie chciała Maksymilianowi dać pieniędzy (II, 117) należy pojmować bardzo dosłownie, albowiem w rezultacie dała mu milion złotych. Krotosz (II, 119) nazywał się właściwie Krotowskim a oznaczony znakiem

zapytania „Cechowski“ (II, 122) jest nikt inny, jak Stanisław Tarnowski, kasztelan Czechowski.

Wszystkie jednak wady i błędy dzieła p. Kraushara, które pochodzą ze złéj metody, pośpiesznéj roboty, niedostatecznego korzystania z literatury historycznéj, a o których mówiłem dotychczas, są mniejszéj wagi w porównaniu z temi, które można autorowi zarzucić co do korzystania z literatury niedrukowanéj czyli źródeł archiwalnych, co do tamtych bowiem i niespecyaliści łatwo mogą sobie poradzić, błędy dostrzedz i poprawić łatwo, a braki własnemi zasobami wiadomości uzupełnić; w ostatnim zaś razie, nie mając pod ręką lub nie mogąc mieć oryginalnych dokumentów, z dobrą wiarą autorowi zaufać są zmuszeni. Nim odpowiem czy zaufać należy zauważyć muszę, że przytaczanie w ciągu opowiadania czy wykładu wyjątków z dokumentów jest bardzo często na miejscu i wielce się przyczynia do urozmaicenia i malowniczości jego, ale przytaczanie dokumentów w całém ich brzmieniu, jak to zazwyczaj robi p. K., zgodném jest z wymaganiami metody historycznéj w razach tylko wyjątkowych, gdy brzmienie dokumentu ściśle się wiąże z poprzedniem i następującém, co szczególniéj o mowach lub przemówieniach powiedzieć można, włączanie zaś do tekstu opowiadania dokumentów *in extenso* niekiedy nawet długich (jak np. II, 21—22, 26—28, 29—32, 41—42, 58—60), w których obok tego, co w danym razie do przytoczenia w całéj treści może być odpowiedniem, mówi się jeszcze o wielu innych rzeczach podrzędnych, pobocznych lub przez autora poprzednio już wspomnianych, odrywa uwagę czytającego od głównego przedmiotu i psuje samą formę. Lepiejby daleko p. Kraushar zrobił, gdyby się tego sposobu nie trzymał, ale korzystał z dokumentów tak, jak umiejętność wymaga a same dokumenty w oryginalnym języku i *in extenso* dołączył na końcu dzieła lub wydał je osobno.

Kto porówna uważnie wyjątki z dokumentów przytaczane przez p. Kraushara z samemi oryginałami, ten musi przyjść do następujących wniosków:

1) że autor nie umie dobrze czytać rękopismów, w nich zaś: *a*) nazwisk lub imion własnych, np. czyta bowiem Friedenthal, zamiast *Freudenthal* (I, 175), Towatschan i Leitamysz zam. *Towatschaw*, *Prostnitz i Leitamischl* (I, 177), Mikorski zamiast *Myszkowski* (II, 35), Leszczyński zam. *Leżeński* (II, 37), Liendarskie zam. *Liendaczkie*, Ruxoss zam. *Kurosz* (II, 56), Bamffy zam. *Banffy* (II, 112, 113), Anenbaszew zam. *Arcibaszew*, Posseg zam. *Prossegk* (II, 121)— i *b*) potocznego tekstu i to nawet w dokumentach pisanych po polsku, jak np. w I, 202: użyczył zam. *wziął*, w czalni zam. *w cale*, nasze zam. *na mię;* w II, 141: V. R. Ill. zam. *V. S. Ill.*, hanuto zam. *havuto*, hetto zamiast

tutto, similme zam. *similmente*, ilquali zam. *il quale*, clementi zam. *clemente*, promto zam. *pronto*, liberamento zam. *liberamente*, cardinali zam. *cardinale*, felicit. zamiast *felicità*, desin zam. *disegni* i t. d.—i jak to widać z porównania następujących zestawień:

tekst p. Kraushara I, 238:	oryginalny tekst:
De uxore Alberti Laski alio oportuno tenore, si scilicet certe aliquid audievimus, tibi rescribemus.	De uxore Alberti Laski alio opportuno tempore, ubi scilicet certi aliquid statuerimus, tibi rescribemus.
str. II, 47:	
„Widzę, iż podobno *illud adagium dici a me potent*, że „jednemu szydła, a drugiemu brzytwy niechcą....“ Co wszystko ja Bogu poruczam. Podobno dla tego odwłacza ten *dobry człowiek*, żeby pierwej obaczył, jako to me rzeczy pójdą.... Jeźli burda—da pokój. Jeźli pokój—rzecze—chciałem uczynić.... A ja też żebyć mu mógł tak się przydać, jako ten, *któryby najwięcéj sadła w sobie miał*.... A jeźli mi ukazują *gruszkę na wierzbie* (wiem bowiem, że to umieją...). Ja zaś ukazawszy *chciałbym jéj dojeść*, by mi zginąć... Sed *vercor ne ductus aliorum consilio, pchnął mię zasię nogą od siebie precz*... Lecz cóż rzec, gdy tak *fert sors mea!* O tym dosyć *Deo teste*... K'temu i Waszmości samemu, to tylko wiem, że *iliqui, qui sunt in majori authoritate*, podobno zaledwieby się na to odważyli, na co ja... z zachowaniem honoru i dobréj sławy, odważyć się chciałbym....“	„Ale widzę, że podobno *illud adagium dici a me poterit*, że jednemu szydła golą a drugiemu brzytwy nie chcą; co ja wszystko Bogu poruczam, bo podobno dla tego odwłacza *ten dobry człowiek*, żeby pierwéj obaczył, jako tu me rzeczy pójdą: jeśli burda da pokój, jeśli pokój rzecze (t. j. rzeczy) chciałem uczynić; a ja też czuję, żebych mu mógł tak się przydać, jako ten, któryby najwięcéj sadła w sobie miał a jeśli mu ukazują gruszkę na wierzbie (wiem bowiem, co to umieją). Ja ukazawszy chciałbych jéj doleźć; by mi zginąć!; *sed vereor, ne ductus aliorum consilio* pchnął mię zasię nogą od siebie; a!, cóż rzec, gdy tak *fert sors mea?* O tém dosyć *Deo teste* i WM. samym. To tylko wiem, że *illi, qui sunt in maiori authoritate* podobno u niego ledwieby się tego ważyć śmieli co ja, zbawienne a poczciwe tylko zachowawszy w cale u siebie.“

Takich przykładów możnaby przytoczyć bardzo wiele.

2) Autor nie rozumie źródeł czyli dokumentów rękopiśmiennych; tłómaczenie ich takie, jakie p. K. podaje, wygląda na gruby żart z nauki i dobréj wiary nietylko czytelników, ale i tych, którzy nie mogąc mieć przystępu do oryginałów, korzystać będą z jego dzieła—a notabene tłómaczenie p. K. podaje w cudzysłowach, chce więc tém dowieść, że są zupełnie zgodne i wiernie odpowiadają ory-

ginalnemu tekstowi. Oto znowu na dowód parę przykładów z wielu innych:

I, str. 197:

„Gdy zaś Łaski (!!!) obecnie codziennie znowu u mnie przesiaduje, nie zaniedbam przeto niczego, aby się dowiedzieć o jego dalszych zamiarach i o tém donieść Waszéj Cesarskiéj Mości szczegółowo.“

tekst oryginalny:

„Was uns aber obangeregter Stolcz darauf für ein Bericht thuet, das haben Eure Majestät aus hiebeiliegendem seinem Brief gnaediglich zu vernehmen und nachdem wir seiner Person (t. j. Stolcz'a) wiederum bei uns taegglich gewaertig, so wollen wir mit unterlassen bei ehister Gelegenheit seiner fernern Ausrichtung und gethanen Relazion gehorsamlich zu berichten.“

Cały ustęp z listu Dudycza, podany przez autora w I, 243—244, *odnosi się do Stefana Batorego, ale nie do Łaskiego*, jak chce pan K., naciągając przytém tekst i fałszywie go tłómacząc na polski język. List włoski, przytoczony w II, 51, wręcz przeciwnego dowodzi niż tego, na dowód czego autor go przytacza. List cesarza do Łaskiego w II, 70 w środkowym ustępie tak brzmi:

w oryginale:

„Et quia in memoratis tuis literis offers Te Nos de iis etiam, quae post habitum in oppido Suliow (1) cum supremo regni nostri Bohemiae mareschalco sermonem, quae tam Warsaviae quam Lovitzii pro eiusdem causae nostrae bono egeris, quae ibidem resciveris, quidque facto opus esse censeas, edocturum, Nos etc.“

pan K. zaś tak go tłómaczy:

„Z listu Waszego powzięliśmy obietnicę nadesłania Nam wiadomości o rezultacie rokowań prowadzonych z marszałkiem naszéj korony czeskiéj w Sulioszu (sic!), jak również treści mowy, jaką w interesie domu naszego w Łowiczu i Warszawie mieć zamierzacie.“

Na str. 136 w tomie II wyrazy armorum insignia (dyplom na szlachectwo z wymalowanym herbem) tłómaczy autor przez „oznaki orderu!“—ciekawym bardzo co za order miał tu p. K. na myśli?!

3) Autor nie jest wogóle przysposobiony do studyów archiwalnych w szczególności zaś bardzo pobieżnie i nieuważnie korzysta ze zbiorów wiedeńskich, a przytém nie będąc dobrze wtajemniczony w historyą czasu, stosunki osób i t. p., popełnia wiele błędów

(1) Sulejów, sławny klasztor i miasteczko w gubernii Piotrkowskiéj.

co do dokumentów takich osobliwie, które nie są oryginałami, nie mają podpisu, daty, adresu lub t. p., bo tak np. przytacza wyjątek z listu Cyrusa *do Trautsona* (I, 139), kiedy w przytoczonym nawet wyjątku są wyrazy: „cum *Vestra* Caesarea Majestate;" w I, 179 mylnie cytuje „z *połowy* 1572 mandat cesarski dla *Ernesta, aby się ożenił z infantką Anną*," kiedy to jest plenipotencya dla posłów do ułożenia się o małżeństwo Ernesta i Anny i nosi wyraźną datę 2 *sierpnia* (przeczytał autor zapewne treść tylko na odwrotnéj stronie dokumentu napisaną i nie zrozumiał jéj, ale nawet nie rozwijał pargaminu, by go przeczytać i zapisać choćby tylko wierną datę). Cytowana w I, 210 relacya z 1 maja 1573 nie mogła być i nie jest pisana ręką Rosemberga, gdyż ten był już wówczas w Łowiczu a nie w Warszawie, zkąd ją (rzeczywiście) pisał do Wratysława z Persztyna (ale nie Rosemberga) agent posłów prawdopodobnie Jan Büttner. Cytowany w przypisku (II, 51) list pisany był — według zdania autora — przez Dudycza do cesarza, co jeżeliby miało być zgodne z prawdą, piszący list nie wyrażałby się w ten sposób: „Et *Vestra Signoria* potrà render capace *Sua Maesta*...." pisał go w rzeczywistości Wincenty Laureo, nuncyusz w Polsce, do Jana Delfino, biskupa Torczellańskiego, nuncyusza w Wiedniu. List Łaskiego w II, 63—64 nie mógł być przecie pisany do Dudycza, skoro w nim się mówi „*Reverendissimae* Dominationis Vestrae," tylko do Marcina Gerstmann'a, pierwszego z posłów cesarskich na sejm Stężycki; toż samo i drugi list, cytowany w II, 67. Na instrukcyi, przytoczonéj w II 120 w przypisku, jest napis: „ad manus proprias Sacr. Caes. Mtis" ręką Emeryka Sonntag'a (sekretarza Łaskiego), który i całą instrukcyą pisał; cesarz, otrzymawszy ją, napisał niżéj decyzyą: „D. Webero proponatur" (Weber był cesarskim wice-kanclerzem). Pan Kraushar tymczasem, nie rozróżniając charakterów pisma i nie znając procedury sprawy, łączy te dwa napisy w jeden i powiada, że Łaski udzielił instrukcyą Weberowi! Nadto zaś przytoczony przez p. K. w końcu przypisku ustęp nie jest jakimś „raportem do cesarza o téj instrukcyi, ale ostatnim jéj punktem, ostatnią z próźb Łaskiego, albowiem pisany jest tym samym charakterem co i cały dokument, nie znajduje się na marginesie lub na odwrotnéj stronie.

4) autor nie wyczerpuje należycie dokumentów i tych nawet, które są przez niego cytowane; traktuje je „sprawozdawczo" (II, 39), ale nie tak, jak wymaga naukowa metoda; np. w I 175 powiada, że Bernardowi von Wirben „zalecono głównie starać się o utrzymanie Łaskiego w uczuciu wierności dla austryackiego domu" i cytuje na dowód daną posłowi instrukcyą; tam zaś w rzeczywistości poleca się, aby mu oświadczył, że cesarz ma do niego wielkie zaufanie i spo-

dziewa się, że nie tylko on sam będzie popierał sprawę jego i jego synów, ale że zjedna mu zarazem tych, których głosy na elekcyi najwięcéj znaczyć będą i że obiecuje za to okazać mu się wdzięcznym, jak to zaświadcza we własnym do niego (Łaskiego) liście. Na tejże saméj stronicy mówi p. Kraushar: „opat Cyrus, przysyłając cesarzowi relacyą o stanie umysłów w Polsce, doniósł, że Łaski zawsze jednakowo dla rodziny cesarskiéj jest usposobiony;“ tymczasem w cytowanym liście z 26 lipca 1572 roku Cyrus radzi cesarzowi, żeby przez Łaskiego jednał sobie życzliwość szlachty, a w przypisku do tegoż listu powiada, że mu donoszą, że Łaski okazuje się przeciwnym cesarzowi, ale wątpi (Cyrus), czy to robi szczerze czy udaje, i mniema, żeby to tłómaczyć na dobrą stronę, ponieważ Łaski nie raz starał go się przekonać, że jest cesarzowi najbardziéj oddany; podejrzywa jednak Cyrus Łaskiego i radzi ostrożnie z jego wskazówek lub rad korzystać. Korzystając z listu cesarza do Łaskiego z 23 września 1575 (II, 73), autor nie wspomina, że cesarz tym listem uwierzytelnia do Łaskiego Jana Rozrażewskiego i Andrzeja Dudycza— a przecież jest to rzecz z całego listu najważniejsza. Myliłby się wielce, ktoby sądził za panem K., że poselstwo cezaryanów do Wiednia składało się z tych tylko osób, które wymienione są przezeń w II, 85, albowiem posłów wyznaczono (jak widać z dokumentu elekcyi Maksymiliana) czternastu— nie wszyscy z nich wprawdzie pojechali, ale zawsze było ich w Wiedniu więcéj niż pięciu a notabene nawet w liczbie 14-stu nie było ani Andrzeja Opalińskiego, ani Stanisława Radzymińskiego, ani Krzysztofa Zborowskiego, których p. K. do Wiednia z tém poselstwem wysyła.

5) autor nie cytuje źródeł w wielu razach, gdzieby tego była potrzeba, np. zkąd są wzięte: data urodzin Łaskiego (I, 24); świadectwo Modrzewskiego o Hieronimie Łaskim (I, 26); gdzie autor widział autografy Olbrachta Łaskiego „nowszémi językami“ pisane (I, 29, bo jeden tylko list jego po włosku przytacza w II, 141); na jakiém źródle opiera się ostatni ustęp w I, 139; zkąd wzięta wiadomość o „pośle“ (?) moskiewskim w Stężycy (II, 66) i wiadomości w drugim i trzecim ustępie w II, 91; zkąd zaś przypisek w tomie II na str. 117—118?

6) autor powołuje się na nieodpowiednie źródła i wpada nawet z tego powodu w błędy: dokumnet cytowany w przypisku 8 (I, 114) już jest drukowany w V tomie „Jagiellonek polskich“ przez Szujskiego (w relacyach z sejmu Lubelskiego 1569, str. 144) wydanym.— W I, 208 zamiast na Heidenstein'a lepiéj byłoby powołać się na „Monumenta Rusiae historica“ Turgeniewa (I, 170) i Broel-Platera „Zbiór pamiętników“ (III, 58). Nie na miejscu jest powoływanie się na En-

gel'a „Geschichte des ungarischen Reichs“ w sprawach sejmowych, gdy są już wydane od owego czasu „Monumenta comitialia regni Hungariae“ (por. tam w tomie VI, str. 145 i 184); przyznanie Łaskiemu indygenatu węgierskiego, które było niejako nagrodą za sprzyjanie Maksymilianowi, nie mogło nastąpić już 13 grudnia 1575 (jak chce p. K. w II, 83) t. j. nazajutrz po ogłoszeniu Maksymiliana królem, lecz co najmniéj 31 stycznia 1576, bo zresztą i sejm węgierski, chociaż był zwołany na 13 grudnia 1575, zebrał się znacznie późnićj.

7) autor, co do niewydanych źródeł, korzysta najwięcéj z materyałów wiedeńskiego archiwum państwowego, dla czego jednak nie wyzyskał ich w należytéj mierze?—nie wiadomo. Spis dokumentów, w których są rozmaite wiadomości o Łaskim lub które bezpośrednio do niego się odnoszą, możnaby ułożyć dosyć znaczny; oto najważniejsze z nich: list Macieja Łobockiego do Ferdynanda I z 18 czerwca 1553 r. w sprawach Olbrachta Łaskiego i odpowiedź cesarza z 4 lipca; listy Maksymiliana II-go do Wilhelma z Rozemberga i Wratysława z Persztyna z 30 września, 17 i 28 listopada 1572, 2 i 27 stycznia, 4 marca (bardzo ważny: krytyka żądań Łaskiego, oświadczonych posłom przez przysłanego do nich Gidelskiego; ale! — nie trzeba się było prześlizgiwać po dokumentach, tylko je gruntownie studyować: nawet w minutach tych listów Łaski figuruje pod umówionym wyrazem „officium“) i 28 kwietnia 1573; listy cesarza do M. Logau i J. Rozrażewskiego z 17 grudnia 1572, do M. Logau z 2 stycznia, do Ruebera 8 października 1573; listy J. Schachmann'a z 17 stycznia, M. Logau z 9 marca 1573 r. i 8 listopada 1575, A. Dudycza z 29 lipca (byłby wielce przydatny do objaśnienia owych „niewyjaśnionych powodów“ w II, 71), J. Uchańskiego i W. Laureo z 20 grudnia 1575 (wraz z memoryałem, który Łaski, będąc przez nich uwierzytelnianym, poufnie cesarzowi przedstawił), W. Lobkowitz'a i J. Kobenzel'a z 7 maja 1576 do cesarza; listy Maksymiliana II-go z 30 września 1572, 4 kwietnia 1573, 24 i 29 maja 1576, M. Gerstmann'a z 31 maja 1575, Stefana Batorego z 4 maja 1576—*do Łaskiego* (ten ostatni jest w oryginale; nakazuje mu król złożyć przysięgę wierności w ciągu czterech tygodni); *listy Łaskiego*: do cesarza z 16 grudnia 1574 (por. II, 39: Dudycz listu tego nie posłał, ale go rozpieczętował i tajnym kluczem posłał cesarzowi jego kopią w swoim liście z 16 grudnia), 8 i 11-go grudnia 1575, do posłów cesarskich z 7 czerwca 1575 (jest w Polonica z 1573 roku) do Wratysława z Persztyna z 11 maja 1576. Nieznane są autorowi także następujące ważne dokumenty: przywilej Maksymiliana II z 1 kwietnia 1576, którym ustępuje Łaskiemu jednorazowo prawo patronatu i przedstawienia kandydatów na cztery

prebendy w Krakowie, Piotrkowie, Srzodzie i Warszawie; instrukcya, z którą Łaski wysłał do cesarza Stanisława Mikorskiego w kwietniu 1576; zdanie Łaskiego i innych polaków, zgromadzonych w Ratyzbonie, o tém co cesarz ma przedsięwziąć w sprawie polskiéj, z września 1576; memoryał Łaskiego, przedstawiony Rudolfowi II w październiku tegoż roku z prożbą o uwolnienie od długów jego dóbr Kesmarskich, co mu był obiecał Maksymilian II. Co do czasów trzeciego bezkrólewia mógłby był pan K. znaleźć w témże archiwum choćby tylko już jeden list Łaskiego do arcyksięcia Ernesta z 2-go sierpnia 1587 roku z tym ważnym i ciekawym ustępem: „Interim vero, ne illud quidem silentio praeterire debui (!), me non parum a studio Serenitati Vestrae praestando retraxisse, quod non absque singulari animi mei perturbatione hactenus persenserim hominem ignobilem Tekielium ac neque privatim neque publice de quoquam bene meritum mihi praeferri, infinitumque in miseros et innocentes homines grassandi licentiam concedi," z któregoby się autor przekonał, że i teraz prywata tylko a nie inne szlachetniejsze lub słuszniejsze powody pociągnęła Łaskiego na stronę Zygmunta III przeciw Maksymilianowi. Skoro p. K. był w bibliotece królewskiéj w Dreznie, mógłby był przy dobrych chęciach doszukać się tam w rękopismach Instrukcyi z 19 grudnia 1575, danej Łaskiemu i innym posłom, wyprawionym przez cezarczyków do Wiednia. Milczę już o tém, co się znajduje w innych archiwach do historyi Łaskiego wielce przydatnego. Jeżeliby autor znał choć wyliczone wyżéj dokumenty, mógłby był zrobić z nich przyzwoity trzeci tomik dzieła.

Skutkiem pośpiechu zapewne i styl w kilku miejscach pozostawia nieco do życzenia, mianowicie zaś w tomie drugim, który, jakem już nadmienił, w ogóle mniéj starannie został opracowany, niż pierwszy. Na str. 10 czytamy tam ustęp: „z pomiędzy senatorów, którzy *rozbiegli się* w pogoni za królem, w Krakowie *pozostali* wojewodowie krakowski i sieradzki." W następnym zaraz ustępie wiadomość o francuzach powtarza się aż dwa razy w 11-tu wierszach. W przypisku na str. 113 czytamy: „Po śmierci kasztelanowéj starostwo Lanckorońskie wraz z wdową po Kacprze Bekieszu, dostało się ulubieńcowi Batorego, węgrowi Feronowi Wesselin" (czy ta wdowa należała do inwentarza starostwa?). Co znaczy następujące zdanie na str. 219: „powitać księżniczkę w jéj pawilonie na dzisiejszego dnia tyłku (tak!), który pospólstwo nazywa południem"? Można zrobić zarzuty i pojedynczym wyrazom: wyraz *Lutry* (I, 111) ma u nas odcień pogardliwego znaczenia; bez wyrazu *emolument* (I, 150) język polski może się zupełnie obejść; *Gaształd* (I, 177, 179) jest zupełnie nieuprawnioną przeróbką nazwiska Gastaldo albo Castaldo; wyrazy

waluta (w znaczeniu zwykłych pieniędzy) i *dekonfitura* (I 234, II 122) są miejscowo brukowe; *dragoman* (wyraz turecki) oznacza tłómaczy specyalnie przy Wielkiéj Porcie a wogóle przy konsulatach lub misyach na Wschodzie; nie używa się w polskim języku wyrazu *prefektura* zamiast starostwo, a *Liwonię* (!) nazywają w Polsce Inflantami (II, 175 i 253).

Również czuć się daje brak należytéj korekty, co chyba również ze zbytniego pośpiechu pochodzi; najważniejsze są omyłki (sądzę, że korekty nie autora) w datach dokumentów: w I 228 i 248 list Dudycza z 8 kwietnia—powinno być z *3 kwietnia*; w II 37 list tegoż jest *z 16-go* nie zaś z 19 grudnia, II 64 list Łaskiego nie z 7 ale z *27 maja*; jakotéż Iuae zam. *Tibi* (I, 96); illum moneat zam. *ille moveat* (II, 121); tamże huc zam. *hinc*; raz czytamy *Miller* (II, 132, 153) drugi raz *Müller* (II, 154); XVI zam. *XIV* (I, 18), quaedam... exponuit zam. *quasdam... exposuit* (I. 101), 1672 zam. *1572* (I, 194); w I 225 opuszczono przypisek 13; 1583 zam. *1573* (II, 8); 191 zam. *171* (II, 34); 1574 zam. *1575* (II, 52); miaso zam. *miasto* (II, 165); Martii zam. *Martio* (II, 175); nakoniec i paginacya mylna jest w paru miejscach.

Teodor Wierzbowski.

Pisma do wieku i spraw Jana Sobieskiego, ułożył i wydał Franciszek Kluczycki. Tomu pierwszego część druga (1672—1674). W Krakowie, nakładem Akademii umiejętności krakowskiéj, 1881, str. XXXIX i od 751—1666.

Ogłaszając przed kilkunastu miesiącami w *Ateneum* sprawozdanie z pierwszéj części pierwszego tomu olbrzymiéj publikacyi pana Kluczyckiego, daliśmy wyraz żywemu uznaniu, na jakie zasługiwała ze wszech miar wzorowa staranność i poprawność téj pięknéj edycyi, a zarazem zwróciliśmy uwagę na bardzo nieliczne i drobne usterki, których się w podobnych dziełach nigdy zupełnie ustrzedz nie można. Gdy nam obecnie przychodzi mówić o drugiéj części pierwszego tomu, obejmującéj blizko tysiąc stronnic w dużéj ćwiartce, nie tylko nie potrzebujemy odwoływać żadnego z wypowiedzianych tam słów uznania, lecz nawet wyznajemy z radością, że mimo starań mniéj niż poprzednio możemy tu wytknąć uchybień, bo liczba ich doszła teraz do *minimum*.

Szanowny wydawca z właściwą sobie skromnością uwzględnił nasze spostrzeżenia, oprócz tego zaś z własnego natchnienia wzbogacił swą księgę takiemi dodatkami, na brak których uskarżaliśmy się poprzednio; znajdujemy tu więc index imion i rzeczy, a nadto pracowicie zebrany wykaz alfabetyczny urzędów i dostojeństw Rzeczypospolitéj, województw i ziem z epoki do któréj się zbiór odnosi.

Sama niezwykła objętość pierwszego tomu wydawnictwa, dochodzącego dopiero do elekcyi Jana III wskazuje, jak bogatą i obfitą jest treść jego, jak wielkie światło rzuca przeto nietylko na postać bohatera, lecz także na wiek, który go wydał. Niepodobna wymagać, aby zakres źródeł był jeszcze szerszym; najskrzętniejszy krytyk niewieleby znalazł rzeczy pominiętych, a godnych pomieszczenia. Jako pisma, zasługujące naszem zdaniem na przytoczenie, wymieniamy list Prusinowskiego, „chorążego usarskiego JMci Pana Marszałka do tegoż JMci“ (Sobieskiego), pisany z obozu z pod Husiatyna 25 lipca 1672 r., a w nim excerpt z listu Mańkowskiego; daléj listy, w których jest mowa o Sobieskim: księdza Przyborowskiego do ks. Andrzeja Trzebickiego, biskupa krakowskiego z dnia 5 lipca 1673, — ks. podkanclerzego kor. do tegoż biskupa z Warszawy 26 lipca roku 1673 i podskarbiego w. k. Morsztyna również do Trzebickiego, pod tąż samą datą. Wszystkie te pisma znajdują się między kopiami Stanisława Przyłęckiego, w rękopiśmie Zakładu narod. im. Osolińskich nr. 2281.

Na podstawie troskliwego porównania znacznéj części tomu z rękopiśmiennémi tekstami możemy oświadczyć, że edycya celuje rzadką u nas starannością. Zaledwie kilka drobnych pomyłek udało nam się zauważyć przy pomocy odpisów Przyłęckiego; podajemy je tutaj raczéj na pochwałę wydawcy, że tak nieliczne, niż jako zarzut. Na stronie 1021 w drugim wierszu listu zamiast: „non *ultra* temeritate ductus“ powinno być: „non *ulla* temeritate ductus.“ Na str. 1091 w wierszu ostatnim po słowach: Zaczym JMP. Marszałek posławszy ku Lubaczowu—opuszczono wyrazy: „JMPana Strażnika koronnego, i JMci Pana Łaska, a ku Cieszanowu...“ Na str. 1273 w wierszu 6-tym od góry zamiast „o obedientią,“ powinno być „o benedictią.“ Na str. 1282 w wierszu 6-tym od góry w warunkach, pod jakiemi zbiegli z Litwy Tatarzy Lipkowie gotowi powrócić do posłuszeństwa, zamiast „Także głowy zabitego Tatarzyna w statucie położone jeżeli Król Jmć i cała Rzplta zniosą i jako szlachcica położą“ — co jest niezrozumiałe, powinno być: „*Taksę* głowy zabitego Tatarzyna.“

Żałować należy, że list marszałka do prymasa, pisany z nad Prutu 21 listopada r. 1673 musiał szanowny wydawca w braku innego źródła wydać wedle nędznéj kopii Tek Naruszewiczowskich, pomagając sobie nieszczególnym również tekstem manuskryptu Akademii umiejętności nr. 44, daleko zaś skuteczniéj własnym domysłem. Bez porównania poprawniejszym jest odpis Przyłęckiego. Pomijając waryanty, powiem tylko, że z rękopismem ś. p. P. w ręku, nie byłby pan Kluczycki potrzebował w drugim wierszu str. 1344 po wyrazie subsistere, z własnego domysłu dodawać „desiderium“

(*sc. domuum*), bo byłby tam znalazł: „dulcedo“; niemniéj byłby mógł uzupełnić tenże ustęp kilkunastu braknącémi wyrazami. Po szóstym wierszu bowiem od góry należy jeszcze dodać ważne zdanie: „którą to konfuzyą widząc hospodar multański, dwie mile nocując od obozu naszego, uciekł od nas i z wojskiem swojem“. Podobnież w 21 wierszu po wyrazie „znieśli“, należy dodać: „w wielkich lasach otoczywszy ich zewsząd, pobrali“.

Przytoczywszy powyżéj niemal wszystkie omyłki, które mi się spostrzedz zdarzyło, powtarzam, że są niesłychanie rzadkie i nieznaczne, a wysokiéj wartości wydania w niczém nie uwłaczają. Tyle o formie wydawnictwa — o treści nie piszemy, bo na to byłoby potrzeba wielu arkuszy druku. *K. Kantecki.*

= **Przegląd pedagogiczny,** *czasopismo poświęcone sprawom wychowania szkolnego i domowego* (6 zeszytów za kwartał I, str. 192). Mając przed sobą owoc kwartalnéj działalności czasopisma wychowawczego, będącego jedynym w Królestwie przedstawicielem specyalnym kwestyj pedagogicznych i dydaktycznych, warto się już zastanowić nad tém, o ile przedstawiciel ten ma dostateczne kwalifikacye naukowe i praktyczne. Oceniając atoli ten krótki okres pracy „Przeglądu Pedagogicznego“ musimy pamiętać, że są to początki dopiéro, że redakcya nie miała utorowanéj drogi w ojczystém piśmiennictwie, że musiała budzić siły nauczycielskie z pewnéj apatyi, w któréj były od lat kilkunastu pogrążone, częścią z własnéj częścią z cudzéj winy, że zatém stawiać względem téj redakcyi wymagania zbyt surowe byłoby rzeczą niewłaściwą i niesprawiedliwą. Prawda, że kto pracę jaką przedsiębierze, powinien starać się o jak najlepsze jéj wykonanie, ale zważyć wypada, iż w pracy zbiorowéj — a taka jest działalność redakcyjna, — nie wszystko zależy od głównego kierownika, ale bardzo i bardzo wiele od tych, co się pod tém kierownictwem szeregują i od tych, których podjęta sprawa zajmuje. Jeżeli liczba pracowników jest niewielka; jeżeli zajęcie przedmiotem — słabe; to trudno i najlepszemu redaktorowi wystarczyć za wszystkich. Tę okoliczność mając na uwadze, bez obrazy sumienia można powiedzieć, iż dotychczasowa działalność „Przeglądu pedagogicznego“ daje pewne rękojmie dobrego, pożytecznego rozwoju czasopisma nadal. „Przegląd pedagogiczny“ nie zaniedbał ani praktycznéj ani teoretycznéj strony wychowania zarówno domowego jak szkolnego i w artykułach rozmaitéj obszerności i wartości poruszył już kilka ważnych zagadnień i dał parę wskazówek, jak w wychowaniu i nauczaniu poczynać sobie należy. Nie mając zamiaru zastanawiać się nad wszystkiemi,

wskażemy tylko przykładowo niektóre. P. E. K. zaznaczając brak dokładnie i należycie przysposobionych nauczycieli, a zwłaszcza nauczycielek, proponuje na początek (w Nr. 4. „W sprawie kształcenia przyszłych nauczycieli i nauczycielek“) założenie przy jednéj z wyższych pensyj żeńskich rocznego kursu, mającego na celu przygotowanie uczennic do zawodu pedagogicznego, który jak każdy inny fach, nie powinien być w ręku dyletantów. Bardzo słusznie wytykał p. E. K. nawiasowo brak katedry pedagogiki w uniwersytecie warszawskim i zupełny brak seminaryów dla kształcenia nauczycieli średnich zakładów naukowych. P. Henryk Wernic znowuż w ogólnych wprawdzie, ale trafnych rysach kreśli wizerunek słabego, nietaktownego nauczyciela i daje rady, jak należy utrzymać niezbędną, pedagogiczną powagę wobec chłopców 12—14-letnich, którym imponować zwykła siła fizyczna i duchowa (N. 1 i 2: „Osobistość nauczyciela“). P. Stanisław Kramsztyk jasno, przystępnie, a miejscami wymownie wykazał znaczenie i doniosłość dla wychowania — nauk przyrodzonych w ogóle, a w szczególności metody, którą zwykle nazywamy doświadczalną, a którą p. K. „indukcyjno-dedukcyjną“ mianuje, dowodząc, że w metodzie nauk przyrodzonych zarówno jeden jak i drugi sposób dochodzenia prawdy znajduje zastosowanie (N. 3 i 5: „O pedagogicznym znaczeniu nauk przyrodzonych“). Jeżeli od tych teoretycznych wywodów zwrócimy się do wskazówek praktycznych, to i pod tym względem znajdziemy w „Przeglądzie pedagogicznym“ artykuły niemałéj wartości. P. Stanisław Mieczyński podał wzór lekcyi języka polskiego (N. 3), nie jakiś ogólnikowy, ale do szczegółowego zastosowany wypadku, kiedy nauczyciel potrzebuje z zakresu gramatyki objaśnić czas teraźniejszy w czasownikach, a równocześnie rozwijając myśl, zwiększyć zapas wiedzy ucznia pod względem treściowym i formalnym. P. Samuel Dickstein przedstawia „metodę wyciągania pierwiastku sześciennego“ (N. 4), prostszą od wielu innych używanych u nas po szkołach. W N. 5-ym mamy skreślone wskazówki, jak prowadzić należy naukę poglądową. P. Aleksander Jurgielewicz rozpoczął wykład planu, w jaki nauka elementarna ma być podawana dzieciom w ochronach (N. 5 i 6-ty: „Organizacya najpierwszego nauczania“). Ażeby te i tym podobne wskazówki mogły się przyczynić do wytworzenia praktyki metodycznéj potrzebném byłoby zainteresowanie się nauczycieli, którzyby wypróbowawszy rady zalecone, następnie dzielili się wynikami swoich spostrzeżeń i doświadczeń z redakcyą i z czytelnikami „Przeglądu pedagogicznego“. Takiego zainteresowania dotychczas jeszcze nie widać; nie można jednak tracić nadziei, że z czasem, przy umiejętném działaniu, zjawić się ono musi. Inne działy programu nie są

w zaniedbaniu. Dzieje pedagogiki ogólnéj reprezentuje życiorys Pestalozzego (N. 6), naszéj życiorys i ocena Bentkowskiego przez p. Bronisława Chlebowskiego (N. 4); wiadomości o szkołach w innych krajach są dość liczne; z naszych zakładów szerzéj omówiono „Szkołę techniczną“ przy drogach żelaznych Warszawsko-Wiedeńkiéj i Bydgoskiéj. Nie można téż pominąć milczeniem najobszerniejszéj i dotychczas nieskończonéj jeszcze pracy D-ra Tadeusza Żulińskiego p. n. „O potrzebie stałego higienicznego nadzoru nad zakładami wychowawczo - naukowemi“. Rzecz to obrobiona starannie i umiejętnie, a lubo praktycznego rezultatu przynieść u nas nie może, dobrze jednak, iż poda ideał kierunku, w którym iść szkoły powinny, ażeby zapewnić warunki zdrowia dla swych wychowańców. Kwestyi etyki szkolnéj dotyka artykuł p. Jerzego Harwota p. n. „Szkolna kasa oszczędności“ (N. 2 i 3). Jak widzimy nie brak artykułów i to żywotnych „Przeglądowi pedagogicznemu“; potrzeba mu tylko wytrwania; większéj dbałości o czystość języka i poprawność stylu; większego starania o korektę. Możnaby téż rozszerzyć dział krytyczny, który dotychczas mało uwzględniała redakcya.

— **Zarazy Antropozofii** *czyli teoryja i technika należytych wyjść (modus vivendi) humanitarnych stosunków: przyrodniczych, etycznych i między-ludzkich. Opracował K. L. Lichtański. Tom I. Zeszyt I. Badania wstępne.* (Warszawa 1882, str. 75). Antropozofia, jak ją autor pojmuje, nie jest bynajmniéj nauką zwaną antropologią, gdyż ta nagromadza jedynie materyał wiedzy o człowieku, antropozofia zaś używa materyału tego do nakreślenia norm, według których człowiek postępować powinien, ażeby mógł spełnić swe zadanie w zakresie życia przyrodzonego, jednostkowego i społecznego. Antropologia, jako nauka opisowa, notuje tylko fakta, wskazuje co i jak jest w świecie ludzkim; antropozofia zaś uczy, co i jak być może i powinno być w tym świecie. Jako nauka normatywna czyli, według wyrażenia autora, „sterownicza“, rozpada się na trzy wielkie działy: 1) *higienę*, 2) *etozofią* i 3) *socyozofią*. Pierwszy z nich zajmuje się kwestyą zaspokojenia potrzeb organizmu fizycznego, drugi kwestyą zaspokojenia potrzeb duszy indywidualnéj, trzeci kwestyą zaspokojenia potrzeb społecznych. Dla zaspokojenia tych potrzeb istnieją osobne „narzędzia“; dla pierwszych „przyrodniczy psychofizyologiczny materyał“, dla drugich — „przekonania i wierzenia“, dla trzecich — „towarzyskie i państwowe urządzenia“. Zbadanie owych potrzeb i tych „narzędzi“ jest właśnie zadaniem trzech głównych działów antropozofii. Każdy zaś z nich rozpatruje swój przedmiot pod trojakim względem: teoretycznym, technicznym i leczniczym. Teoretycznie, wynaleść winna nauka taką podstawę umysłową, któraby pozwoliła połączyć w harmonijnym związku wszystkie sposoby zaspokojenia,

dążeń przyrodniczych, jednostkowych i społecznych. Technicznie, powinna uporządkować układ owych narzędzi przyrodniczych, etycznych i społecznych w taki sposób, ażeby każda jednostka poszczególe i wszystkie razem mogły łatwo i swobodnie osiągnąć ideał w zakresie wskazanych dopiero co stosunków. Pod względem leczniczym wreszcie, nauka zbadać musi patologiczne objawy organizmu, duszy i społeczeństwa i obmyślić radykalne i dorywcze środki, za pomocą których dałyby się usunąć zboczenia chorobliwe. Taki jest szkielet nauki, nazwanéj przez autora antropozofią, a łączącéj w sobie przedmioty tych badań, które obejmowano dotychczas pod nazwą etyki, polityki i socyologii. Co do metody, to autor posługiwać się zamierza „spotęgowanym sądem powszednim“ czyli inaczéj, filozoficznie wyrobionym, zdrowym rozsądkiem, łącząc jednostronności empirycznéj analizy i spekulatywnéj syntezy. W ocenie zaś wszelkich stosunków jako sprawdzian czyli kryteryum służy „rzeczywista ludzka wartość“, według któréj normują się i potrzeby i środki ich zaspokojenia: „wartość ludzka (mówiąc słowami autora) jest tym centrem systematu humanitarnych wyjść (*modus vivendi*) i porządków, około którego ich normy odbywają swój przebieg“ (str. 9). Nie rozszerza się p. L. nad szczegółami téj „decydującéj filozoficznéj rewolucyi“, którą rozpoczyna; lecz większą część pracy swojéj poświęca na okazanie naglącéj jéj potrzeby i środków, których chwycić się należy, ażeby ją do skutku doprowadzić. Wielkie to zadanie spełnić można jedynie wspólnémi siłami; w chwili obecnéj potrzeba nam „zbiorowych pracowni naukowych“, któreby postawiły sobie za cel obrobienie wspólne zagadnień, nasuwających się natarczywie każdéj inteligentnéj jednostce. Taką zbiorową pracę ma na widoku i p. Lichtański; zamierza „zaprosić do współpracownictwa myślicieli, którzy uznają kryteryum prawowéj ludzkiéj wartości za rządzące i zgodzą się z pomiędzy siebie wybrać członków sejmowo-przewodniczącego ciała, które stanowić będzie naukową dźwignię jednolitości pojedyńczych prac“ (str. 74). Ani możemy ani chcemy kłaść tamy wysiłkom, mającym na celu dobro ogółu; nie zraża nas bynajmniéj względna oryginalność pomysłu rozwiązania najogólniejszych i najzawilszych zadań społecznych za pomocą jakiéjś pracy komitetowéj czy sejmowéj; nie myślimy „z góry potępiać filozoficznych prac umysłu ludzkiego na téj podstawie, że omyłki są fatalnym udziałem człowieka“; podzielamy bowiem zdanie autora, że taki sposób myślenia gorszym jest od hołdowania fatalizmowi (str. 28), gdyż ubezwładnia całą duchowość człowieka: zdaje nam się wszelako, iż kto chce myśl jakąś rozpowszechnić, powinien ją przedewszystkiém jasno sformułować. Staraliśmy się wprawdzie wyłowić ją z pośród chaosu zdań,

nowo-ukutych wyrazów, zawikłanych okresów, niewyraźnych określeń; ale przyznajemy się, iż zrobiliśmy to z wielkim mozołem i bynajmniéj nie ręczymy, czyśmy wszystko dobrze zrozumieli i czyśmy uwydatnili to, co autor sam uwydatnić by pragnął. Spisu niezrozumiałych zdań lub wyrazów, niepoprawnych gramatycznie lub stylistycznie ustępów nie podajemy, gdyż musielibyśmy zużyć na ten cel dużo papieru; wogóle tylko powiemy, że władanie językiem polskim przychodzi autorowi z pewną trudnością, że na myśli swoje lubi narzucać szaty nieprzejrzyste i że rodzaju nijakiego przymiotników używa na wzór Niemców i Rosyan bez względu na to, że Polacy do niego nie przywykli.

— **Szkice Klina.** *Część druga; zeszyt I. U drogowskazu* (1882 Warsz. str. 42). Pod pseudonimem *Klina* ukrywa się pisarz, który przed r. 1870 brał udział w czasopiśmiennictwie warszawskiém, późniéj zaś stanął na uboczu w roli sceptycznego dostrzegacza, mało drukując, gdyż od r. 1872, o ile nam wiadomo, aż do oznaczonéj dopiéro co publikacyi nic nie ogłosił. Nie związany stosunkami ze światem literackim zachowuje swobodę sądu własnego, który zazwyczaj jest ostry i bezwględny; umie obserwować, ale zarazem i uogólniać; zdaje się nawet że zamiłowanie do uogólnień przeważa w nim chętkę obserwacyi i ta okoliczność prawdopodobnie sprawia, że sąd jego w zastosowaniu do objawów staje się często niesprawiedliwym. To co teraz ogłosił, napisane było, jak objaśnia przypisek, jeszcze w r. 1873, a obecnie tylko przejrzane i w jedném miejscu trochę zmodyfikowane. Gdybyśmy chcieli, w kilku słowach powiedziéć, co w sobie zbiorek ten zawiera, tobyśmy musieli użyć szumnego wyrażenia: ocena obecnych naszych stosunków umysłowych. Mówiąc prościéj mamy tu pogadankę o uczuciach i rozumie, o literaturze, i nauce, pogadankę nastrojoną pesymistycznie. Według autora, jeżeli chcemy zrobić postęp, powinniśmy wyrzec się tak zwanych uczuć; nie znaczy to jednak, że powinniśmy się zmienić w rachunkowe maszyny; lecz jedynie, że czynności nasze wszelkie zostawać powinny pod kierunkiem jasnego, trzeźwego rozsądku. Literatura nasza jest blada, licha, kompilatorska, niezrozumiała dla ludu na który nie oddziałuje wcale. „Zachód grzmi, łyska, rzuca pioruny nowych pojęć, wstrząsa starym gmachem, zmiata pleśń zabobonu i przesądu, wyrywa mchy i głogi pseudo-wiedzy; jednostki, wybitne jednostki z samodzielnym, śmiałym, twórczym poglądem zjawiają się tam jedne po drugich, puszczają się w przegony i w świetnym turnieju nauki, z proporcem tolerancyi zdobywają sobie zasłużony laur i miejsce w pamięci wszechludzkości. A u nas? Słowian — rzeczywiście jak niegdyś *sclavów* ciała tak dzisiaj myśli—cóż u nas? nawet echo tego, co się tam dzie-

je, o wywatowane głupotą, nieuctwem i wałkońsfwem umysły nie może się odbić.“ Zapewne, przykro słuchać tych słów nieowiniętych w bawełnę, ale niestety, w przeważnéj części prawdziwych; słuchać jednak trzeba i poprawiać się. Dobrze to czasem otrzymać szturchańca, nawet otrzymać wtedy, gdy się drzémie nie w porę i nie na miejscu; i choć na wiele zdań Klina zgodzić się niepodobna, nie powiemy jak on o pewnych literatach, iż wypowiada czcze i *warte rózgi* frazesa (35) a to w imię tolerancyi, o któréj sam tyle się rozpisuje (i to przez dwa *l*); zauważamy tylko, że wyrażenia *więcéj szczegółowy, więcéj pożyteczny* nie są polskie, a frazes: „*pewniki* tą drogą *otrzymane* nic już w przyszłości *nie może obalić*“ (str. 3) od poprawności gramatycznéj jest daleki.

= **Stosunki Polski z Tatarszczyzną od połowy XV wieku**. Tom I. *Stosunki z Mendli — Girejem chanem Tatarów perekopskich* (*1469—1515*), *akta i listy, wydał i szkicem historycznym poprzedził Kazimierz Pułaski* (Kraków i Warsz. 1881, str. 449). Notując na tém miejscu ukazanie się téj ciekawéj publikacyi, nie myślimy bynajmniéj przesądzać o jéj wartości w stosunku do dawniejszych a bardzo nielicznych prac na tém polu; powiemy więc tylko, że p. Pułaski od lat już kilku obok niw zbożem zasianych uprawia także i niwę dziejopisarską, pomieszczając artykuły swe przeważnie w cennym dla historyi zwłaszcza „Przewodniku naukowym i literackim“, wychodzącym we Lwowie. Stosunki kresowe stanowiły dotychczas główny przedmiot jego studyów. I obecna praca, pierwsza na większą skalę, z badania tych właśnie stosunków wynikła. Posiadając kopie dokumentów z Metryki Litewskiéj, sporządzone w końcu wieku XVIII, wydrukował je tak jak znalazł, włączając do zbioru swego i te, które już dawniéj ogłosili: Gołębiowski, Narbutt, Muchanow i inni. Przyznaje wydawca, że nie mogąc porównać swych kopij z oryginałami, znajdującémi się obecnie w Petersburgu przy III-cim departamencie senatu, nie uniknął zapewne niejednego błędu; pozwolił sobie poprawek i uzupełnień tam tylko, gdzie to było możliwém bez narażenia się na domysł fałszywy; poprawki i uzupełnienia umieścił w nawiasach. Wszystkie akty w ogólnéj liczbie 157 pomieszczono w języku kancelaryjnym W. ks. litewskiego (*białoruskim*, według zdania p. Baudouin de Courtenay (1). Do tego dodał autor 4 dokumenta z metryki koronnéj w języku łacińskim. Całość zaś poprzedził obszernym (str. 193) wstępem, w którym na podstawie wydrukowanych przez siebie dokumentów i innych źródeł skreślił opowiadanie o stosunkach między Mendli

(1) Zob. poniżéj streszczoną broszurę: „Nieskolko słow o srawnitielnoj grammatikie“, str. 43.

Girejem a Kazimierzem Jagiellończykiem, Olbrachtem, Aleksandrem i Zygmuntem starym. Zaznaczony na tytule tom I i obietnica w końcu wstępu historycznego umieszczona każą się spodziewać dalszego ciągu tego naukowego przedsięwzięcia, które ze względu na swą treść na serdeczne powitanie i zachętę zasługuje.

— **Zur Psychologie der Sittlichkeit** *von dr. Heinrich Struve* (1882 Bonn, str. 41). Zaznaczywszy we wstępie, że wszelkie badania dotyczące kwestyj etycznych nie mogą doprowadzić do zadawalniającego wyniku, dopóki *psychologiczne* podstawy moralności nie będą należycie wyjaśnione i ustalone; autor osłabia następnie doniosłość tego zupełnie słusznego zdania twiedząc, iż ogół (*das Allgemeine*) we wszystkich swych formach: natury, rodziny, narodu, państwa itd. istnieje *niewątpliwie* bez pomocy jakiejkolwiek pojedyńczéj konkretnéj jednostki. Kto bowiem tak utrzymuje, ten w metafizyce chyba znajdzie najlepsze i najgruntowniejsze rozwiązanie wszelkich zagadnień etycznych, bez wglądania w psychiczną naturę jednostek. Wprawdzie autor zastrzega, iż wpływ tego *ogółu* (des Allgemeinen) na ludzkość zależy od psychicznéj przyrody jednostki i w niéj jedynie znajduje umiejętne wyjaśnienie; to wszakże nie przeszkadzałoby twierdzić że wytworzone w sferze abstrakcyi metafizycznéj pojęcia moralności powinny obowiązywać jednostki. Autor znów zapobiega takiemu rozumowaniu utrzymując zgodnie z prawdą, ale niezgodnie ze swém zdaniem o istnieniu ogółu bez jednostek, iż moralność poza indywidualném usposobieniem i działaniem wcale nie istnieje. Na dalsze wywody o sądzie moralnym, o normie moralnéj i czynie moralnym, wogóle zgodzić się łatwo; wywody te bowiem są rozumowaniami opartemi na faktach trafnie zaobserwowanych. Normę postępowania widzi prof. Struve w zgodzie pojedyńczych objawów woli z témi poglądami, jakie wyrobiła sobie jednostka o ogólném prawie moralném. „Niemoralnym—powiada autor—jest ten tylko, kto wbrew swemu lepszemu przekonaniu występuje, kto inaczéj działa, aniżeli moralność pojmuje, kto się daje unieść chwilowym pobudkom, a nie słucha zasad przez siebie samego uznanych.“ Pojęcie to normy moralnéj czyni ją zbyt podmiotową, ale trudno nie przyznać, iż ma wiele za sobą. Nie wszyscy zgodzą się na pojęcie postanowień woli jako zawarunkowanych wprawdzie pobudkami, a jednak ostatecznie zależnych od „samodzielnego spółdziałania woli“ (*selbstthätige Mitwirkung des Willens*). Pojęcia „pokonywania siebie samego, panowania nad sobą“ nie są dostatecznie rozwinięte, tak że wydają się jako jakieś spontaneiczne, chwilowo powstające akty. Autor pojmuje wyraz *charakter* tylko w znaczeniu dodatniém, ujemnemu skierowaniu woli odmawiając charakteru; takie pojmowanie zgodne jest z popularném

pojęciem i z filozofią heglowską; ale zdaje nam się, że naukowe dzisiejsze poglądy powszechniéj skłaniają się ku przyznaniu charakteru i złym ludziom.

= **Nieskolko słow o srawnitielnoj grammatikie indo-ewropejskich jazykow**, przez *J. Baudouina de Courtenay* (Petersburg, 1882, str. 53). Autor nie uznaje słuszności nazwy, jaką lingwistycznym badaniom nadawano poprzednio za granicą, a dziś jeszcze w Polsce i Rosyi, mianując je „gramatyką porównawczą.“ Rażą go w téj nazwie obie części; nietylko bowiem sama gramatyka stanowi przedmiot studyów lingwistycznych i nie tylko gramatyka jest nauką porównaczą, gdyż każda umiejętność z zadania swego porównawczą być musi. Następnie odróżnia filologią od lingwistyki: dla filolologa ogniskiem, około którego grupują się wszystkie jego zajęcia, są ciż sami zawsze przedstawiciele wszystkich objawów życia duchowego, jako to: języka, wierzeń, podań, piśmiennictwa, kultury itd. czyli, mówiąc inaczéj też same narody (stąd filologia klasyczna, romańska, germańska itd.); badania zaś lingwisty za spójnię mają jednorodność téj strony objawów życia duchowego wśród różnych narodów, która się językiem nazywa. Nie znaczy to jednak wcale, ażeby w jednéj osobie nie mógł się połączyć np. filolog klasyczny lub słowiański z lingwistą. W dalszym ciągu określa autor, na czém polega pokrewieństwo języków i podaje ciekawe wskazówki tak zwanego *fonetycznego przekładu* dźwięków jednego języka z drugim pokrewnym. Większą część broszury poświęca p. B. ogólnéj charakterystyce i klasyfikacyi języków *indo-europejskich*, które nazywa chętniéj *aryo-europejskiemi*. W Azyi znajdujemy dwie wielkie rodziny tych języków: indyjską i erańską, w Europie siedm: grecką, albańską, italską (romańską), celtycką, germańską, litewską i słowiańską. Nie mogąc tu podać treści i tak już bardzo treściwéj broszury, ograniczymy się na zaznaczeniu kilku interesujących uwag autora. Zdaniem jego studyując którąkolwiek grupę języków (słowiańską, germańską, grecką) lub pojedyńczego języka (rosyjskiego, litewskiego) można wybornie obejść się bez znajomości sanskrytu, chociaż naturalnie nigdy nie zaszkodzi przyswojenie sobie dokładnéj wiedzy o systemacie gramatycznym tego języka, należy wszakże unikać tak szeroko rozpowszechnionego bałwochwalstwa względem sanskrytu i nie mierzyć zjawisk języków obcych kategoryami sanskryckiemi. W każdym zaś razie lepiéj nie uciekać się do porównań z sanskrytem aniżeli popisywać się niemi bez gruntownéj i dokładnéj znajomości tego języka. Zbadanie litewszczyzny dla celów czysto lingwistycznych ma daleko większe znaczenie aniżeli zbadanie sanskrytu, a to dla tego, że sanskryt dochował się tylko w zabytkach piśmiennych, gdy tymczasem język litewski żyje do dziśdnia

w ustach ludu; to nam daje możność sprawdzania nasuwających się wątpliwości i badania języka tego we wszystkich kształtach aż do najdrobniejszych subtelności i szczegółów. Litewszczyznę możemy obserwować bezpośrednio a nawet robić w jej zakresie pewne doświadczenia (np. odnośnie do dźwięków); a mając do czynienia z zabytkami sanskryckiemi, skazani jesteśmy na wieczną niewiadomość co do niektórych nader ważnych właściwości języka, którym są pisane. Nie możemy też pominąć wiadomości o używaniu przez katolików Słowian języka słowiańskiego w liturgii. Jeżeli pominiemy unitów, to tylko bardzo nieliczna część Chorwatów katolików, używających tak zwanéj *glagolicy*, zachowa w księgach kościelnych język słowiański. Język ten zmieszał się w kolei wieków z ludowym chorwackim, tak że dzisiaj; wyjąwszy kilka archaizmów, przedstawia się on poprostu jako chorwacki. Obręb użycia tego języka w liturgii zmniejsza się ciągle tak iż obecnie chorwaccy księża odprawiają mszę w języku chorwackim tylko w niektórych miejscowościach Istryi i na wyspach Adryatyku. W końcu p. B. rozpatruje państwa europejskie ze względu na ich jedno—lub różno plemienność. Okazuje się że największą jednorodnością odznaczają się: Portugalia, Holandya, Dania z Irlandyą. Wszystkie inne są mniéj lub więcéj mieszaniną różnych Plemion. Największą pod tym względem rozmaitość przedstawia Rosya, w któréj mieszkają najrozliczniejsze zarówno aryo-europejskie jak nie aryo-europejskie plemiona.

= *Publicationen aus den K. Preussischen Staatsarchiven. VII Band. Lehns und Besitzurkunden Schlesiens herausgegeben von Dr. C. Grünhagen und Dr. H. Markgraf. Erster Theil. 1881.* Gdy przed kilku laty poruszoną została przez Henryka Sybla, dyrektora archiwów państwowych w Prusach, myśl wydawania najcenniejszych materyałów w archiwach tych przechowywanych, można się było spodziewać, że i dzieje Polski na tém przedsięwzięciu zyskają, zwłaszcza gdy już w programie zapowiedziano ogłoszenie drukiem najdawniejszych ksiąg sądowych wielkopolskich. Zdaje się jednak, że księgi wielkopolskie, jako pomnik rzucający światło wyłącznie na historyą prawa polskiego, dość długo jeszcze na wydanie czekać będą, natomiast dwaj znani badacze dziejów Szlązka Dr. Grünhagen, naczelnik archiwum prowincyi Szlązkiéj we Wrocławiu i Dr. Markgraf archiwaryusz miejski, przygotowali do druku całość dokumentów mających stanowisko lenne Szlązka objaśnić. Pierwszy tom tego zbioru zawierający najciekawsze akta, odnoszące się do księstw: Wrocławskiego, Głogowskiego, Żegańskiego, Lignickiego, Brzeskie-

go, Świdnickiego i Jaworskiego w roku zeszłym już się ukazał, drugi i ostatni niezawodnie wkrótce będzie dostępny, tak iż cały proces odpadnięcia jednéj z najpiękniejszych części Polski we wszystkich szczegółach będzie mógł być poznanym. Sumienność wydawców jest powszechnie znana, a nowe to wydawnictwo świeży daje dowód ich w téj mierze skrzętności i doświadczenia. Nieco utrudniającą korzystanie z tego dyplomataryusza jest okoliczność, iż każde księztwo jako odrębna całość jest traktowane, wskutek czego dokumenta chronologicznie ułożone być nie mogły; spodziewamy się jednak, że w drugim tomie niedogodność ta za pomocą krótkich regestrów usuniętą zostanie.

= *Praktisches Handbuch der historischen Chronologie aller Zeiten und Völker besonders des Mittelalters von Dr. Eduard Brinckmeier. Zweite Auflage. Berlin, 1882.* Jednę z najważniejszych pomocniczych nauk historyi jest obok dyplomatyki, sfragistyki i paleografii, także i chronologia. Mimo tego jednak nawet w Niemczech, gdzie przedewszystkiém uczeni techniczną stroną dziejów zajmować sie lubią, na palcach dzieła o chronologii, istotną mające wartość, policzyć by można. Wprawdzie istnieją podręczne kalendarze historyczne jak Pilgrama, Weidenbacha, Grotefenda, ale są one układane bez żadnéj pretensyi naukowéj w praktycznym tylko celu; natomiast dzieło Idelera „Handbuch der mathematischen und technischen Chronologie" (2 tomy. Berlin, 1825 i 26) chociaż dotąd nie prześcignięte, z téj przyczyny nie zupełnie wystarcza, iż Ideler z zawodu astronom, w opracowaniu swém na potrzeby historyków mniejszą zwracał uwagę; zresztą od jego czasów ilość wydanych źródeł tak znacznie się powiększyła, iż niezbędnym jest cały szereg pracowników i ściśle naukowych rozpraw, aby wszystkie ciemne i zawiłe kwestye chronologiczne dostatecznie rozjaśnić. Drugie wydanie dzieła zasłużonego na polu leksykografii i łaciny średniowiecznéj (*Glossarium diplomaticum* r. 1850—1863, 2 tomy) Brinckmeiera chociaż bardzo na czasie, również głównie potrzebom praktycznym ma odpowiadać. Różni się ono jednak od najnowszego i najbardziéj rozpowszechnionego obecnie kalendarza Grotefenda tem, że część teoretyczną bardziéj uwzględnia, podaje dokładniejsze tablice cesarzów niemieckich i papieży, ma wiele spisów i tablic, których Grotefend nie umieszcza, jak np. konsulów rzymskich, wszystkich koncyliów i t. d.; nie może być jednak samo dla siebie używane ponieważ nie są w niém oddrukowane wszystkie (35) możliwe kalendarze, co do rozwiązywania dat, niezbędnie jest potrzebném. W każdym wszakże razie chronologia Brinckmeiera może być obok kalendarza Grotefenda z korzyścią zastowywaną. Przypominamy, iż istnieje także kalendarz histo-

ryczny opracowany na podstawie źródeł czeskich przez Józefa Emlera, a p. Horbaczewski archiwaryusz wileński wydał także kalendarz oparty głównie na źródłach sądowych znajdujących się w zarządzanêm przez niego archiwum.

Myśl trwałego uczczenia 25-letniego **jubileuszu Teodora Tomasza Jeża**, jednego z najdzielniejszych i najśmielszych w swoim czasie przedstawicieli idei uwłaszczenia ludu, a zawsze niepospolitego powieściopisarza i publicysty, zajmowała kilka pism naszych. Najwybitniéj zaznaczyły się dotychczas dwa projekty. „Nowiny“ sądzą, że takiém trwałém uczczeniem działalności Jeża mogłoby być stypendyum, drogą składek publicznych zebrane, „Przegląd Tygodniowy“ zaś zwróciwszy uwagę na to, że stypendyum możeby nie odpowiadało rodzajowi zasług Jeża, proponuje ze swéj strony zebranie funduszu, (8000 rubli), od którego odsetki obracane byłyby co lat sześć na premium za najlepszą książkę w przeciągu tego czasu w języku polskim ogłoszoną. Niewątpliwą jest rzeczą, że zarówno ustanowienie stypendyum jak premium daleko szlachetniejszym i pożyteczniejszym byłoby środkiem złożenia hołdu znakomitemu pisarzowi aniżeli wyprawianie biesiad kosztownych; zarówno więc jeden jak drugi projekt jest pomysłem dobrym, jednakże mając do wyboru stypendyum lub premium, głosowalibyśmy za premium. Możnaby wprawdzie myśli premiowania książek już drukowanych zrobić ten zarzut, iż w daleko gorszém położeniu są autorowie, którzy książki swojéj wydrukować nie mogą, aniżeli ci co ją już ogłosili; ale ponieważ istnieją już instytucye, które tego rodzaju potrzebom choć w części zaradzić mogą (Akademia Umiejętności, kasa pomocy naukowéj imienia Mianowskiego, a po części może i Macierz Polska), zarzut powyższy traci cokolwiek na swéj sile. Stworzenie zaś nowego sposobu wynagrodzenia pracy umysłowéj i zachęty do niéj może podziałać ożywczo na talenta. Książkę zwłaszcza poważniejszéj treści wydaje czasami autor, czasami księgarz; w pierwszym razie niekiedy nic nie zarabia a niekiedy i traci fundusz na druk; w drugim razie nic wprawdzie nie traci, ale téż nie otrzymuje należytego za swe trudy wynagrodzenia. Naturalnie przyczyną takiego niepowodzenia może być nieudolność dzieła, ale bywa także i brak rozgłosu, brak poparcia. W takich wypadkach premium zachęciłoby zdolnego autora do pra-

cy i pozyskałoby nową dla społeczeństwa siłę. Takich zachęt mamy dotychczas bardzo mało. Nie wchodzimy tu w szczegóły projektu, ani co do terminów premiowania, ani co do wysokości premium ani co do oznaczenia jakie książki mają być premiowane; są-to rzeczy, które obmyśléć łatwiéj będzie można gdy się zbierze fundusz; obecnie chcielibyśmy jedynie dobrą myśl poprzéć i ze swéj strony do jéj urzeczywistnienia zachęcić.

Wydawca, W. Spasowicz.—Redaktor Piotr Chmielowski.